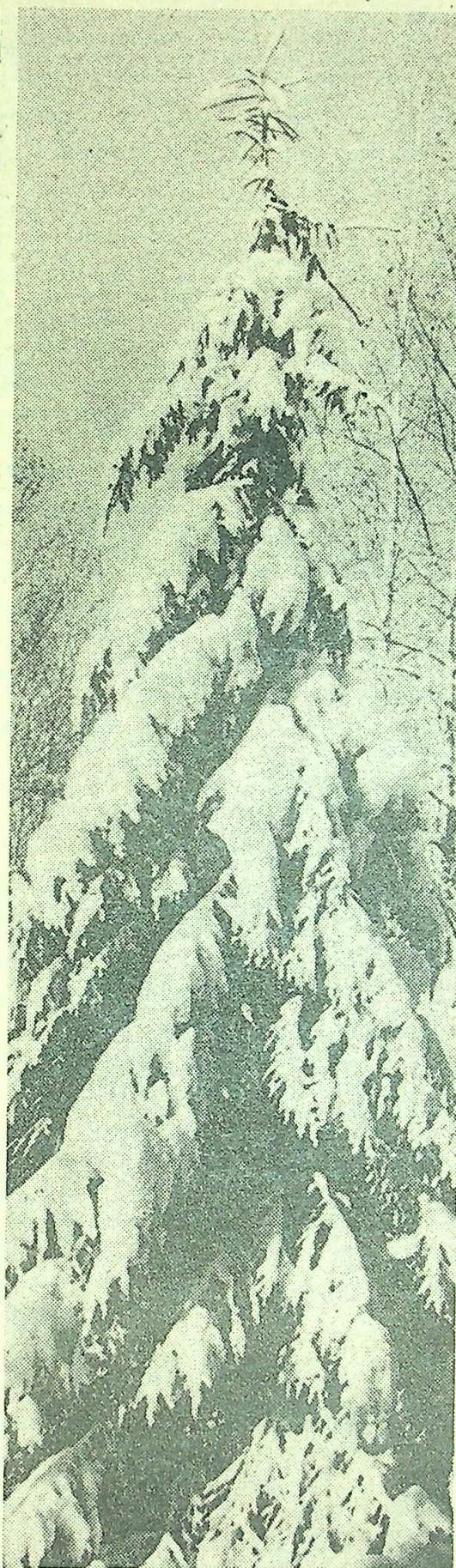
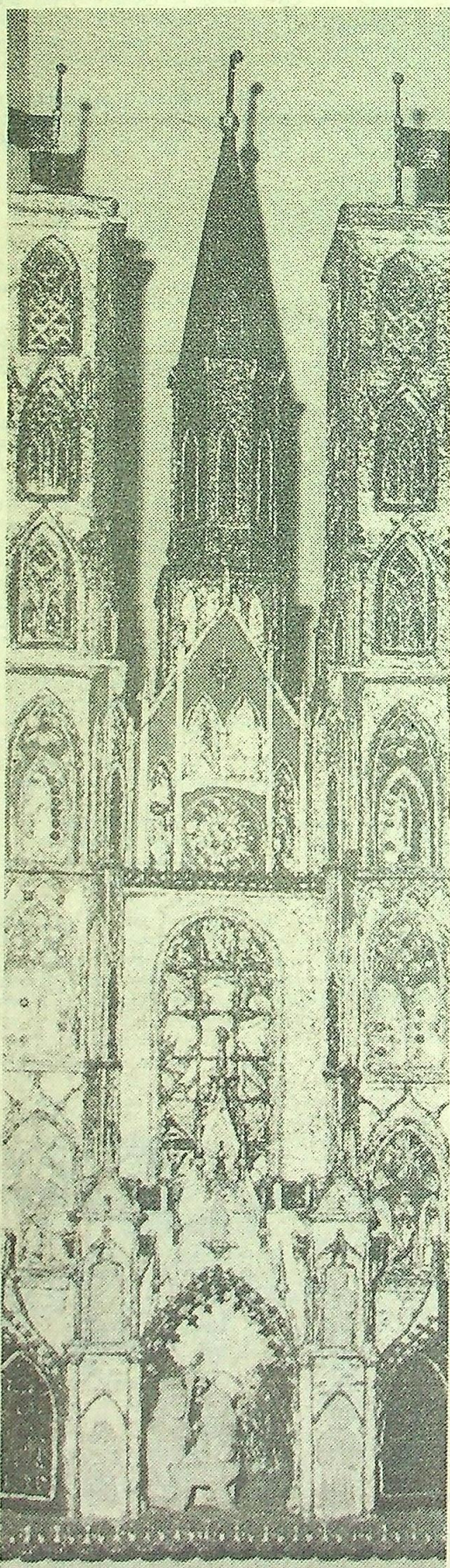


KONKRETY

nr 52
53

ROK V (NR 239) 23 GRUDNIA 1976 R. CENA 4 ZŁ



*Pogodnych
Świąt
i Do siego
Roku*



W NUMERZE: PRZY STOLE WIGILIJNYM — STR. 3 ● „JA SIĘ NIE RUSZĘ...” — STR. 12 ● RYBA STARA I MĄDRA — STR. 15 ● MAM DLA KOGO ŻYĆ — STR. 9 ● SZTOLNIA WAMPIRÓW — STR. 23 ● W OBJĘCIACH PYTONA — STR. 20—21 ● ZBRODNIA PRAWIE DOSKONAŁA — STR. 30.

STYCZEŃ

● Na osiedlu Świerczewskiego w Lubinie budowlani przekazali do użytku klub spółdzielczy (nazwany później „Nasza chata”) i dużą salę gimnastyczną przy Zbiorczej Szkole Gminnej. W budowie sali wiele pomogły ekipy ZRM KGHM.

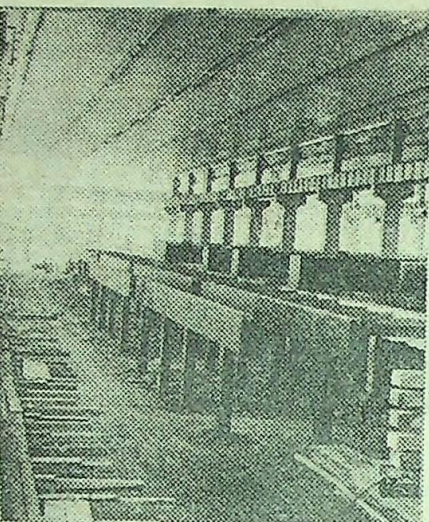
● W Przemkowie rozpoczęto rozbudowę wysłużonych Zakładów Metalurgicznych. Koszt tego przedsięwzięcia — około 250 mln zł.

● Z sześciu samodzielnych przedsiębiorstw i jednostek wykonawczych utworzono w Legnicy Kombinat Budownictwa Komunalnego.

● Przy Państwowym Pogotowiu Opiekuńczym w Legnicy rozpoczął działalność Ośrodek Adopcyjno-Opiekuńczy.

LUTY

● W Złotoryi zakończono urządzenie i wyposażenie międzyzakładowej przychodni lekarskiej, która powstała siłami sześciu miejscowych przedsiębiorstw i zakładów.



Huta Miedzi „Głogów II” jest największym przedsięwzięciem inwestycyjnym w zagłębiu miedziowym w ostatnich latach. Na zdj. Tak wyglądała hala wanień elektrolitycznych pod koniec lutego br.

Fot. Krzysztof Raczkowski

● Wicepremier Franciszek Kaım wraz z gospodarzami województwa odwiedził budowaną Hutę Miedzi „Głogów II” i filię „Milany” w Głogowie.

● Laureatami doroczych nagród Legnicy, przyznawanych w rocznicę wyzwolenia miasta, zostali: komendant Ośrodka Szkolenia Wojsk Łączności — Edward Kulpiński, dyrektor Technikum Elektroenergetycznego i Zasadniczej Szkoły Zawodowej — Ryszard Pasternak oraz plastyk — Jan Spuła.

● Na osiedlu Krupńskiego w Polkowicach przekazano do użytku pawilon handlowy typu „Miroslawice”.

MARZEC

● PKS oddziału Lubin został zwycięzcą krajowego współzawodnictwa 160 pokrewnych jednostek i zdobył sztandar ministra komunikacji.

● 21 marca odbyły się wybory do Sejmu i Wojewódzkiej Rady Narodowej w Legnicy. Mandaty poselskie otrzymali: Stanisław Cieślak, Jan Kwakrzyk, Witold Możdżyński, Władysław Wojtkowiak i Zbigniew Zieliński. Wybrano także 120 radnych WRN. Inauguracyjna sesja WRN odbyła się 29 marca.

● W Lubinie WPK uruchomiła nową linię komunikacji miejskiej — nr 47.

KWIECIEŃ

● Z udziałem wicepremiera Franciszka Kaıma i władz wojewódzkich od-

była się w KGHM uroczystość z okazji 15-lecia istnienia kombinatu. Złotą KGHM została wyróżniona sztandarem przechodnim ministra przemysłu ciężkiego i ZG ZZG za zajęcie pierwszego miejsca we współzawodnictwie pracy pomiędzy zakładami górnictwa i hutnictwa Zjednoczenia Górniczo-Hutniczego Metali Nieżelaznych.

● W Lubinie i Głogowie otwarto placówki PBP „Orbis”.

● Gmina Żukowice zdobyła pierwsze miejsce w wojewódzkim konkursie o tytuł „Gminy — mistrza gospodarności”.

● Szkole Podstawowej nr 1 w Polkowicach nadano imię odkrywcy polskiej miedzi — Jana Wyżykowskiego.

● W ZG „Rudna” oddano do eksploatacji czwarty ciąg zakładu wzbogacania rudy osiągając tym samym półmetek rozbudowy flotacji.

● Do „Księgi ludzi zasłużonych dla województwa legnickiego” wpisano pierwsze 10 nazwisk.

● Przed majowym świętem w Legnicy zakończono przebudowę uzbrojenia podziemnego i nawierzchni ul. Złotoryjskiej i Rosenbergów oraz większej części Rynku.

● Na poziomie 610 metrów w ZG „Lubin” młodzież ZSMP urządziła w czynie społecznym na oddziale MD-10 kawiarenkę, którą nazwano „Kongresowa”.

MAJ

● Z Legnicy wyruszył pierwszy „Pociąg Przyjaźni” do Związku Radzieckiego. Trasa wiodła przez Moskwę, Leningrad i Mińsk. Pasażerami było 300 osób.

● Niedziela czynu partyjnego, 16 maja. Nie licząc dodatkowych ton rudy miedzi i izb mieszkalnych urządzono 13 nowych boisk, 62 skwery i zieleńce, 28 ogródków jordanowskich, ustawiono 11 wiat na przystankach, ulepszono 83 km dróg lokalnych.

● 22 maja w zagłębiu miedziowym przebywali: członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR — Jan Szydłak i wicepremier Franciszek Kaım, którzy w towarzystwie gospodarzy województwa odwiedzili chocianowską FAT, HM „Głogów II” a w czasie akademii w kinie „Jubilat” Jan Szydłak udekorował sztandar Głogowa Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski w uznaniu zasług mieszkańców Głogowa w walce o polskość, za doniesie osiągnięcia gospodarcze i kulturalne.

CZERWIEC

● W Miłkovicach, kosztem ponad 60 mln zł, oddano do użytku odtworzoną fermę kurcząt, która ma dostarczać rocznie 1000 ton brojlerów.

● W Głogowie, przy XI-wiecznej kolegiacie, odsłonięto fragment grodu słowińskiego. Jest to prawdopodobnie osada wzmiankowana przez Galla Anonima.

● O rozległy pawilon handlowy (spożywczy) typu NRD wzbogacił się Polkowice.

LIPIEC

● Rozpoczęły się żniwa. Do zebrania był rzepak z 12 tys. ha i zboża ze 107 tys. ha. Do pracy na polach przygotowano prawie 700 kombajnów, 7,5 tys. ciągników, ponad 3 tys. snopowiązalek.

● Z najmłodszej kopalni zagłębia miedziowego — ZG „Rudna” wyjechała na powierzchnię 10-milionowa tona rudy.

● Zaczęły się remonty szkół. Wytypowano do nich 90 placówek oświatowo-wychowawczych przeznaczając na te prace 45 mln zł.

● W Jaworze otwarto Zakłady Kuziennicze, które z Fabryką Narzędzi Rolniczych utworzyły jedno przedsiębiorstwo — Zakłady Kuziennicze Przemysłu Maszyn Rolniczych. Budowa

trwała 36 miesięcy. W uroczystości uczestniczyli m.in. wicepremier Franciszek Kaım oraz członek Rady Państwa — Henryk Szafranski.

SIERPIEŃ

● Automobilklub Zagłębia Miedziowego w Lubinie uruchomił ekspozycję Okręgowego Biura Turystyki PZMot.

● 10 sierpnia zapłonął ogień w pierwszym piecu anodowym HM „Głogów II”, a 31 sierpnia nastąpił próbny wytop miedzi anodowej.

● W sąsiedztwie osiedla Przylesie w Lubinie miejscowe zakłady pracy rozpoczęły budowę dużego kompleksu domków jednorodzinnych.

● 18 sierpnia rolnicy województwa zakończyli żniwa.

WRZESIEŃ

● W Polkowicach oddano do użytku czwarte przedszkole, do którego przyjęto 140 dzieci.

● Rozpoczęły się wykopki buraków cukrowych Ruszycy także cukrownie w Jaworze i w Głogowie.

● W Lubinie przy ul. Leśnej i w Polkowicach przy ul. Bieruta otwarto pawilony handlowe, każdy o powierzchni 1300 m kw.

● W Rokittkach oddano do użytku ośrodek wypoczynku świątecznego HM „Legnica”.

● Na mistrzostwach świata w akrobatyce sportowej w Saarbrücken czterech akrobatów ze Złotoryi zdobyło dwa złote i jeden srebrny medal.

● W Chrostniku rozpoczęły pracę dwie nowe szkoły kształcące kadry dla rolnictwa — trzyletnie zaoczne Technikum Mechanizacji Rolnictwa i Średnie Studium Zawodowe.

● W Głogowie otwarto studium dla wychowawczyń przedszkoli.

PAŹDZIERNIK

● 12 października wyruszył z Legnicy do Związku Radzieckiego drugi w tym roku „Pociąg Przyjaźni”. W podróży udalo się 318 osób.

● Niedziela, 24 października, była dniem zalesień i zadrzewień w województwie legnickim. Ten czyn społeczny kontynuowany był 7 listopada.

● Zbiorcza Szkoła Gminna nr 7 w Lubinie otrzymała 23 października imię gen. Aleksandra Zawadzkiego.

LISTOPAD

● 2 listopada w Warszawie podpisany został kontrakt z RFN na dostawę w ciągu 12 lat 480 tysięcy ton miedzi.

● W Legnicy zakończono budowę pierwszego odcinka (razem z rozjazdami około 800 m długości) tzw. małej obwodnicy, która „uporządkowała” ruch kołowy w centrum miasta oraz tranzyt w kierunku Lubina i Wrocławia.

● 11 listopada na wydziale elektrorefinacji HM „Głogów II” odbyło się

ciągnięcie miedzi elektrolitycznej z zespołu wanień uruchomionych w programie „minimum”. Tym samym nowa huta wyprodukowała pierwsze 50 ton miedzi.

● Kolejny, trzeci w tym roku, „Pociąg Przyjaźni” wyruszył z Legnicy 13 listopada. Jego trasa przebiegała przez Czechosłowację, NRD i Węgry. W podróży udalo się 360 przodujących w pracy mieszkańców zagłębia miedziowego.

● 16 listopada na budowie HM „Głogów II” przebywali m.in. wicepremier, minister hutnictwa — Franciszek Kaım i minister przemysłu materiałów budowlanych — Adam Glazur, którym towarzyszyli gospodarze województwa.

● W Chocianowie oddano do użytku „Dom nauczyciela”. Zamieszkało w nim dziewięć rodzin.

● Zakończono remont części wschodniej i południowej Zamku Piastowskiego w Głogowie. Odrastaurowane przez HM „Głogów” pomieszczenia przeznaczono na klub NOT oraz dla potrzeb Muzeum Hutnictwa i Odlewnictwa Metali Kolorowych.

● W „Legmecie” zbudowano pierwszy wóz odstawczy o nośności 35 ton, który przeznaczono dla ZG „Rudna”.

GRUDZIEŃ

● W Polkowicach, w ZG „Rudna”, z udziałem wicepremiera i ministra hutnictwa Franciszka Kaıma oddano do eksploatacji główny szyb wydobywczy kopalni R-2. W tym samym dniu, także w Polkowicach, przekazano do użytku Zakład Lecznictwa Zapobiegawczego.

● W plebiscycie o tytuł „Najpopularniejszego górnika zagłębia miedziowego 76 r.” zwyciężył nadsztygar górniczy ZG „Polkowice” — Jan Zańko.

● Z okazji górniczego święta, w czasie akademii i spotkań, wręczono najlepszym pracownikom wysokie odznaczenia państwowe, m.in. trzy odznaki honorowe „Zasłużony Górnik PRL”, 31 Orderów Sztandaru Pracy II klasy i dziewięć Krzyży Kawalerskich Orderu Odrodzenia Polski.

● Przy szybie głównym ZG „Lubin” otwarto stołówkę pracowniczą o 400 miejscach.

● Pięściarze Zagłębia Lubin wywalczyli awans do I ligi bokserskiej.

● Po trwającej niespełna rok budowie w Lubinie oddano do użytku sztucznie chłodzony tor do jazdy szybkiej na lodzie.

● 16 grudnia odbyła się w Legnicy wojewódzka narada aktywno-partyjno-gospodarczego poświęcona zadaniom społeczno-gospodarczym przyszłego roku i całej pięcioletki. Na zdjęciu poniżej fragment sali obrad i prezydium narady. Przemawia I sekretarz KW PZPR w Legnicy — Stanisław Cieślak.



Fot. Krzysztof Raczkowski

NUMER ZAMKNIĘTO 18 GRUDNIA. NASTĘPNE WYDANIE „KONKRETÓW” UKAŻE SIĘ 7 STYCZNIA 1977 R.

WYJĄTKIEM tych, którzy w ten piątkowy wieczór muszą pozostać na swych posterunkach pracy, zaszliśmy wszyscy — jak

każde polskie tradycje — przy wigilijnym stole, aby w rodzinnym gronie spożyć świąteczną kolację i obdarować się gwiazdkowymi prezentami. W wielu domach zabłysną choinkowe lampki lub świeczki, będą koledy i ludowe śpiewki, nie obejdzie się też zapewne bez zimnych ogniów i gorących dyspół.

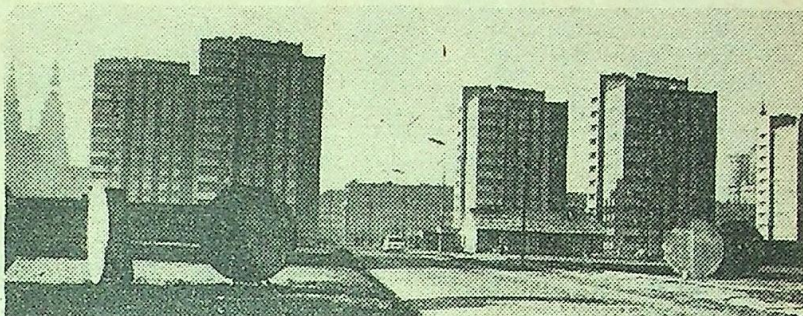
Wprawdzie stół wigilijny na ogół nie jest, że tak powiem, stołem mięsnym (jeśli za mięso nie uważać ryby), to jednak — jak znam swoich rodaków — sprawa szynki i schabu będzie jednym z głównych tematów świątecznych rozmów. Cóż, jesteśmy narodem mięsożernym i lubiącym sobie dobrze, nie rzadko nazbyt dobrze podjeść i to nie tylko w święta. Ale proponujemy oderwać na chwilę oczy od świątecznego stołu i na drogę, którą przeszliśmy w ciągu minionych sześciu lat, spojrzeć nie przez pryzmat podniebienia, lecz szerzej —

ków, dziewiarek, rolników, budowlanych, kolejarzy i transportowców aktywnie uczestniczy w społeczno-gospodarczym rozwoju kraju i wnosi godny wkład do wspólnego dorobku naszej ojczyzny.

SNUJĄC refleksje nad przeszłością, będziemy mówili, że rok bieżący był różny od lat poprzednich, a niektórzy powiedzą, iż był po prostu trudny. Rzeczywiście, nie był łatwy, bo wskutek głównie przyczyn obiektywnych (gwałtowny wzrost cen surowców i płodów rolnych na całym świecie, słabe urodzaje przez trzy kolejne lata w polskim rolnictwie) spietrzyły nam się trudności, których konsekwencją jest taka, a nie inna sytuacja rynkowa. Wszelako i ten 1976 rok kończymy niemalymi sukcesami, z których nie wszyscy zdajemy sobie sprawę. Nie widzą ich w ogóle ci, którzy myślą wyłącznie o schaboszczaku lub suchej kiełbasie. Nikt nie przeczy, iż są braki i to dokuczliwe, denerwujące. Widzi je kierownictwo partii, czemu wyraz dał I sekretarz KC, tow. Edward



Szybka odbudowa pogłowia trzody i stada krów, to jedno z najważniejszych zadań naszego rolnictwa. Do roku 1980 powinno ono zwiększyć produkcję globalną o 29 proc., w tym zwierzęcą o 33 proc., a roślinną — o 25 proc.
Fot. St. Celoch



W roku 1977 musimy zbudować co najmniej 16.200 łb mieszkalnych, a w całym 5-leciu nie mniej niż 84 tysiące. Byłoby to dwa razy więcej niż w minionej pięcioletce, ale potrzeby są wielokrotnie większe.
Fot. H. Kruk

PRZY STOLE WIGILIJNYM

przez pryzmat dokonań ogólnonarodowych i regionalnych, podyskutować w kategoriach sukcesów zbiorowych i indywidualnych.

Przypomnijmy sobie dzisiaj, w rocznicę VII plenum KC, jak pracowaliśmy i jak żyliśmy wtedy, przed sześcioma laty, czym wszyscy razem i każdy z nas z osobna dysponował wówczas, a czym może się pochwalić teraz jakiego rodzaju kłopoty trapiły nas sześć lat temu, a z jakimi borykamy się obecnie, na półmetku dekadty ósmej. I gdy tak dojrzymy się nad tymi społecznymi i ekonomicznymi relacjami zastanowimy to dojdziemy sami do wniosku, iż obrona przez obecne kierownictwo polityczne kraju droga była i jest jedyną, że tylko strategia przetrwania i rozwoju mogła przynieść korzyść, jaką Polska zaimuje dziś w świecie, że gdyby nie to ostre tempo, jakie wzięliśmy na początku roku 1971, borykalibyśmy się dzisiaj z o wiele większymi i poważniejszymi problemami niż te rynkowe.

Przez ponad pięć lat nieśliśmy się szybko w górę, pomnażając majątek narodowy w tempie niespotykanym w całym poprzednim ćwierćwieczu. Polski Ludowej, czym wzbudzałyśmy podziw i uznanie całego świata. A — jak powiedział na niedawnej naradzie aktywu partynno-gospodarczego I sekretarz KW PZPR w Legnicy, tow. Stanisław Cieślak — najważniejszym i budującym przykładem tych wielkich dokonań Polaków jest nasze województwo, w które zainwestowano miliardy złotych; nie tylko w jego wielką miedź, ale i w gospodarkę komunalną, budownictwo mieszkaniowe, oświatę i rolnictwo. Jakże inną jest dzisiaj, po tych sześciu latach, krajoznaz zagłębia miedziowego w jakieś innych, to znacznie lepszych warunkach, pracują i żyją jego mieszkańcy. Wzrosły nam w tym krótkim czasie nie tylko nowe, wielkim nakładem sił i środków wzniesione obiekty przemysłowe, lecz także — liczne nowe osiedla mieszkaniowe, dziesiątki sklepów, żłobki i przedszkola, stołówki zakładowe i placówki usługowe. Gruntownym przeobrażeniem uległy metody zarządzania i kierowania gospodarką, dzięki czemu zainwestowane w nasz region miliardy były i są właściwie wykorzystywane. Województwo legnickie — mówił 16 grudnia tow. Stanisław Cieślak — dzięki wyjątkowej i rzetelnej pracy górników, hutni-

Gierek w swoich sugestywnych, przepełnionych troską o losy kraju, wystąpieniach na wiecach w Katowicach i Mielcu, na V plenum KC i VIII Kongresie Związków Zawodowych. Jednak pamiętać trzeba o drugiej stronie tego samego medalu: dynamiczna polityka społeczno-ekonomiczna wzywała aspiracje wyrastające ponad aktualne możliwości. „Tej fali nadziei i oczekiwań — mówił na V plenum Edward Gierek — nie zawsze towarzyszy świadomość rzeczywistych warunków i kosztów rozwoju społeczno-gospodarczego. Nie wszyscy obywatela naszego kraju zdają sobie sprawę z tego, jak ogromnych wysiłków materialnych, a także jakiego napięcia sił moralnych trzeba nam w powszechnej skali, aby spełnić wspólne ogólnonarodowe aspiracje i nadzieje”.

Owe napięcia skumulowały się właśnie w mijającym roku na rynku wewnętrznym i w handlu zagranicznym. Stąd kłopoty zaopatrzeniowe, stąd konieczność zaciśnięcia pasa. Mamy jednak przewidywać i dzięki ich pomocy można było te trudności zlać, o czym przekonał się w okresie przedświątecznym z niemalymi kłopotami, ale jednak mogliśmy się zaoferować na świat, w niezbędne ilości tłuszczu i mięsa, białek i owoców południowych. Dostawmy mięsa i drobiu na świąteczny stół nie były w tym roku mniejsze niż rok temu. Jeśli mamy inne odczucia, to dlatego iż znacznie wzrosły nasze apetyty, wynikające z ogromnego wzrostu naszych zasobów gotówkowych. Bo wiadomo, że wciąż jeszcze większa część zarobków przeznaczamy na zakup żywności.

Może ktoś w tym miejscu powiedzieć: no, dobrze, na co mamy wydawać skoro na samochód i mieszkanie trzeba czekać po kilka długich lat, skoro przemysł lekki i elektromaszynowy nie nadąża z popytem poszukiwanych wyrobów. Tak, to prawda, ale prawda jest również to, że jeszcze sześć lat temu nawet nie śniło nam się o „maluchu” czy automatycznej pralce o dużym facie czy kolorowym telewizorze, o magnetofonach czy odbiornikach stereo itd. Nie od razu Kraków zbudowano...

Spójrzmy teraz na zamieszczone obok zdjęcia i pomyślimy: O ileż lepiej i dostatniej będzie nam się żyło za lat parę, jeżeli każdy z nas lepiej przyłoży się do wypełnienia swoich powinności wobec Ojczyzny.



Nasz przemysł lekki ma zwiększyć do roku 1980 swą produkcję o 45 proc. Nowe inwestycje, to: farbiarnia dla przemysłu dziewiarskiego i nowoczesny zakład odzieżowy.
Fot. Krzysztof Raczkowiak



Duże nadzieje wiązać trzeba z eksportem i to nie tylko miedzi. A mamy się czym pochwalić na rynkach zagranicznych. Na zdjęciu: Samozędny dźwиг budowlany z głogowskiej „Famaby”.
Fot. Archiwum



Jednym z podstawowych warunków osiągnięcia w tym 5-leciu 75-procentowego wzrostu produkcji miedzi jest zakończenie rozbudowy kopalni „Lubin” i „Polkowice” przynieszone doświadczenia do projektowania zdolności produkcyjnej przez „Rudną” i rozpoczęcie budowy „Sieroszowic”.
Fot. K. Raczkowiak



Do tych podstawowych warunków należy terminowe oddanie do eksploatacji II etapu HM „Głogów II”. Plan na rok 1977 zakłada wyprodukowanie 306 tys. ton miedzi elektrolitycznej.
Fot. K. Raczkowiak

ZIEMIA



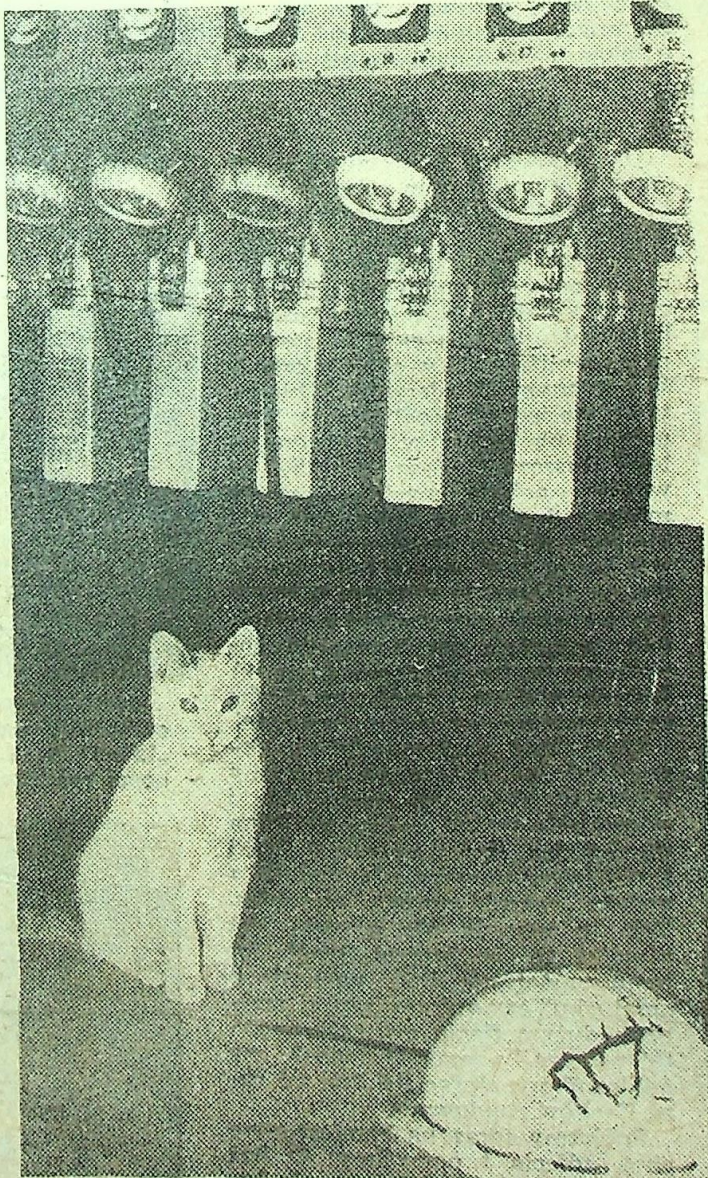
Rok się zbliża do końca. Szmata roboty za nimi. Teraz już drażnienie będzie szło dwukrotnie szybciej. Nawet po największym wysiłku o uśmiech więc nie trudno.
Zdjęcia: Krzysztof Raczkowiak

NA VIVAT Z... DYNAMITU. Kończy się rok. Dla budowniczych szybu L-6 w Rynarcicach zbliża się moment przełomowy. Jeszcze tylko metry dzielą ich od poziomu, na którym skończy się drażnienie w zamrożeniu. Przed tygodniem wyłączono agregat zapewniający obieg solanki. To ona płynąc przez pięćdziesiąt rur wbitych dookoła szybu głęboko w ziemię, odebrała jej ciepło, zamieniła niebezpieczną kurzawkę i wodę w kilkumetrowej grubości płaszcz lodowy. Ludzie, którymi kieruje sztygar oddziałowy Bolesław Adamski są zadowoleni. Szmata roboty za nimi.

W ziemię, na każdej zmianie, wgryza się, siedmiu ludzi. Ile to mieści się na ich dzisiejszy uśmiech i satysfakcję?



Zmęczenie? — odpowiada Bronisław Misior. Dopóki robota idzie, to nawet o tym nie ma co mówić. Dwudziesty rok w górnictwie już leci, niby wiek, ale w sierpniu o krok byliśmy od rekordu zagłębia w drażnieniu szybów. Czterech metrów nam zabrakło, bo kombajn wysiadł. Satysfakcja przed nosem przeleciała, no ale te dwaście tysięcy się zarobiło.



Górnicy nie są przesadni, ale wątpię czy by w takiej komitywie żył z nimi czarny kot...

Ziemi wywożonej, co rusz, wielkimi kacziami, nawet nie przeliczysz. Może inaczej. Co miesiąc średnio wgłębiali się o pięćdziesiąt metrów. Co tysiąc pięćset centymetrów montowali z szesnastu segmentów tubing — gruby na 120 milimetrów pierścień żelazny. Za każdym razem skręcali pierścień do pierścienia stu sześćdziesięcioma śrubami. Taka ważąca dwadzieścia milionów kilogramów, długa na blisko pół kilometra rura, ma swoje wymogi...

★

W kuble zjeżdżamy na dno budowanego szybu. Im niżej tym cieplej. Główny koordynator w przedsiębiorstwie, inżynier Ulrich wyjaśnia że to jeszcze cement izoluje od płaszcza lodowego. Nie tak dawno robili — jak to się potocznie powiada — mleczkowanie i mróz nie zdołał przeniknąć.

Na miejscu, po opuszczeniu „windy” jesteśmy zaskoczeni ciszą, jak w żadnej innej kopalni. Przyczyna wyjaśniona zostaje dość szybko. Przed chwilą po prostu poszedł, już po raz drugi w ciągu zmiany, ząb w kombajnie drażącym grunt. Teraz spawacz naprawia uszkodzenie.

— Dla nas to dobry znak, uśmiecha się Bronisław Misior. Grunt coraz twardszy, idzie skała. Tak wyliczyłem, że chyba na Nowy Rok będziemy robili dynamitem pierwszy ostrzał. Pracujemy w systemie czteroobrotowym — czyli Sylwester szykuje się pod ziemią. Nie pierwszy i nie ostatni pewnie, ale te dwa i pół kilo dynamitu na vivat strzelimy!

ZIEMIA OSWOJONA. Pod ziemią już znacznie ciasniej. Prócz tych siedmiu pod wodzą przodowego Czesława Górskiego, są inżynierowie: Jan Ulrich, Jerzy Kormołowski, Stanisław Samborski, sztygar Bolesław Adamski (znają się jak „lyse konie” od pierwszego szybu L-1). Po moich pierwszych rozmowach z górnikami, inżynier Kormołowski bierze mnie na stronę.

— Dziwił się pan — mówi półgłosem, że ja książek o zdobyciu miedzi nie czytałem. Oczywiście, wszystkie mam na półce w domowej bibliotece. Bo ja myślę, że czytanie o tym, co się przeżyło, to tak jak grzebanie w starych listach. Wspomnienia są najpiękniejsze jeśli się je przy sobie nosi, a nie nad nimi rozkłada.

— O tym co było, to człowiek często dowiaduje się z innych książek — włącza się do rozmowy inż. Ulrich. Tak wielkich słów używano dla określenia naszej batalii z żywiołem. I rzeczywiście, teraz to nawet trochę niepojęte. Byłem pierwszym zawiadowcą na pierwszym szybie kopalni Lubin. Jak myśmy wtedy przetrzymywali? To się nie da wyjaśnić. Wystarczyło, że woda wdierała się strużką pod ciśnieniem kilkunastu atmosfer i już po pół godzinie w szybie powstawało jezioro — głębokie na trzydzieści metrów. Czas już zaczął wiele zdarzeń. Dziś zupełnie się zmieniło. Stosujemy kanadyjską technologię zabudowy tubingowej, która narasta wraz z postępowaniem drażnienia, a nie tak jak kiedyś — gdy kładliśmy pierścienie po wykopaniu odcinka trzydziestometrowego. Gdy wszystko w zagłębiu ruszało, działaliśmy najnowocześniejszą w owych czasach techniką, ale z dzisiejszą nie ma co nawet porównywać. Średnica szybu o półtora metra była mniejsza, ale mieścić się w niej musiało ćwierć setki ludzi i każdy uzbrojony w kilof pneumatyczny rwał grunt. Tak samo i bezpieczeństwo jest dziś nieporównywalne. Kiedyś igrało się dosłownie z losem, dziś grozi jedynie nieszczęśliwy przypadek, taki jak może spot-

OSWOJONA

kać, gdy przechodząc pod domem, spadnie na głowę doniczka. Najważniejsze to jednak chyba jest to, że myśmy się przez te lata z ziemią oswoiili. Najlepiej ten mechanizm pokazała książeczka o Małym Księciu. Jest w niej taki fragment, w którym lis prosi Małego Księcia o oswojenie. „Będiesz — powiada do złotowłosego chłopczyka — na początek przychodzi co wieczór i siadał w odległości pięćdziesięciu metrów ode mnie, bo jestem przecież dziki. Na razie wystarczy ci tylko radość, jaką daje oczekiwanie kolejnego wieczoru, kolejnego spotkania. A później...”.

Czy u nas tak nie było? Ziemia obiecywała swoje szczerze dary, broniła ich jednak w sposób stanowczy i musiała nam, gdy przez rok posuwaliśmy się o dziesięć metrów w półkilometrowym szybie, wyściskać nadzieję, że jutro, i oczywiście upór — kto mocniejszy. Dziś ją już oswoiiliśmy. Znamy większość niespodzianek, jakie mogą na nas czyhać. W przedsiębiorstwie, w Lubinie dwie panienki z dnia na dzień liczą, obserwują przyrządy — możemy więc ziemię przechytrzyć. Wczoraj, to już tylko odległe wspomnienie, takie same jak choćby pobyt w czasie praktyki po ukończeniu uczelni w najgłębszych kopalniach świata. W RPA do rudy złota, uranu trzeba było się wgrzać na trzy kilometry. Dzisiaj coraz bardziej upodabnia się nasza robota do pracy w przemyśle. Systematycznie, dokładnie, bez zakłóceń.

Górnicy, którzy szykowali się do końca szczytu, gdy tylko uporali się z zębem kombajnu, otoczyli nas z zaciekawieniem. Mogłem notować.

MĘSKA SPRAWA. — Z tym oswojeniem panie inżynierze to prawda. Tylko, że w obie strony — podejmuje Marian Namysłowski — „przy miedzi” od 1963 roku. Pamięta pan ile człowiek miał kiedyś respektu? Geolodzy wywiercili gdzieś tutaj trochę gazu — kilka pęcherzyków. Tamę wlewy pod ziemią na „Lubinie” postawili — bo jakby był wybuch, czy tąpnięcie... Dziś, na tę bojaźliwość śmiech bierze. My ziemię, ona nas oswoiła i jest dobrze. Innej drogi w rozgrywe z żywiołem nie ma. Bo jak było na P-3? Dla bezpieczeństwa zrobiono nową technologią podwójny płaszcz mrożeniowy. Efekt? Przedobrzono i taki był nacisk na ściany, że dno wyrzuciło do góry jak korek i gdyby nie intuicja górników, wystające u góry elementy tubingów sprasowały by ich. Na szczęście stali na środku i placek zrobił się tylko z narzędzi.

— To właśnie dlatego każdy musi przestrzegać starego górniczego obyczaju i pod ziemią kogo napotka witać musi tradycyjnym „szczęść Boże!”. Kiedyś pamiętam skalny odłamek doszedł mojej nogi i przeciął jak brzytwa, ale naskórka nawet nie ruszył. Tak „szczęście”. Starzy górnicy ci co z węgla przyszli opowiadają, jak to na Śląsku w taki budowany dopiero co szyb spadła świeczka i rębacz, co na dole pracował, zabiła. Tak, ważne jest szczęście i intuicja.

To będzie trochę później. Za kierownicą „tarpana” inżynier Ulrich. W przestronnej kabine siedzą nasi przewodnicy po L-6. Wracamy z Rybnarciu do Lubina. Później notatnik. Wspomnienia i dzień dzisiejszy obfitują w treści znacznie bogatsze, bardziej zaskakujące, od tych spotykanych w powieściach przygodowych czy sensacyjnych.

— Pytał pan o strach — mówi inż. Samborski. Ano był. Tylko gdy człowiek mus z nim stykać się na co dzień, powszednie. Najlepszym dowodem, że od kiedy tu pracuję nie zdarzyło się aby jakiś górnik odmówił zjazdu pod ziemię. Raz tylko jeden się wykruszył. Bo kiedyś było tak, że na jednym wyciągu były kubły — na przeciwnych końcach liny. Zabezpieczeniem na wypadek awarii była więc stalowa drabina, której końcowy odcinek jakieś 50 metrów, był z lin, tak chybotał. No i to go załamało. Podczas próbnego alarmu „zabij go, a on nie przejdzie”. Ale to tylko raz.

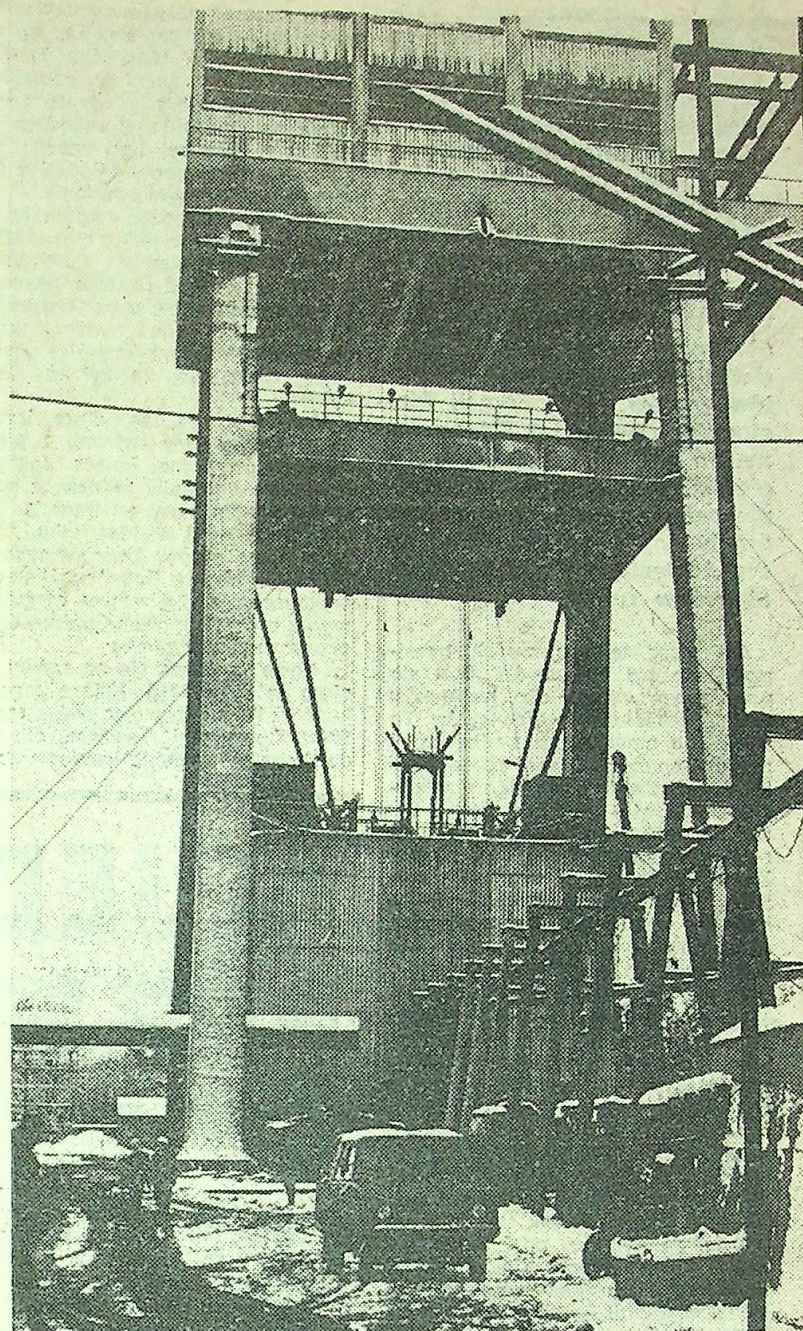
Poznam w czasie tego naszego dojazdu do Lubina jeszcze jedną historię pisaną miedzią. Małą, bardzo osobistą, ale czyż nie najlepiej oddającą to, co się mieści w słowach: „górniczy trud górnicza solidarność, męska przyjaźń zrodzona w zmaganiach z żywiołem”...

Inżynierowie Kormolowski i Ulrich, dziś pracują w jednym pokoju, biurkami do siebie. Znają się od dzieciństwa. Razem chodzili do szkoły i liceum górniczego w Częstochowie. Wspólnie zaliczali AGH. Później los ich rozdzielił. Ulrich przyjechał do Lubina gdy była tu tylko tabliczka „Budowa kopalni”, a Kormolowski trafił do wojska na przeszkolenie. Któregoś niedzieli otrzymał przepustkę. Do kumpla bliżej niż do domu, więc trafił na budowę. Jan zaprowadził go do prowizorycznej wieży, z której prowadzono głębinia, pierwsze centymetry. Tam spotkał dyrektora Sztukowskiego. „Kolega? — zapytał. Górnik? Tak... W żołdatach? No to zdążysz jeszcze u nas popracować. Załatwione?”. Zaraz po powrocie do cywila zwolnił się ze Szczygłowic (o przeniesieniu nie było mowy, bo to różne resorty) i zupełnie — jak dziś powiada — na wariata zatrudnił się tu. Czy żałuje? Po chwili wahania mówi: — Przeniosłem się z powodu chojrackiej ambicji. Bo powiedziałem wtedy Sztukowskiemu, że przyjdę do „Lubina”. I choćby nie wiem co — musiałem tego słowa dla własnego spokoju dotrzymać, przed samym sobą. Człowiek był młody i jak powiadają głupi, ale miałem rację. Człowiek widzi to co zrobił, a to wiele.

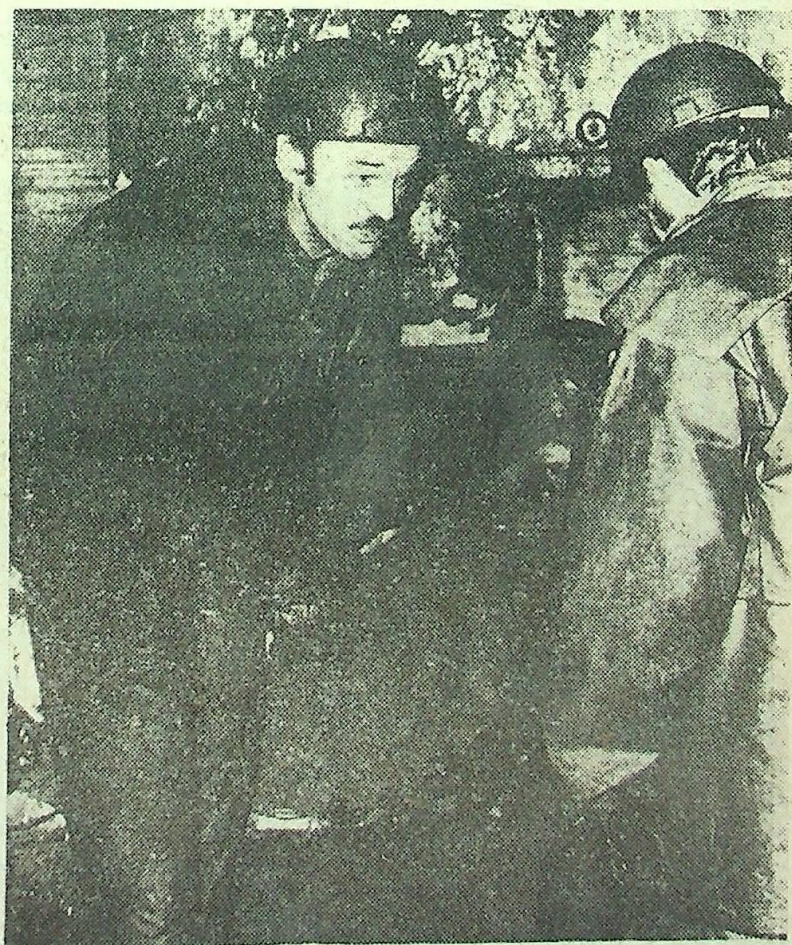
Po wyjeździe na górę, nie ma już wiele czasu na pożegnania. Szychta skończona śpieszno do łóżni, a potem byle najszybciej do domu. Szybko rzucam ostatnie pytanie:

— Co was tu trzyma? Wszyscy panowie macie staż nieomal ab urbe condita...

— W większości myśmy do PBKRM-u przyszli z kopalni, które zamykali. Słowem „za chlebem”. A chleb był tu ciężki, ale i satysfakcja i pieniądze były. Mieliśmy wszyscy po dwadzieścia bare lat. Zdrowia nam nie brakowało. Przywlekliśmy. A teraz? Nie tylko my się starzejemy. Dziś na budowie szwbu, jak sam się pan przekonał, jest jak w fabryce. Roboty w porównaniu z tym jak na lubińskich początkach o siedemdziesiąt procent mniej. W sam raz dla weteranów.



Teraz drąży się ziemię z wieży szybowej, a nie jak dawniej z prowizorki.



— Znow poszedł ząb w kombajnie! — obwieszcza swym kolegom Kazimierz Stonecki. Skala blisko, na Sylwestra chyba już będziemy strzelać!

Tekst: TOMASZ KALICKI

Zdjęcia: KRZYSZTOF RACZKOWIAK

N

A PIERWSZY rzut oka — budowla nieszczęśliwa. Prosty wyraz. Elewacje bez sztukaterii. Do-

piero, jak się zamkowi bliżej przyjrzeć, układa się jego i miasta historia przebogata...

Dogasał ogień II wojny światowej. Milkły wystrzały. Legnica nie była tak ważnym punktem oporu hitlerowców jak Głogów czy Wrocław, ale tutaj też nie obeszło się bez okaleczeń budowli. Wśród dotkniętych pożarami obiektów znalazł się Zamek Piastowski. dowód iak żaden inny, na nolskość tych ziem. Ogień strawił niemal doszczętnie całą budowlę. Zniszczeniu uległy obie wieże. Do lat sześćdziesiątych zamek pozostawał w ruinie.

Ale przez te lata zamek bynajmniej nie był bez opieki. Stał się prawdziwym rajem dla historyków sztuki, archeologów i architektów. To dzięki ich nieustannym badaniom i poszukiwaniom ustalono dzieje zamku. A co najważniejsze jego piastowską przeszłość. Naukowe opracowania pozwoliły na przyjęcie optymalnego rozwiązania odbudowy zamku. Zdecydowano się na realizację projektu zakładającego restaurację obiektu z uwzględnieniem wszystkich elementów architektonicznych powstających na przestrzeni wieków.

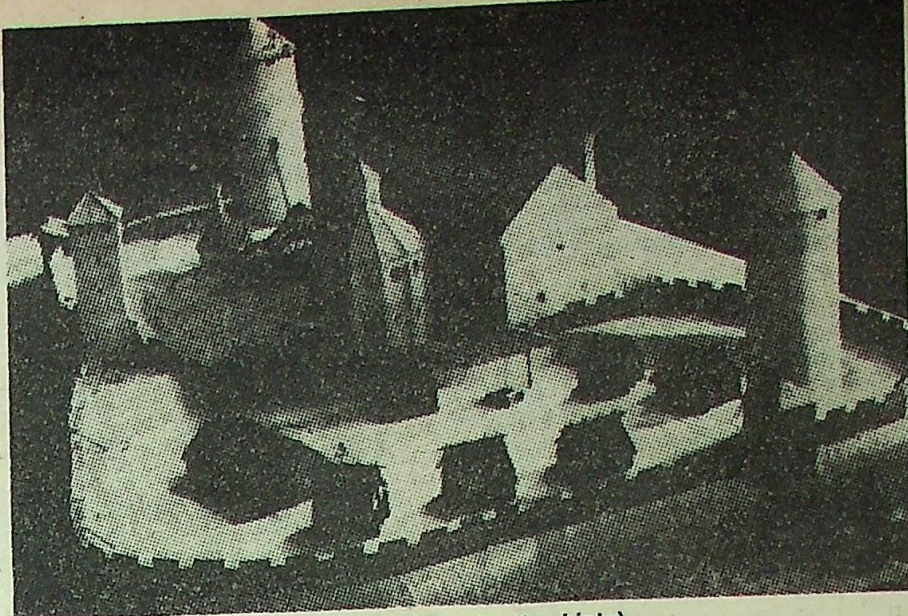
W 1977 roku minie 755 lat od chwili, w której znajdujemy zapis w Księdze Henrykowskiej: (...). „Prześlawny książę (Henryk Brodaty) poprzednio ułożył sobie, że we wsi Henryków zbuduje dla siebie i swoich następców dwór królewski. (...)”. Zamiaru tego jednak nie zrealizował w owych latach. Na drodze stanęli cystersi, którzy wzniesli w Henrykowie klasztor. Zaś książę Henryk tak zupełnie nie dał za wygraną, gdyż jeszcze w latach dwudziestych XIII wieku w kasztelanii legnickiej, którą na swą siedzibę wybrał — dopiął swego i budowę pałacu rozpoczął. Do roku 1241, kiedy pod mury zamku dotarły wojska tatarskie, użytkowano już wiele pomieszczeń, które przetrwały do dziś. Budowla spełniała rolę rezydencji i centralnego punktu obrony miasta. Powstały trzy wieże: św. Piotra, św. Jadwigi, Lubińska (tak ją nazwano później). Pozostałości tych murów istnieją do dziś, z tym, że

przez wieki nawarstwiły się na nich inne style. Stąd też różnice w kolorystyce cegły. Nie zachowały się na „powierzchni” tylko mury kaplicy romańskiej — rówieśniczeki zamku, którą rozebrano w 1621 roku. Dopiero w roku 1963 żmudne dociekania archeologów doprowadziły do odszukania na dziedzińcu zamkowym pozostałości kaplicy. Dziś można owe zachowane fragmenty oglądać w specjalnie zbudowanym pawilonie.

Te archeologiczne poszukiwania przyniosły jeszcze jedną niespodziankę. Pod grubą warstwą ziemi ostały się szczątki murów, które nasuwają przypuszczenie, że w pobliżu zamku istniał jeszcze jeden budynek wchodzący w skład henrykowskiej posiadłości. Sądzi się, że był to „dom kobiet”.

Mało kto wie, że wieże legnickiego zamku były jednymi z pierwszych w ówczesnej Polsce. Jak wiadomo nie uchroniły jednak te solidne romańskie mury od tragedii, jaka spadła na gród w 1241 roku, kiedy to podczas obrony Legnicy ginie jego książę Henryk Pobożny. Historycy przypuszczają, że w tym momencie mogły być zahamowane dalsze prace przy rozbudowie zamku.

„Nowe” zaczęła się na zamku dopiero w roku 1416 Książę legnicki Ludwik II, przebywając wówczas w Saint Denis pod Parwzem, przysłał do Legnicy projekt, kamieniarza i



Romański zamek sprzed 1240 roku (makieta).

przebudowie uległy dwie wieże, a nie jak było powiedziane jedna. W efekcie zabiegów książęcych zamek zmienił radykalnie swój wygląd. 25-metrowa dotąd wieża, św. Piotra została podwyższona o 30 metrów. „Podskoczyła” również wieża św. Jadwigi. W ten sposób o legnickim zamku poczęto mówić, jako o budowlu dotrzymującej kroku architekturze

siono nowe budynki, a wśród nich arsenał. Nad nową bramą przejazdową po śmierci Jerzego Rudolfa, pojawiła się nowa kaplica książęca.

Kiedy grodem zawładnęli namiestnicy habsburscy, zamek przechodził dalsze przebudowy. Znacznie się rozszerza. I po tym dość pomyślnym dla zamku wieku siedemnastym, spada nań wielkie nieszczęście. Ogień niszczy książęcą kaplicę przy bramie Lubińskiej. Spalona zostaje stara romańska wieża oraz skrzydła północne i wschodnie. Restauracja po pożarze nadaje zamkowi barokowy charakter. Nie zdecydowano się jednak na odbudowę wieży Lubińskiej i kaplicy. Nad oknami umieszczono barokowe gzymsy, nadające budowli reprezentacyjnego wyglądu.

Te ciągłe przebudowy zamku urywają się jednak wraz z przejściem Śląska we władanie Prus. Ba, niektóre obiekty zabudowy wręcz rozebrano. Tak się stało np. w roku 1764 z zamkowymi fortyfikacjami, które zburzono z rozkazu królewskiego. Zaś ostateczna dewastacja zamkowych umocnień następuje w roku 1793. Zasypano wówczas fosy i zniszczono most.

Jakby nie dość nieszczęść, 21 maja 1835 roku zamek znów płonie. Ogień strawił prawie wszystko. Ale już pięć lat później rozpoczyna się przebudowa. Skrzydła zamkowe zmieniają swoją funkcję. Zmieniono wnętrza i klatki schodowe. Galeria międzydziedzińcowa otrzymała teraz neorenesansowy wystrój. Natomiast dawna wieża zegarowa, dla odmiany zamieniona się w budowlę romańską. Pod koniec XIX wieku na zamkowym dziedzińcu postawiono budynek w stylu renesansowym. W 1903 roku, w miejscu rudołfińskiego arsenału pojawia się nowy budynek. Potem w „życiorysie” zamku następuje przerwa aż do 1945 roku, kiedy to mury zamkowe po raz trzeci stają w płomieniach.

Z POCZĄTKIEM lat sześćdziesiątych na placu zamkowym pojawiły się ekipy konserwator-

skie i budowlane. Przystąpiono do skomplikowanej operacji rekonstrukcji budowli w oparciu o zachowane mury. Nakładem milionów złotych przywrócono świetność zamkowym komnatom. Wiele trudu włożono w odtworzenie szczegółów elewacji. Mieszkańcy Legnicy z uwagą przyglądali się, iak odrastali mury tak ważnej dla miasta budowli. Prace trwają nadal. Bada się zamkowe podziemia, restauruje ocalałe elementy zabytkowych wnętrz.

Niejedna jeszcze tajemnica kryją zamkowe mury. Wiele jest rzeczy nie powiedzianych. Ale i tak Zamek Piastowski niewiele ma „krewniaków” o tak bogatych dziejach...

Bibliografia: Ewa Różycka i Jerzy Rozpędowski „Zamek legnicki” Wyd. DTO — Wrocław.

A JEDNAK PRZETRWAŁ

CZESŁAW PAŃCZUK

pieniędzy na przebudowę zamku. W dołączonym liście zawarta jest prośba księcia do rady miejskiej i burgrabiego aby: „umówili” się z nim (kamieniarzem) i zlecili, aby miał tam (w Legnicy) mieszkanie kamień, podwody, ludzi i wszystko, czego będzie potrzebował (...)” W książęcej nocy jest również mowa o konieczności odbudowy starego domu św. Jadwigi.

Chyba jednak kolejne przebudowy zamku potoczyły się nieco inaczej, albowiem analiza architektoniczna wskazuje na to, że za Ludwika II

panującej powszechnie w Europie.

Dzieło Ludwika II kontynuował książę legnicki Fryderyk. W latach jego panowania (1453—1488) budowla wzbogaciła się o piękną kamieniarzkę wykonaną przez mistrzów saskiego warsztatu budowlanego. Tych samych, którzy pracowali przy rozbudowie placu Albrechta w Miśni.

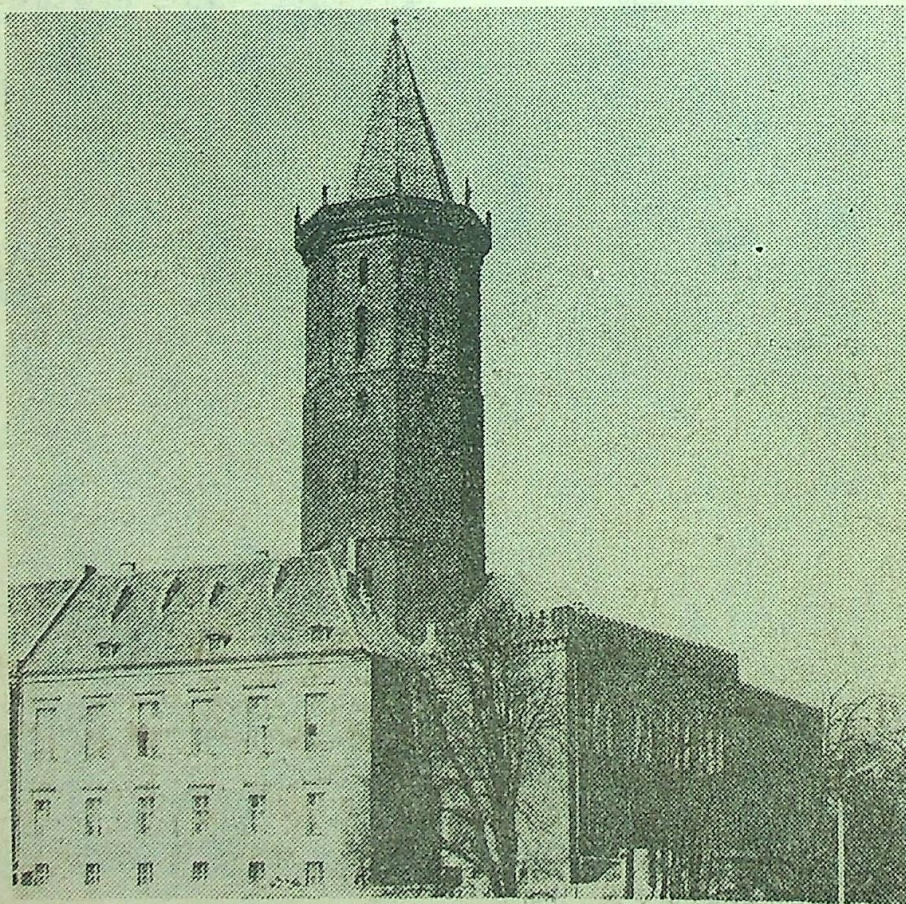
Zmieniła swój wygląd także kaplica. Na jej parterze wzniesiono łęk dla chóru. Od północy świątynię połączono z nowym budynkiem. Południowo-zachodnia strona kaplicy wzbogaciła się o gotyką, wieloboczną przybudówkę.

Rozbudowie ulegają fortyfikacje. Dostosowuje się je do nowych rodzajów broni. W komnatach pojawia się całe bogactwo gotyckich malowideł. Zachowały się modne wtedy ozdoby roślinne. W wieży św. Jadwigi znajduje się „zielony pokój”. Trwają tu aktualnie ogoromnie pracochłonne prace konserwatorskie mające na celu odtworzenie piękna gotyckiego malarstwa.

Szesnaście stulecie przynosi ze sobą nowy styl w architekturze. To renesans. Moda na przebudowę we włoskim stylu dociera również do Legnicy. Jej władca książę Fryderyk II (1503—1547) nie żałuje pieniędzy na architektów. Modernizacja zamku przenowadzona zostaje w sześć lat (1527—1533). Tak długi napis wryty na zachowanym pięknym portalu Zabieni upiększające zamek i zmieniające jego wykład na renesansowy to tylko fragment szesnastowiecznych prac. Istotniejsze było otoczenie zamku fortyfikacjami bastionowymi. Jedną z nich odsłonięto przy północno-zachodnim narożniku zamku.

Kolejne zmiany architektoniczne nastąpiły pod koniec XVI wieku. Wówczas na placu zamkowym wyrósł dwupiętrowy budynek łączący wieżę św. Piotra z palatium. Piękne renesansowe obramienia okien tej budowli można oglądać jeszcze dziś od strony dziedzińca.

Autorem największej przebudowy zamku legnickiego był książę Jerzy Rudolf (1603—1653). Za jego czasów wyburzono część starej średniowiecznej zabudowy. Niestety, rozbiórce uległa też romańska kaplica. Wznie-



Wieża św. Piotra otrzymała neogotycki hełm kilka lat temu. Niebawem spełniać będzie ona rolę punktu widokowego.

Fot. Krzysztof Raczkowiak

GDYBY nagle zabrakło uczniowskiej samorządności, gdyby młodzież zrezygnowała z roli współgospodarza szkoły, przestała na co dzień współpracować z nauczycielami, to zamarłoby życie szkoły — odpowiada dyrektor Banaś, kierujący głogowskim Zespołem Szkół Budowlanych, na pytanie o Kodeks Ucznia.

Minał rok od czasu wprowadzenia Kodeksu w życie, ucichły burzliwe dyskusje na temat długich włosów, kapci i mundurków, gdzieś tam trwają jeszcze pertraktacje między uczniami a nauczycielami w sprawie dni wolnych od pytania, sprawdzianów, klasówek stabilizują się powolutku nowe stosunki — obie strony szkolnej społeczności poczynają dostrzegać i doceniać zalety partnerstwa i dyskusji. Demokracja w szkole przestaje być wyuzdanym żądaniem młodzieży, godnym potępienia; jest coraz częściej uznawana za jedyny możliwy sposób ułożenia szkolnego życia, w wielu szkołach uważa się ją za oczywistą, jak to, że $2+2=4$. W wielu, ale nie we wszystkich; są jeszcze szkoły, gdzie nauczycielom trudno nieraz zrozumieć, że uczeń to też człowiek i to nierzadko człowiek dorosły, że człowiek ten ma prawo do własnego zdania do szacunku ze strony innych (także starszych od siebie), że wreszcie człowiek ów chce, może i powinien mieć wpływ na to, co się wokół niego dzieje. Kodeks Ucznia traktowany jest zwykle przez swych zwolenników jako zbiór praw i obowiązków dla uczniów i... nauczycieli. Jego przeciwnicy zapominają najczęściej o tym drugim członie, o tym, że — powiedzmy otwarcie — na nauczycieli nakłada obowiązki największe. Wprowadzony w pełni w życie, miał się stać — zgodnie z zamierzeniami swych twórców — szkołą demokracji, pod warunkiem jednak, że najpierw nauczyciele na tę demokrację się zgodzą, zechcą ją uznać za uzasadnioną i potrzebną, zechcą pomóc w jej rozwijaniu.

Zacytowany na wstępie dyrektor Banaś twierdzi, że nigdy nie miał wątpliwości co do sensu demokracji w szkole i dlatego pewnie wprowadzenie Kodeksu nie było zaskoczeniem ani dla niego, ani dla pedagogów. Kodeks był właściwie prostą konsekwencją tego, co w szkole działało się już wcześniej i pomógł rozwiązać niejedną problem. Choć, oczywiście, były i kontrowersje.

Mówią uczniowie Zespołu Szkół Budowlanych, deputowani do szkolnego sejmiku uczniowskiego. (Uczniom sorzed paru lat należy się tu

wyjaśnienie. Sejmik uczniowski to jedna z zupełnie nowych form szkolnej samorządności — brzmi to z pewnością poważniej i dostojniej, niż prozaiczny „samorząd szkolny”).

— Rok temu było bardzo wiele dyskusji wokół Kodeksu. Chodziło oczywiście przede wszystkim o prawa, co nam nawet nauczyciele wypominali. Ale oni sami też najwięcej uwagi poświęcali właśnie nowym prawom ucznia, szczególnie wtedy, gdy się z nimi nie zgadzali — mówi Danuta Zadyberna.

— Zadbaliśmy przede wszystkim o to, żeby wszyscy uczniowie naszej szkoły po prostu znali Kodeks — dodaje Leszek Sadowski. — Przygotowaliśmy specjalne godziny wychowawcze odbywały się specjalne apele poświęcone wybranym problemom Kodeksu, „kodeksowe” programy nadawał radiowęzeł szkolny, co jakiś

raz tę szkolną konstytucję — o sprawach współodpowiedzialności młodzieży za swoją szkołę.

— Co to jest samorządność? Jeżeli cieszyć się zaufaniem nauczycieli, jeżeli można na mnie liczyć we wszystkich sprawach dotyczących szkoły, jeżeli zajmuję się nimi z przyjemnością — to jest to chyba wyraz samorządności — mówi Leszek.

— Od czego więc zaczyna się szkolna samorządność? — pytam.

— No właśnie — wtrąca Danusia — nie zgodziłabym się z Leszkiem w takim określeniu samorządności. Ona musi zaczynać się od nas samych. Ja to może przedstawię na najbardziej szkolnym przykładzie — wyborach przewodniczącego klasy. W klasie pierwszej nie znamy się jeszcze dobrze, a musimy wybrać spośród nas kogoś, kto będzie naszym szefem.

TEN WSPANIAŁY KODEKS

ANNA STOKROCKA

czas zajmujemy się problematyką funkcjonowania Kodeksu na posiedzeniach sejmiku.

Młodzież dostrzegła więc ważną sprawę: wszyscy muszą wiedzieć, jakie mają prawa i obowiązki, bo dopiero wtedy będą mogli właściwie z nich korzystać. Wiadomo powszechnie, że przyjemniej jest korzystać z praw, niż wykonywać obowiązki — dlatego pewne prawa się nam „należą”, zaś obowiązki na nas „ciężą”. Nauczyciele, którzy doceniają i umieją wykorzystać Kodeks Ucznia, zdają sobie doskonale sprawę, że egzekwowanie obowiązków musi iść w parze z respektowaniem uczniowskich praw. Kiedy prawdę o tej współzależności rozumiemy także uczniowie, nie ma właściwie problemów z wzajemnym porozumieniem się, jest natomiast dużo czasu i miejsca na dyskusje, negocjacje, umowy.

W czasie wielkiej dyskusji nad Kodeksem w roku ubiegłym niejednokrotnie najwięcej uwagi i energii poświęcano sprawom drugorzędnych: w ferworze świętej wojny o długość włosów, czy kolorowe sweterki, zapominano często o tym, co stanowi istotę

Jedni w ogóle nie angażują się w wybór właściwego człowieka, bo nie ma to dla nich znaczenia. Inni przypatrują się kolegom, obserwują, by w czasie wyborów wskazać kandydata, uzasadnić dlaczego nadaje się na stanowisko. To jest samorządność, bo decyduje się o sprawach swojej klasy, chce się, żeby wszystko układało się jak najlepiej. Z czasem, jak się człowiek zdomowí w szkole, zaczyna też wpływać na jej sprawy, zostaje posłem w sejmiku, działa w harcerstwie...

Zespół Szkół Budowlanych w Głogowie skupia dziewięć różnych typów szkół. Kierowanie takim kompleksem wymaga od zespołu kierowniczego wielkiej energii i jeszcze więcej czasu. Przekazanie licznych spraw młodzieży, z którą nauczyciele tylko współpracują, było więc koniecznością.

— Nie boimy się obdarzać młodzieży zaufaniem — mówi dyrektor Banaś — wolimy chwalić, niż karać. Nie hamujemy uczniowskiej samodzielności i inicjatywy, nawet jeżeli nie wszystko wychodzi tak, jak byśmy to sobie urobili! Przecież mło-

MŁODZIEŻ

dzie musi gdzieś uczyć się życia, działania, a szkoła jest do tego miejscem najlepszym.

— Czyja to zasługa, że Kodeks Ucznia zadomowíł się w waszej szkole bez szczególnych wstrząsów? — pytam.

Nawet u nas nie wchodził bez oporów. Najtrudniej było porozumieć się ze starszymi nauczycielami, którzy nie bardzo chcieli rozstać się z przyzwyczajeniami — mówi Zbyszek Jaroszewski. — A zasługa? Obu stron. Nasza, bo znalazło się parę osób, którym zależało na tym, by wszyscy kodeks znali, żeby nie było interpretacyjnych nieporozumień. Udowodniłiśmy też że potrafimy nie tylko korzystać z praw, ale brać na siebie też obowiązki, poczynawszy od troski o porządek i opiekę nad terenami wokół szkoły, a kończąc na aktywnej pracy w komisji stypendialnej i zespole wychowawczym.

— Ale jest to także zasługa wszystkich nauczycieli, dyrekcji szkoły, bo jest klimat, atmosfera zaufania i współpracy. Szkoła nam wierzy i my to doceniamy — dodaje Danusia.

Moi rozmówcy, i nauczyciele i uczniowie, wielokrotnie mówili o zaufaniu, które pomaga w działaniu obu stronom. Nie był to tylko zwyczajny frazes. Przez parę godzin obserwowałam grupę uczniów, z którymi rozmawiałam. W naszej rozmowie brał udział także dyrektor szkoły, jego zastępcy. Zazdrościłam młodzieży swobody, z jaką dyskutowała ze swymi nauczycielami, spierała się. Nie było w tym nic z przysłowiowego, znanego z literatury (a niejednemu z nas i z własnego doświadczenia), drżącego: „tak, panie dyrektorze”, „oczywiście, panie dyrektorze”. Widać, że młodzi z tej szkoły przyzwyczaili się do wypowiadania swoich opinii, potrafili, mogą i chcą ich bronić, że stosunki, jakie w szkole panują, uważają za oczywiste, jedynie możliwe do przyjęcia.

T

RUDNO rozstrzygać, czy jest to wyłączna zasługa Kodeksu Ucznia, który funkcjonuje prze-

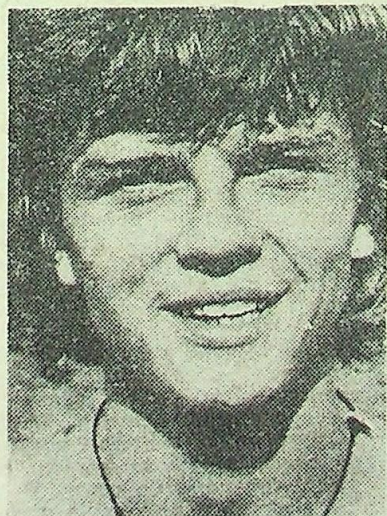
cież bardzo krótko; na pewno jednak kodeks ułatwił i przyspieszył utrwalenie się istniejącego modelu partnerstwa. Dla szkół, w których demokracja ciągle jeszcze raczkuje, Kodeks jest szaną, której nie można zmarnować.

VENUS

PO WARSZAWSKU

Siedmiu młodych fotografików warszawskich stwierdziło, że nie sztuka — jak to robią ich starsi koledzy krakowscy — pokazywać zewnętrzne walory kobiecego ciała. Sztuka oddać wewnętrzne, duchowe przeżycia kobiety, przekazać własne, indywidualne jej rozumienie. Niejako więc w opozycji do słynnych salonów „Venus” w Krakowie, rozpoczęli ruch pod nazwą „femina mystica”. Zorganizowali już jedną, zapowiadają następne wystawy.

A oto Venus po warszawsku — fotogram jednego z warszawskiej grupy siedmiu, Andrzeja Brzezińskiego. Czy udało mu się oddać w tej, niewątpliwie ciekawej pracy, „klimat ducha” kobiety?



CHARAKTERYSTYKA

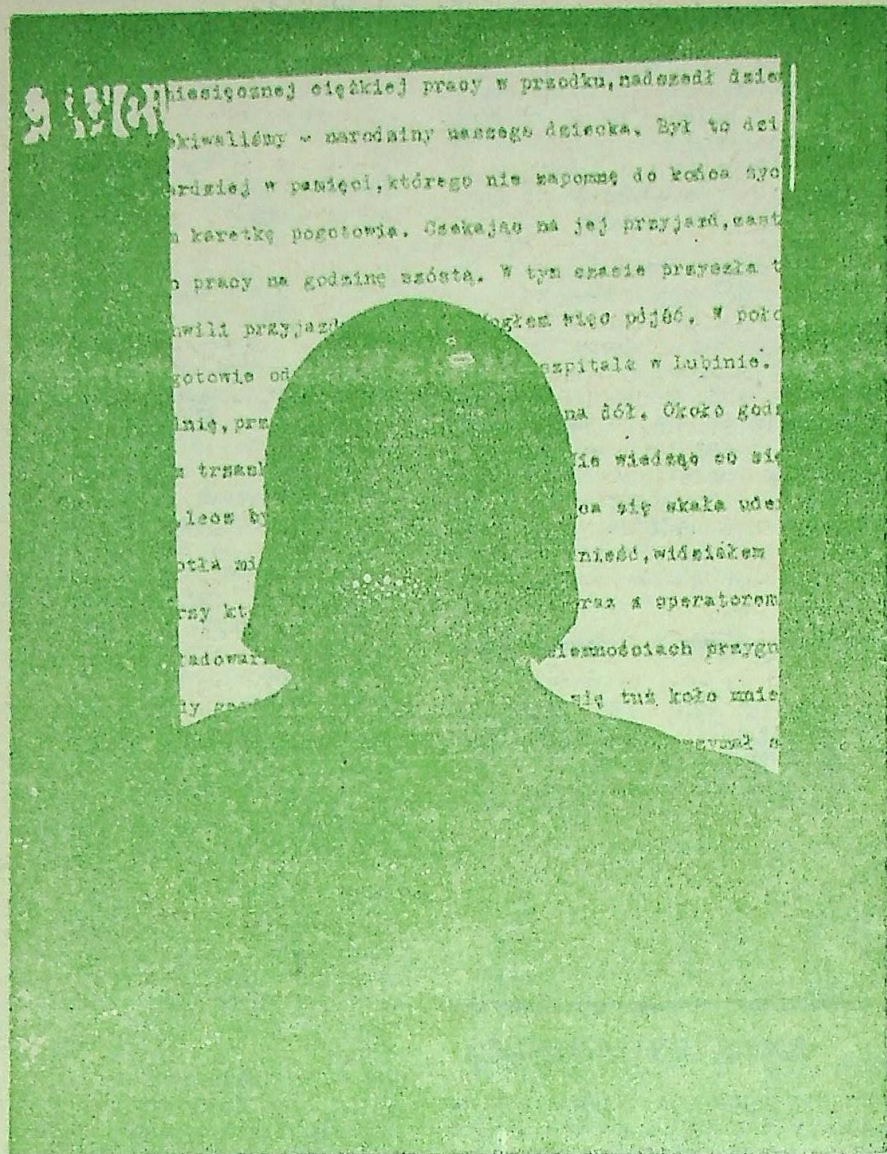
W grudniowym numerze miesięcznika „Polska” Andrzej Roman tak scharakteryzował

Jacka Wszolę: „Wszola ma 19 lat, bajecznie długie nogi i figurę efeba. Jest przystojny, żeby nie powiedzieć ładny, i „da się lubić”. Wszola mógł przegrać na olimpiadzie, lecz wiedział, że nie straci sympatii widzów. Wszolę się widzi, Wszolę się zaprasza, bo Wszola nie tylko wysoko skacze, Wszola jest dekoracyjny. To też się w sporcie liczy. Jest nowoczesnym młodzieńcem i reaguje w sposób typowy dla swego pokolenia: wyjdzie — to dobrze, nie wyjdzie — nie szkodzi. Nie przybywa mu zmarszczek, gdy poprzeczka spada na piasek”.



7

Dziś drukujemy drugą nagrodzoną pracę w konkursie „Ocalić od zapomnienia” zorganizowanym przez naszą redakcję i WRZZ. Autorem tych wspomnień jest Filip Głuchowski z Polkowic.



dzieje próbowałem uciekać, lecz było już za późno.

Obrywająca się z górnej części chodnika skała uderzyła mnie w głowę, przygniotła plecy. Próbowałem się podnieść, widziałem cofającą się ładowarkę, przy której uprzednio pracowałem wraz z operatorem. Operator, który prowadził ładowarkę nie zauważył mnie w ciemnościach przygniecionej przez skałę. Kiedy gasienice ładowarki znalazły się tuż przy mnie zacząłem głośno krzyczeć. Kierowca usłyszał mnie, momentalnie zatrzymał się i przybiegł na ratunek. Z trudem odrzucając płytę skalną, którą byłem przygnieciony zaczął mnie podnosić. Niestety, nie mogłem stanąć już o własnych siłach, czułem silny ból kręgosłupa i miałem zupełnie drętwe nogi. Wywieziono mnie na powierzchnię, a następnie odwieziono do szpitala w Lubinie. Piętro wyżej w tym samym szpitalu leżała moja żona. Lekarz dyżurny poinformował mnie, że żona urodziła córeczkę o tej samej godzinie, w której zdarzył się nieszczęśliwy dla mnie wypadek. Był to dzień dla mnie szczęśliwy, a zarazem i tak okrutny (...)

W dniu następnym sprowadzono moją żonę z izby porodowej, aby

Byłem tym bardzo przejęty i zrozpaczony, traciłem chęć do życia, miałem nawet moment kiedy chciałem skończyć z sobą. Nie chciałem być ciężarem dla żony. Jednak żona pisywała do mnie listy, które dodawały mi otuchy i podtrzymywały na duchu.

Po długiej kuracji szpitalnej wróciłem do domu. Żona z dzieckiem oczekiwały mnie. Miałem jeszcze dla kogo żyć. Żona mieszkała teraz u swojej matki, mnie też tam przywieziono. Nie spodziewałem się, że nigdy nie widząc mojego dziecka poznam je od razu i wskażę, że to moja córeczka, choć wokół niej były inne dzieci...

Byliśmy młodym małżeństwem, któremu los przekreślił normalne szczęśliwe życie, pozbawił wszelkich rozrywek, zabaw i spacerów. Ale mimo wszystko byliśmy szczęśliwi, że znów jesteśmy razem i możemy cieszyć się wspólnie z naszej pociechy. Los nadal nie szczędził nam trosk, w niedługim czasie zachorowałem na żółtaczkę i znów musiałem rozstać się z rodziną. Na szczęście do zdrowia wróciłem szybko. Mieszkaliśmy dalej z teściami, warunki mieszkaniowe nie odpowiadały wymaganiom, które zalecali mi lekarze. Potrzebne były dla mnie częste kąpiele i osobny pokój do ćwiczeń.

Po długich staraniach otrzymaliśmy mieszkanie w nowo wybudowanym osiedlu na terenie Polkowic. Zamieszkaliśmy we troje, mieszkanie urządziliśmy sobie znośnie. W nowym mieszkaniu znów poczułem się chory. W okolicy kręgosłupa wystąpił obrzęk, byłem bardzo przestraszony, bo myślałem, że to coś poważnego, a nie chciałem wrócić do szpitala w Piekarach. Bałem się widoku tej kliniki, ponieważ nie chciałem patrzeć na cierpiących młodych ludzi. Zabrało mnie pogotowie do szpitala powiatowego w Lubinie. Otrzymałem dużą dawkę zastrzyków i po niedługim czasie powróciłem do domu.

Od tragicznego dnia w moim życiu upłynęło już sześć lat, straciłem całkowicie nadzieję, że będę chodził. Przez ten długi okres czasu byłem skazany na przebywanie w domu. Szybki rozwój miasta mogłem oglądać tylko przez okno siedząc na wózku. Moje Polkowice zmieniają się, powstał piękny stadion, rozbudowuje się w szybkim tempie zaplecze handlowe i kulturalne. Powstała piękna dwupasmowa droga z przejściami podziemnymi i wiaduktami. Przesiadując tak widzę jak moi koledzy wspólnie z żonami i dziećmi idą na spacer. Jest mi wtedy bardzo przykro, że ja z moją żoną i dzieckiem nie mogę wyjść tak jak inni.

Jednak mam kilku serdecznych przyjaciół, którzy odwiedzają mnie, kilkakrotnie zabrali mnie na mecz, ponieważ w dalszym ciągu jestem gorącym kibicem sportu. Dziś mam dwadzieścia osiem lat, żonę i dziecko, które są współtowarzyszami mojego ciężkiego życia i dzielą ze mną smutek i radość. Czasami wydaje mi się, że jestem niepotrzebny, ale kiedy patrzę na moją rodzinę, na moją córkę która z roku na rok staje się coraz bardziej dorosła, widzę, że mam dla kogo żyć i cieszyć się z życia mimo swojego ciężkiego kalectwa.

MAM DLA KOGO ŻYĆ

FILIP GŁUCHOWSKI

URODZIŁEM się i wychowałem w Polkowicach. Kiedy byłem uczniem szkoły podstawowej w miasteczku zaczęły się dziać różne rzeczy. Rozpoczęto wiercenia geologiczne. Przedsiębiorstwo, które wykonywało te prace składało u nas w stodole narzędzia. W naszym domu często przebywał pan Wyżykowski, który mówił, że kiedyś Polkowice będą pięknym miastem górniczym. Postanowiłem związać swoją przyszłość z miedzią. Po odbyciu służby wojskowej wróciłem do swojej miejscowości i podjąłem pracę w Zakładach Górniczych.

Zatrudniono mnie w dziale geologicznym w charakterze geologa próbnicy. Bardzo podobala mi się ta praca. Z zarobionych pieniędzy część odkładałem, myślałem o przyszłości — chciałem założyć rodzinę. Miałem dziewczynę, z którą utrzymywałem znajomość od najmłodszych lat. W 1969 roku postanowiliśmy zawrzeć związek małżeński. Po ślubie zdecydowaliśmy się zamieszkać u mojej matki, gdyż mieszkała sama i potrzebowała pomocy.

Od matki otrzymaliśmy pokój z kuchnią, i tam wspólnie z żoną gospodarzyliśmy. Pomagałem mat-

ce w gospodarstwie, a trzy razy w tygodniu popołudniem przeznaczałem na treningi piłkarskie. Grałem już w piłkarskiej klasie „A”. Ponieważ niebawem miało przyjść na świat nasze dziecko więc postanowiłem zagospodarować mieszkanie i pomóc matce w odremontowaniu budynku, w którym mieszkaliśmy.

Wspólne zarobki moje i żony nie były wystarczające na utrzymanie naszej rodziny. Dlatego też zdecydowałem się podjąć pracę w charakterze młodszego górnika. Praca górnika jest bardzo ciężka i niebezpieczna, pot zalewa czołowiowi oczy, ponieważ w przodku jest wysoka temperatura. Nie widać twarzy, z błota tylko zęby i oczy świecą.

Praca, którą wykonywałem była bardzo uciążliwa, lecz byłem zadowolony, bo zarabiałem o wiele więcej, mogłem już odłożyć parę złotych miesięcznie. Po trzymiesięcznej ciężkiej pracy w przodku nadszedł dzień, którego tak bardzo oczekiwaliśmy — narodziny naszego dziecka. Był to dzień, który utkwił mi najbardziej w pamięci, którego nie zapomnę do końca życia (...).

O piątej rano wezwałem karetkę pogotowia. Czekając na przyjazd zastanawiałem się czy zdążę do pracy na godzinę szóstą. W tym czasie przyszła teściowa i pozostała do chwili przyjazdu karetki. Mogłem więc pójść do pracy. W połowie drogi minęło mnie pogotowie odwożące moją żonę do szpitala w Lubinie (...).

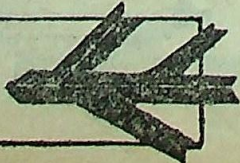
Gdy przyszedłem na kopalnię, przebrałem się i zjechałem na dół. Około godziny dziesiątej usłyszałem trzask obrywającej się bryły skalnej. Nie wiedząc co się

pożegnała się ze mną, ponieważ miałem być odwieziony samolotem do szpitala urazowego w Piekarach. Gdy zobaczyłem żonę stojącą w drzwiach zapłakaną i zrozpaczoną jej wzrok zrozumiałem, że bardzo przeżywa, lecz nie chciała tego okazywać, próbowała pocieszać mnie, że wszystko jakoś się ułoży. Powiedziałem żonie aby dała córeczce na imię Edyta i pożegnaliśmy się.

Odwieziono mnie helikopterem do Piekar Śląskich. Gdy zostałem przetransportowany, z miejsca oddano mnie na salę, która była zwana szokującą. Pielęgniarki pełniły dyżur bez przerwy całą dobę. Leżąc w tej sali sądziłem, że lekarze przygotowują mnie do operacji i w niedługim czasie wrócę do domu, lecz mój organizm był tak osłabiony, że przeprowadzenie operacji było niemożliwe.

Widziałem jak troje młodych ludzi z mojej sali kończyło życie. Byłem przerażony. Dopiero wtedy zrozumiałem co to znaczy żyć, pragnąłem być razem z rodziną, cieszyć się naszą małą córeczką. Po szczęśliwym przeżyciu kryzysu zostałem przewieziony na oddział, w którym leżałem przez pięć miesięcy.

Oddział ten zrobił na mnie szczególne wrażenie, zobaczyłem tam wielu młodych chłopców przykutych do wózka inwalidzkiego. Będąc tam nie przypuszczałem, że ja też będę siedział na wózku inwalidzkim, że już nigdy nie stanę o własnych siłach na swoich nogach. Lekarze oświadczyli mi, że oni nie są w stanie mi pomóc, abym mógł wrócić do domu zdrowy, gdyż miałem złamanie kręgosłupa i porażenie kończyn dolnych.



W

WIECZÓR wigilijny ma swoistą, niepowtarzalną atmosferę. Przy zastawionym stole, w półmroku rozświetlonym subtelnym migotaniem świeczek lub lampek na choince, czujemy się zjednoczeni z naszymi najbliższymi i ze światem. Nasze ciche rozmowy są pełne zadumy i refleksji, przebiega przez nie jednak nadzieja i radość. Honorowe miejsce przy wieczerzy pozostawiamy wolne. To piękna tradycja, może właśnie dlatego pokusiłem się o przedstawienie dzisiaj Filipa Głuchowskiego, jego żony Ewy i małej córeczki Edyty, która w nowym roku pójdzie do szkoły. Są teraz bardzo szczęśliwi, żyją najnormalniej w świecie, jak inni, i to właśnie Głuchowskich największy sukces. Spróbujmy tę ich radość w wigilijny wieczór podzielić...

Dwie prawdy

Trafiał na oddział ósmy. Na salę zbiorową. To było jakieś sześć tygodni po wypadku i przewiezieniu do Piekars Śląskich. Najcięższe przypadki. Był jednym z wielu, może więc to mu dodało otuchy i dlatego od razu ośmielił się zapytać: „Długo już tutaj leżycie?” Odpowiadali różnie: dwa, trzy, pięć lat i nieodmiennie dodawali z uśmiechem „z przerwą na wakacje” (tego jeszcze nie rozumiał, że poprawa trwa krótko i za niewiele od powrotu do domu muszą znów wracać do kliniki). „A czy będę chodził?”. Odpowiedzieli: „Będziesz, będziesz... u św. Piotra!”

Wstrząs, rozpacz ukrywana pod koldrą i zmiana. Zmiana decydująca o przyszłości. Przecież jeszcze w szpitalu lubiński ludził się. Do żony (która w tym czasie przebywała na oddziale położniczym, powiedział: „Kochanie, choćby rok przyszło się !czyć, wyzdrowieję”. Teraz, po tej rozmowie na „ósmym” przestał mieć nadzieję. Musiał po prostu zdecydować się i pomyśleć o dopasowaniu się do losu.

Pierwszy raz odwiedziła Filipa w Piekarach Śląskich, gdy go przeniesiono już na ósmy oddział. Trzymała się w czasie wizyty dzielnie. Wyplakała się dopiero za bramą kliniki. W drodze na dworzec nie widziała już nikogo poza młodymi szczęśliwymi parami. Wiosna zdążyła już bujnie rozkwitnąć, a ona tym swoim rówieśnikom żyła w duchu: „Oby twój mąż...” A później, gdy już nocnym pociągiem wróciła do domu, nie położyła się spać, tylko napisała ten list: „... Wiesz, wtedy naprawdę nie chciało mi się płakać. Byłam taka szczęśliwa, że znów się widzimy. Tak samo jak przed laty, gdy wreszcie, po długich oczekiwaniach, spóźniony przybiegłeś na nasz ślub, boście mieli tam jakieś kawalerskie sprawy...”

Przytulne mieszkanie...

W polkowickim osiedlu. Dwa pokoje. Dużo pamiątek i staroci wygrzebanych z zapomnienia ze strychów: maszyna do haftów, stara — budząca moją zazdrość — maszyna do pisania, obrazy, jakieś poroże i wypchany ptak. Kolorowy telewizor ładne, funkcjonalne, nowoczesne meble. Po ścianie wije się bluszcz. W ogóle dużo zieleni. Jest i dorodna palma feniks i zaraz obok rozrastająca się dopiero co szepka. Biblioteczkę zapelniają książki. Pasją Ewy są krzyżówki, więc kilka encyklopedii i słowników cieszy wzrok efektownymi obwolutami. Na dolnej półce, w oprawie po jakimś świętym obrazku, fotografia Filipa z wojska. W drugiej szafie podobne zdjęcie — jest na nim jednak znacznie młodszy. „To — wspomina — było tak: kiedyś do Polkowic przyjechał fotograf. Prowincją wtedy byliśmy. Przywiózł cały szereg atrakcji — skórę niedźwiedzia, okienko — serduszek no i mundur żołnierski i pepeszkę z puszek od konserw. Wszystkie matki swych synów przyprowadziły żeby im zrobiono wojskowe zdjęcie. Mnie też nie ominęło...”

W mieszkaniu ciepło i przytulnie. Pijemy kawę. Ona siedzi na kanapie, on obok niej na wózku. Teraz już chyba nie jest dla nich ważna moja obecność. Zapomnieli być może iż rozmowę spowodowała wizyta reportera, który pragnie przedstawić laureata konkursu na wspomnienia. Są u siebie, mówią o sobie, mówią o tym, co im szczególnie bliskie.

„Woda to dla mnie wolność”

— Mamy taką wysepkę w Zielonogórskim. Teraz można powiedzieć, że jest jakby nasza. Jeździł tam od trzech lat, od kiedy ministerstwo ofiarowało nam trabanta. Prowadzi na razie Ewa. Przeróbka na „Hycomat” kosztowałaby parę tysięcy. Rentę mam dobrą, ale — wiadomo — trzy tysiące, to nie „guma”. Przed rokiem milicja była, no i oberwało nam się za niedopełnienie formalności meldunkowych. Powiedzieli jak trzeba załatwić i teraz mamy już tam urlop zagwarantowany co roku.

— Tak, woda to dla mnie wolność. Pamiętam, kiedyś byłem, jak to powiadają „kizior” toczyliśmy boje z hotelowcami, gdy się górnictwo tutaj rozdziło. Tak i pływakiem byłem najlepszym. Pamiętam, jak pierwszy raz z fotela znieśli mnie do wody. Bałem się. Zaraz jednak poczułem się jak ryba. Nawet Henkowi, ratownikowi, większych szans na krótszych dystansach nie dałem.

— Ale jak masz wyjść, to czekasz póki ci z sąsiedztwa do namiotu nie pójda i wołasz, żeby cię wyciągnęli. I rzeczywiście, nikt nie wie w czasie urlopu o twoim inwalidztwie...

— Dla mnie spotkanie z tym żywiołem to naprawdę radość. Tak

klubie prowadzili listę przebojów. Byłeś dumny, że masz najlepsze, że koledzy mają po co do ciebie przychodzić. Czasem tak sobie myślałem, że szczęście to po prostu umiejętność odnajdywania sobie samej radości potwierdzania siebie i swego miejsca wśród ludzi...

— Dużo jednak, bardzo dużo znajduje się dobroci. Przykładowo pan Marski z kopalni. Nie wiem, dlaczego ten człowiek tyle mi z siebie dał. Nawet do Piekars Śląskich jeździł. Był jak święty, naprawdę inne słowo tu nie pasuje.

„Tylko czasem”

— Na początku ustępowałam mu we wszystkim. I to było najgorsze. Dziś klócimy się jak każde małżeństwo. Pewnie, on na swoim postawi, ale takie są prawa pana domu.

Znaleźli receptę na szczęście. Filip w czterech ścianach pokonał już w zasadzie kalectwo — jest samodzielny. Ewa ponownie idzie do pracy — po długiej przerwie od urodzenia dziecka i wypadku męża. Może właśnie dlatego do ich domu igną ludzie. U Głuchowskich łatwo bowiem przekonać się, że życie składa się z chwil dobrych i z chwil złych, ale jeśli człowiek tylko pragnie, może je zawsze wziąć za rogi. My z tego zdajemy sobie sprawę często tylko w chwilach szczególnych, jak choćby w ten wigilijny wieczór.

— I tylko czasem — mówi Filip — gdy podjadę do okna i wyjrę, przypomina mi się pobyt w Piekarach. Chciałbym krzyknąć, jak wtedy doktorowi. Serdecznie mnie żegnał i powiedział: „Jeśli by coś szwankowało, niech pan do nas wraca”. Jakoś spontanicznie, bo nie kontrolowałem siebie, krzyknąłem: nigdy! Tak, zdaję sobie sprawę, że są granice, których się

nie pokona. Po schodach muszę być znoszony. Cóż, czasem tylko ciężko to poczucie bezsilności i słabości. Dobrze że tak rzadko mam czas na taką zadumę.

Spoglądam na zegarek. Późno, przepraszam i żegnaj się.

— Nic nie szkodzi — u nas to normalne, mówi pani Ewa. Czasem to drzwi się nie zamykają. Którejś niedzieli 30 gości naliczyliśmy. To cieszy, że u nas tak normalnie, tak wesoło. Może nawet trochę ładniej niż u innych, bo Filip ciągle przy czymś majsterkuje i coś ulepsza...

Szczęśliwi

Gdy wychodzę, pan Filip zatrzymuje mnie na chwilę w drzwiach:

— Coś panu jeszcze opowiem: To było, jak do szkoły chodziłem. Chyba do czwartej klasy. Na boisku zatrzymał się cygański tabor. Gdy z ciekawości zbliżyliśmy się, jakaś stara cyganka uśmiechem nas przywołała. Powiedziała, że jeśli przyniesiemy jej wodę — bo byłem z kolegą — to powrózy mi z ręki. Obietnicy dotrzymała. Tak, to na pewno przypadek, ale pamiętam jej słowa jak dziś: „Jedno dziecko mieć będziesz, a nieszczęście ci siłę z nóg odbierze...”

Naszą rozmowę dostawała pani Ewa. Włączyła się do meżowskiej opowieści:

— Wróżby, wróżby, ale jak góralka do nas zapukała, że za trzy sta złotych powrózy, to ją z hukiem odprawiłem...

— A co? Jeśli się już ta pierwsza spełniła całkowicie, to chcę, aby reszta życia zależała ode mnie, od nas. Jesteśmy szczęśliwi, mamy dziecko, dom. Tych rzeczy na loterię wystawiać nie wolno.

TOMASZ KALICKI

TYLKO CZASEM, GDY WYJRZĘ PRZEZ OKNO

ale wolnym mogę się czuć tylko na wakacjach. Bo tak na co dzień, zwłaszcza w małych miastach, ludzie oczy wybaluszają. We Wrocławiu, czy Poznaniu to tego już nie ma. Ja rozumiem — dziecko patrzy, bo poznaje świat, ale dorosły? Przecież mnie to bardzo krępuje... Wstydze się...

— Raz kiedyś nie wytrzymałam. Sąsiadeczka bierze mnie na spytaki: „O, jakaś ty dziecinko nieszczęśliwa i męczennica”. Odciełam się z miejsca: „A pani, co, szczęśliwa? A gdzie pani mąż? Dansingi, to nie wszystko, zresztą pani i tak nie chodzi”.

„Inne słowo tu nie pasuje”

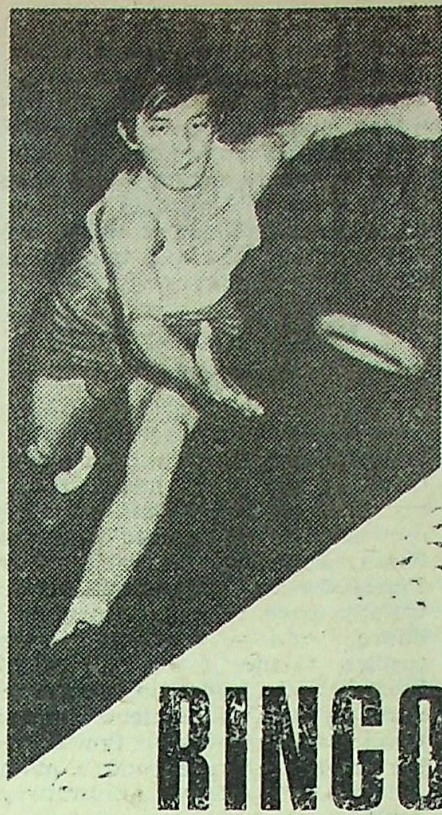
— Od życia się nie ucieknę. Rodzice Ewy popłakiwali, jak ich syn szedł do „Rudnej” na przodek pracować: „Spotka cię to, co Filipa” — lkali. Gdzie sens? Pamiętam tego naszego kolegę Zbyszka — MAZ go na powierzchnię przyniósł, jak szedł do pracy. Uniki niczego nie gwarantują. Sama wiesz, jak to było, gdy wróciłem z wojska. Mieliliśmy się pobrać, a ja w geologii zarabiałem 1800 złotych. Na eksploatacji już w pierwszym miesiącu dostałem ponad cztery. Było z czego odłożyć...

— Pamiętam, Filipku, jak tuż po powrocie do domu z Piekars po nocach przy radiu śleczaleś i nagrywałeś na magnetofon najnowsze piosenki. Koledzy twój potem przychodzili z zazdrością lekką i wyprasali do przegrania, bo w



Fot. Krzysztof Raczkowiak

„Ringo to najbardziej demokratyczny sport na świecie, dostępny dla każdego” („Turist” — organ radzieckich związków), „Ubogi pasterz z Pirenejów ma takie same szanse jak król Szwecji” („Harvard Magazine”), „Ringo jest esportem światowego sportu” („El Universal” — Wenezuela), „Ringo jest świetnym sportem uzupełniającym, a także pożyteczną rozrywką dla ludzi w każdym wieku. Znakomicie rozwija refleks, koordynację ruchów, ogólną sprawność i kondycję fizyczną” („Trybuna Ludu”).



wiem z ringo zrobić sport światowy. Ze swoim gumowym kółkiem i regulaminem przemierzyłem prawie całą kulę ziemską: od Tbilisi przez Moskwę, Sztokholm, Paryż, Royan, Heidenheim i Monachium aż do Nowego Jorku, San Francisco, Acapulco i Montrealu. I każdy, kto choć parę minut grał na boisku — stawał się entuzjastą ringo.

Wielkie sukcesy święciło ringo na Olimpiadzie w Montrealu. Najpierw spopularyzowała je w słynnym parku Lafontaine polska delegacja na międzynarodowy obóz młodzieżowy, a potem ja wraz z moją małżonką, dwukrotną mistrzynią Polski w ringo, prezentowałem w kanadyjskiej telewizji polską propozycję „sportu dla każdego”. Złota medalistka olimpijska z Los Angeles, legendarna Stanisława Walasiewiczówna, tuż po zdobyciu przez naszych siatkarzy złotego medalu, wpisała mi do mojego olimpijskiego karnetu: „Z okazji zdobycia złotych medali przez Polaków na XXI Igrzyskach Olimpijskich życzę, aby pańskie ringo stało się dyscypliną olimpijską”.

Wierzy pan w spełnienie tego życzenia?

— Oczywiście: znalazłem zrozumienie w Międzynarodowym Komitecie Olimpijskim.

— Czy wobec tego na Olimpiadzie w Moskwie ujrzymy ringo?

— W Moskwie chyba jeszcze nie. Każdy kraj organizujący Igrzyska może wprowadzić do programu jedną nową dyscyplinę. Rosjanie prawdopodobnie zaproponują akrobatykę sportową. Do następnej Olimpiady kandyduje Teheran. W najbliższym czasie wybieram się na dwór szacha Iranu, żeby mu zaprezentować moją grę i zapalić go do niej. Może więc w 1984 roku będziemy świadkami olimpijskiej premiery rdzennie polskiego sportu. A na razie zachęcam wszystkich do gry, do organizowania mistrzostw szkoły, dzielnic, miasta czy województwa. I do zobaczenia na Olimpiadzie!

— Kto wie, może wśród czytelników tego tekstu jest przyszły olimpijczyk? My ze swej strony wrócimy się do władz sportowych województwa legnickiego i TKKF z propozycją zorganizowania mistrzostw zagłębia miedziowego w ringo. Jeśli nam się uda, zaprosimy pana jako gościa honorowego.

— Przyjadę na pewno. A najlepszych zaproszę na przyszłoroczne Mistrzostwa Świata.

**Rozmawiał:
KRZYSZTOF RACZKOWIAK**

— Nazywam się Włodzimierz Strzyżewski, jestem z wykształcenia ekonomistą. W latach sześćdziesiątych byłem pięciokrotnym mistrzem Warszawy w szpadzie, a w roku 1964 drużynowym mistrzem Polski, trzy razy byłem finalistą Akademickich Szermierczych Mistrzostw Świata (Budapeszt — 1954, Paryż — 1966 i Turyn — 1959). Byłem dziennikarzem Polskiego Radia, a obecnie pracuję w Polskiej Agencji Interpress, jestem członkiem Klubu Publicystów Międzynarodowych przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich.

— Skąd się wzięło ringo?

— Przed mistrzostwami świata w Turynie w 1959 r. zostałem wybrany kapitanem drużyny szpadowej i powołany na obóz kondycyjny. Pracowałem wówczas w Ministerstwie Gospodarki Komunalnej. Napisałem do ministra podanie o urlop. Nie zgodził się. Byłem więc zmuszony przygotowywać się samotnie. Jakże to było trudne, rozumieją ci, którzy mieli kiedykolwiek coś wspólnego z szermierką. Próbowaliśmy wykonywać wszelkie możliwe ćwiczenia. Jednym z nich była siatkówka. Wyrabiała skoczność, siłę rąk i nóg. Miała za to jedną wadę — można sobie było złamać palec, a z taką kontuzją nie ma co marzyć o walce na planszy.

— Pewnego razu wybrałem się nad Wisłę. Niedaleko przystani AZS było kilka boisk do siatkówki. Przypomniała mi się wówczas gra z czasów dziecięcych, do której potrzebne było tylko małe gumowe kółko. W pobliżu opalała się pani z małym dzieckiem w wózku. Zapytałem, czy mogłaby mi na chwilę pożyczyć oponę od kółka wózka. Popatrzyła na mnie jak na wariata, ale dała. Niedaleko boiska leżała na trawie para młodych ludzi. On, wysoki, dobrze zbudowany, ona zbudowana jeszcze lepiej, a przy tym ładna. Wykorzystałem wieczny instynkt mężczyzny do walki o kobietę. Podeszedłem do nich i zaproponowałem chłopakowi grę w kółko. „Jeśli pan wygra — powiedziałem stawiam

dwie skrzynki piwa, a jeśli pan przegra, to postawi mi butelkę oranżady”. Chłopak chcąc się popisać przed dziewczyną wyszedł pewnym krokiem na boisko i zaczęliśmy grać. Ponieważ w czasie meczu dochodziło między nami do regulaminowych sprzeczek, zacząłem na gorąco zapisywać przepisy gry. Wygrałem wówczas 15:0. Wypiłem oranżadę i poszedłem do domu w przeświadczeniu, że to jest to!

— Czy już wówczas nadał pan swojej grze nazwę „ringo”?

— Nie, nazwa powstała dopiero w 1968 roku. Byłem na Igrzyskach Olimpijskich w Meksyku, gdzie zdobyłem dla Polski dziewiętnasty (brązowy) medal w kategorii... reportażu radiowego o tematyce sportowej. Zostałem potem zaproszony do Acapulco. Tam byłem świadkiem towarzyskiego meczu w siatkówkę mężczyzn między Meksykiem i Stanami Zjednoczonymi. Po meczu poszedłem na boisko i przedstawiłem się zawodnikom. Powiedziałem, że wymyśliłem nową dyscyplinę sportową i chciałbym rozegrać mecz z najlepszym zawodnikiem zwycięskiej drużyny. Meksykanie, bo to oni wygrali, wybrali swojego najlepszego zawodnika. Chłopak był pewny siebie. No cóż, wygrałem w tym pierwszym międzykontynentalnym meczu 15:2. Mokry od potu i zdziwiony Meksykanin podeszedł do mnie i po angielsku zapytał: „Gdzie mógłbym kupić to kółko, mister Szcz... Strzecz... mister... Ringo!?” (ring — po angielsku: kółko). Odtąd druga dyscyplina sportowa wymyślona przez Polaków (pierwszą był palant zawieszony przez emigrantów do Ameryki i znany teraz jako baseball) nosi nazwę ringo.

— Czy mógłby Pan powiedzieć kilka słów o ringo jako dyscyplinie sportowej?

— Jest to sport totalny. Dr Zenon Ważny, olimpijczyk i rekordzista Polski w skoku o tyczce, a jednocześnie ceniony naukowiec w dziedzinie kultury fizycznej określił „ringo” tak: „rozwija wszystkie cechy potrzebne człowiekowi we współczesnej cywilizacji. Sport jest potrzebny dzieciom i młodzieży, jak książki, chleb i lekarstwa, sport sam jest lekiem zapewniającym człowiekowi prawidłowy rozwój, przedłużenie młodości i twórczą aktywność przez całe życie”. Słynny polski lekarz prof. dr Wiktor Dega powiedział, że życie jest ruchem, a ruch jest życiem. Ringo zaś to ruch najbardziej wszechstronny, jaki tylko można sobie wyobrazić. Niech ktoś spróbuje zagrać a zrozumie, że ringo to wszystkie sporty świata sprowadzone do wspólnego mianownika.

Sprawdziłem to na sobie. Bez trenera i sparring-partnerów przygotowałem się do turyńskich mistrzostw tak, że drużynowo zdobyliśmy wice-mistrzostwo, a indywidualnie byłem szósty! A kiedy jeszcze zobaczyłem, że gra w ringo daje ludziom starszym radość sportowej walki, że niezwykle przyspiesza zdobywanie sprawności fizycznej przez dzieci i młodzież, że dorosłym przywraca młodość, że skraca okres rehabilitacji i przyspiesza powrót do zdrowia, przywraca radość życia — postanowiłem.

pośrednictwem Centrali Handlowej Metali Nieżelaznych w Katowicach. Pozostałe elementy zakupiliśmy w różnych placówkach handlowych.

Na początku próbowaliśmy w Kamiennej Górze, gdzie przeprowadziliśmy pierwsze treningi. Było to w czerwcu roku bieżącego. Przekonałem się, że zbyt pagórkowaty teren nie sprzyja tego typu zamierzeniom. Zmieniliśmy miejsce wypadów na podjeleniogórski Jeżów. W miejscowym aeroklubie przyjęto nas życzliwie i tak już zostało.

— Sam lot trwa około minuty. To pozornie niewiele. Jeżeli jednak ktoś choć raz spróbuje, przekona się, że warto temu poświęcić czas, dużo wysiłku i oszczędzane pieniądze. Dla hobbystów nie liczą się przecież takie drobne sprawy. Człowiek od najdawniejszych czasów chciał naśladować ptaki i latać w powietrzu. My należymy właśnie do tego typu ludzi. Wymaga to jednak dużej odwagi, koncentracji i przytomności umysłu. Wszyscy stwierdzają, że taka forma latania jest niebezpieczna. Nam się wydaje, że przy odpowiednim przygotowaniu teoretycznym i sprawności fizycznej nie można obawiać się jakiegokolwiek wypadku, pod warunkiem że sprzęt jest dobrze przygotowany.

— Jak zareagowali na wasze poczynania koledzy?

— Początkowo nie wierzyli w możliwość wybudowania lotni. Śmiali się, a niektórzy kiwali znacząco głowami. Kiedy odbyliśmy pierwsze loty stosunek ten uległ radykalnej zmianie. Zyskaliśmy sobie wielu sympatyków, a niektórzy z nich zamierzają pójść w nasze ślady.

— Czy ten nowy rodzaj sportu jest w Polsce popularny?

— Liczba lotniarzy stale wzrasta. Przed rokiem było ich w Polsce około setki, a teraz, jak słyszeliśmy, jest już ponad dwustu. W zagłębiu miedziowym niestety wciąż jest nas tylko dwóch.

— Czy ktoś się wami opiekuje?

— Jak dotychczas nikt. Dwukrotnie kontaktowaliśmy się z lubińskim aeroklubem, ale jakoś nie udało się przejść pod jego patronat. Szkoda, gdyż przy fachowej opiece aeroklubu czuliśmyby się znacznie pewniej, a takich jak my hobbystów znalazłoby się znacznie więcej. Chcemy przy tej okazji stwierdzić, że jest to bardzo atrakcyjna forma sportu i rekreacji i dlatego korzystając z okazji, zachęcamy młodych ludzi, a nawet w sile wieku, do pójścia w nasze ślady.

LUDZIE JAK PTAKI

ZYGMUNT ŁUSZCZ

Tadeusz Gwóźdź i Jerzy Szmaj spotkali się zupełnie przypadkowo. Jako pracowników lubińskiego oddziału Legnickich Zakładów Przemysłu Odrzutowego „Elpo” zakwaterowano ich w jednym pokoiku, w hotelu robotniczym przy ulicy II Armii Wojska Polskiego. Pierwszy jest stolarzem, drugi mechanikiem. Obaj od młodości pragnęli zostać lotnikami. Ani jednemu, ani drugiemu nie z tego nie wyszło. Często rozmawiali wieczorami na te tematy. Przed rokiem doszli do wspólnego wniosku — nie mogliśmy latać samolotami, czy nawet szybowcami, ale możemy spróbować zbudować lotnię. Wprawdzie to nie to samo, ale w jakimś tam

procencie zrealizujemy swoje marzenia.

— Decyzja zrodziła się — mówią — pod koniec roku ubiegłego. Napisałem do „Skrzydlatej Polski”. Redakcja zamieściła ofertę. Odpowiedział na nią pan Bogusław Nowicki z Wrocławia. Od niego właśnie, za grosze, zakupiliśmy typową dokumentację i przystąpiliśmy do budowy lotni, a mówiąc fachowo szybowca podwieszanego, lub miękkoplatu. Lotnia to „podjazd” pośredni między spadochronem i szybowcem, pozwalający na wzbicie się z wzgórza i przelecenie — w zależności od warunków atmosferycznych — nawet jednego kilometra. Na wybudowanie lotni potrzeba około 45 metrów rur z duraluminium oraz około 30 metrów ortalionu, który stanowi tak zwany żagiel. Koszt budowy (oczywiście przy własnej robociznie) wynosi około siedmiu tysięcy złotych. Wszystko pokryliśmy z własnej kieszeni. Rury zakupiliśmy za



najlepszy sportowiec i trener Zagłębia Miedziowego 1976

PRZED dwoma tygodniami ogłosiliśmy plebiscyt na najlepszych dziesięciu sportowców i pięciu trenerów województwa legnickiego w roku 1976. Napłynęło już kilkaset kuponów plebiscytowych. Czytelnicy mają w tym roku znacznie trudniejsze zadania z wytypowaniem swoich kandydatów niż w latach poprzednich. Nic w tym dziwnego, gdyż minione dwanaście miesięcy obfitowało w wiele ważnych wydarzeń w zagłębiowskim sporcie. Zawodnicy naszych klubów uzyskali sporo doskonałych wyników w różnych imprezach, z mistrzostwami świata włącznie.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy ostatni kupon plebiscytowy. Jako organizatorowi przysługuje nam również prawo zgłoszenia swoich kandydatów. Nie zamierzamy nikomu sugerować wzorowania się na nas, a po prostu chcemy włączyć się do akcji głosowania.

Wydaje nam się, że nie ma problemów z wytypowaniem sportowców na czołowe pozycje. Dlatego też na pierwszym miejscu stawiamy doskonałą czwórkę akrobatów Górnika Złotoryja: Lesława Antonowicza, Sławomira Halałę, Wojciecha Świecika i Bogdana Zajacę. W tej zespolew konkurencji trudno jest ustalić kto jest najlepszy, czy też najważniejszy. Dlatego też proponujemy przyznanie im wspólnie pierwszego miejsca. Swą wysoką klasę zademonstrowali na mistrzostwach świata, gdzie zdobyli złote medale w wieloboju i układzie dynamicznym oraz srebrne w układzie statycznym.

Tuż za akrobatami; powinni znaleźć się bokserzy. To oni właśnie dostarczyli nam wielu emocji i niezapomnianych przeżyć. Zaczęło się od Wiesława Niemkiewicza, który wywalczył tytuł mistrza Polski, a potem przygotowywał się do Igrzysk Olimpijskich, odnosząc liczne sukcesy w meczach i turniejach międzynarodowych. Jego drużyna awansowała w grudniu do ekstraklasy. Zastępuje więc w pełni na drugie miejsce w klasyfikacji.

Na trzeciej pozycji widzimy dwukrotnego zwycięzcę plebiscytu „Konkretów” znanego pięściarza legnickiej Miedzi — Mieczysława Massiera. Najlepszy niewątpliwie bokser drugoligowy, drużyny, która sprawiła w mijającym roku olbrzymią niespodziankę. Awansowała do II ligi i po jednym sezonie wywalczyła mistrzostwo swej grupy. Uczestniczyła w finałowym turnieju o wejście do ekstraklasy. Obserwatorzy uznali występy Miedzi za największą tegoroczną rewelację w polskim boksie. Mieczysław Massier nie tylko reprezentował barwy klubu, ale także i Polski.

Po bokserach kolej na ciężarowców. Na czwartym miejscu klasyfikujemy Antoniego Stęporę, a na piątym Zbigniewa Radzięciaka. Obaj w okresie odnoszenia największych sukcesów reprezentowali barwy drugoligowego Górnika Pol-

kowice. Po mistrzostwach świata w Gdańsku odszedł Antoni Stęporę (powołano go do odbycia służby wojskowej) i występuje obecnie w Śląsku Wrocław. W niczym to nie umniejsza jego osiągnięć. Podczas mistrzostw świata juniorów wywalczył trzy brązowe medale, zdobywając zarazem trzecie miejsce w mistrzostwach Europy (zawody rozegrano równocześnie jako mistrzostwa świata i mistrzostwa Europy).

Zdzisław Radzięciak zaś nadal występuje w polkowickim Górniku, a jego największym sukcesem było zdobycie brązowego medalu na mistrzostwach Polski w wadze superciężkiej.

Nasi kandydaci

tenis stołowy nie jest wprawdzie sportem najpopularniejszym, ale do 12 grudnia jego przedstawiciele, jako jedyni, występowali w I lidze. Zagłębie Lubin posiada w I lidze zespoły kobiet i mężczyzn. Obie drużyny lubińskie spisują się w rozgrywkach dobrze. Najlepszą zawodniczką Zagłębia jest Anna Przygoda, która oprócz dobrej postawy w rozgrywkach ligowych zdobyła mistrzostwo Polski w grach podwójnych. Biorąc to pod uwagę umieszczamy ją na szóstym miejscu.

Na siódme proponujemy Janusza Podeszwę z Victorii Jawor, który jest mistrzem Polski juniorów w indywidualnych skokach na baticie i w skokach synchronicznych oraz wicemistrzem kraju seniorów w synchronie.

Dwa następne miejsca — ósme i dziewiąte — przyznajemy zawodnikom II-ligowej sekcji lekkoatletycznej Zagłębia Lubin — Tadeuszowi Ławickiemu i Ludwikowi Hapelowi. Obaj znaleźli się w kadrze narodowej.

Długo zastanawialiśmy się nad obsadzeniem dziesiątej lokaty. Wybór padł na utalentowanego piłkarza legnickiej Miedzi: Mieczysława Dutkiewicza, który w rozgrywkach mistrzowskich prezentował najrowniejszą formę i zasłużył na

znalezienie się w dziesiątce najlepszych.

W rywalizacji trenerów, naszym zdaniem, zdecydowanie przoduje Zygmunt Biegaj. Od 20 lat zajmuje się szkoleniem akrobatów. Początkowo w Jaworze, a obecnie również i w Złotoryi. To właśnie jego wychowankowie — czwórka złotoryjska — zdobyli w roku 1976 jedyne dla Polski złote medale na mistrzostwach świata. Dobrymi wynikami mogą pochwalić się również akrobaci z Jawora.

Dwa kolejne miejsca należą się chyba przedstawicielom boksu, dyscypliny, która ostatnio odniosła duże sukcesy a województwo legnickie awansowało do ścisłej czołówki krajowej. Z licznej grona trenerów i instruktorów wybraliśmy Kazimierza Paździora i Czesława Ptaka. Im też (w podanej kolejności) proponujemy przyznać drugie i trzecie miejsce.

Na czwartej pozycji widzimy wychowawcę ciężarowców, do dziś jeszcze czynnego sportowca, Ryszarda Baurę. Postać to doskonale znana w zagłębiu miedziowym, zarówno jako zawodnik jak i trener, zasługująca na znalezienie się w czołówce wychowawców województwa legnickiego. Na piątę miejsce proponujemy trenera tenisistów Zagłębia Lubin Antoniego Arbacha. Byłoby rzeczą nie do pomyślenia, aby opiekun dwóch sekcji pierwszoligowych nie znalazł się na naszej liście, zwłaszcza że właśnie w roku bieżącym tenista-

ki stołowe awansowały do ekstraklasy.

Regulamin plebiscytu przewiduje wytypowanie tylko pięciu trenerów. Szkoda, gdyż jest jeszcze kilku wychowawców zasługujących też na wyróżnienie. Mamy na myśli przede wszystkim Jerzego Sadowskiego, Piotra Kaczmarka, Eryka Aschenbrenera, Adama Kazimierczaka, Krzysztofa Pawlę, Szymona Mirera i Jerzego Adamskiego.

ZAPREZENTOWALIŚMY nasze kandydatury. Jak już zaznaczyliśmy nie chcemy nikomu nic sugerować. Decydujący głos należeć będzie do naszych Czytelników. Kuponów prosimy nadsyłać do końca grudnia br. Ostateczne wyniki poznamy dopiero w styczniu roku przyszłego, a oficjalne ogłoszenie kolejności na obu listach odbędzie się na tradycyjnym balu sportowców, który podobnie jak w roku poprzednim odbędzie się w Legnicy.

ZYGMUNT ŁUSZCZ

WYMIARY DLA PIĘKNA

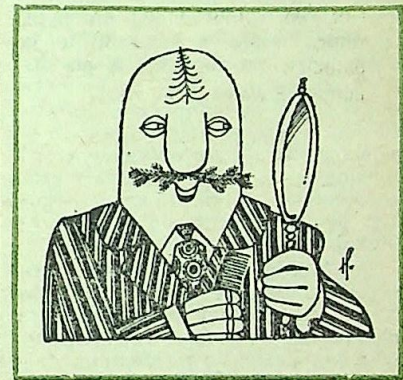
Ulubionym tematem konwersacji jest pojęcie piękna. I jak długo by te nasze debaty nie trwały nigdy nie dojdziemy do jednoznaczności, zmęczeni na końcu przyznajemy „to jest pojęcie względne”, „rzecz gustu”. Dlaczego tak jest?

Głównym chyba winowajcą jest subiektywizm naszego spojrzenia i odczuwania zjawisk, które nas otaczają. Człowiek jest bowiem wyjątkowo szczodrze obdarzony przez naturę w umiejętność odczuwania.

Przeciętna ostrość normalnego wzroku umożliwia dostrzeżenie dobrze oświetlonego przedmiotu o średnicy jednego milimetra z odległości dwudziestu pięciu centymetrów. Podświetlona szczelinę dojrzymy z takiego samego dystansu nawet jeśli: wielkość otworu będzie mniejsza od czterech tysięcznych milimetra!

Palec człowieka rejestruje drgania o amplitudzie, mniejszej od dwóch tysięcznych milimetra.

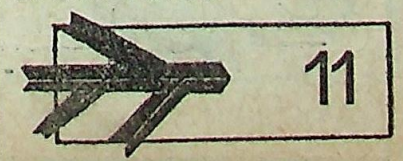
Nie trudno również być koneserem muzycznym jeśli w uchu wewnętrznym znajduje się 25 tysięcy komórek reagujących na bodźce dźwiękowe. Zakres słyszalnych częstotliwości wynosi od 16 do 20 tysięcy Hz. Z wiekiem, niestety, słuch nam tępieje i słyszymy dźwięki do wysokości najwyżej 15 kHz (około 35 roku życia). Najlepiej słuch muzyczny zawiera się w zakresie dźwięków od 80 do 600 Hz. Jesteśmy zdolni w tym obszarze



dźwięków wyluskać różnicę jednej dziesiątej Herza w wysokości tonu. Ogólnie człowiek wyodrębnia, pod względem wysokości, trzy do czterech tysięcy dźwięków.

A już spory na tematy kulinarne są zupełnie zrozumiałe, skoro nasz język wyposażony jest w 9000 receptorów smakowych (ku pamięci smakoszom, najlepiej pracują one przy temperaturze pożywienia 24 stopnie Celsjusza). Natomiast wrażenia węchowe odbiera łącząca pięć centymetrów kwadratowych powierzchnia powonienia znajdująca się w nosie. Dla wyodrębnienia zapachu wystarczy choćby osiem molekuł określonej substancji lotnej (kilkanaście załadwie atomów!).

Aby nam się jednak w głowie od nadmiaru szczęścia nie poprzewracało, już tylko dla przypomnienia wypada powtórzyć starą prawdę: że wszystko do czasu... Już bowiem w wieku trzydziestu lat u człowieka rozpoczyna się obumieranie komórek nerwowych — codziennie ginie ich 30 do 50 tysięcy. Z wiekiem również mózg nasz ulega zmniejszeniu i spłaszczeniu u mężczyzn od około 20 lat, u kobiet 15). Trudno, takie są prawa natury, a włosów z głowy nie ma co wyrwać, bo... szkoda. Na głowie ich mamy niewiele: blondyni 140, szatyni 109, bruneci 102 a rudzi tylko 88 tysięcy.



KUPON PLEBISCYTOWY

SPORTOWCY

1.
2.
3.
4.
5.
6.
7.
8.
9.
10.



TRENERZY

1.
2.
3.
4.
5.

Imię i nazwisko głosującego

Adres

C

CHCIAŁ na stare lata spokoju. Stało się jednak inaczej. Z karłowatego, ubogiego domostwa odszedł spokój, a przyszła rozpacz. Wydał więc 73-letni Jan Urban ze Szklar Dolnych walkę wszystkim znanym i nieznanym siłom, które chcą jego, starego, życie zmienić. Na ile może stawić opór wpół zgięty starością człowiek, którego w dodatku dusi astma?

— Ja w sprawie tych gruntów, na które nie chce pan wpuścić właścicieli — przedstawiam się.

— Panie, ja nie wiem. Ja stary...

— Ale zaorał pan i zasiał pszenicę na cudzym kawałku...

— Nie na cudzym! Na swoim! Uprawiałem go trzydzieści lat... — astma przerywa wypowiedź, coś na kształt szlochu wyrwa się ze zgębnionej piersi. — Trzydzieści lat, ja nie wiem, ja stary...

Wchodzimy do domu. Niska izba; niedużo w niej światła. Przykryte kapą łóżko, nad nim święte obrazy Stół, z którego dawno zniknęły ostatnie ślady lakieru, także krzesła, kredens — i to wszystko. W kącie, przy piecu, żona siedzi na taborecie i szoruje garnki. Mało mówi. Tylko od czasu do czasu zanoszą się szlochem, tłumaczyć chce coś, przekonać o krzywdzie. Ale lkanie zniekształca słowa.

Uważnie trzeba się wsłuchiwać w słowa gospodarza. Zagłusza je świszczący oddech, tłumiają je lzy, nie daje sobie rady nienawykły do oracji język.

— Kiedy przyszli mierzyć moje pole, to wysłali mnie, żebym szukał decyzji. Żony akurat nie było, bo chora leżała w szpitalu, to ja wiem gdzie ta decyzja? A on powiedział, że musi być, bo on chce wiedzieć ile mi namierzyć. Ja szukałem, a on w tym czasie mierzył i zanim się zorientowałem, dał Boguckiej to, co ja przez cały czas uprawiałem. A mnie wysłał szukać decyzji, tak mnie starego oszukał.

Dowiaduję się, że decyzja, której bezskutecznie szukał wówczas gospodarz, dotyczy przyznania mu renty oraz — w myśl prawa przydomowej działki o powierzchni minimum pół hektara.

— Ale przecież dostał pan ziemię.

— Co to za ziemia, niech sobie ją wezmą!

Wstaje, bierze laskę i ciężko dysząc prowadzi na pole. Mijamy mostek na rowie, który stary rolnik zatarasował ściętym drzewem.

— Zawałem, żeby Bogucka nie zaorała mojej pszenicy. To moja ziemia! Nie oddam jej, chyba że mnie zabiją...

Na polu, które geodeta wymierzył Janinie Boguckiej z sąsiedniej wsi Trzmiel, strzelają w górę zielone pędy pszenicy. Pole graniczy z nowo wytyczoną drogą. Za drogą — ziemia urzędowo przeznaczona dla Jana Urbana. Jest to klin ograniczony głębokimi rowami. Środkiem biegnie stara droga. Stary staje, płacze nad tą ziemią, kurczowo trzyma się laski, męczony na przemian to lkaniami, to astmą.

— Co oni mi chcą dać? Ile tego? Patrz pan — mów — tu stara

droga. Zawsze tu była. Po co zrobili nową? I ile tego pola dla mnie, tego paska między drogami?

— Jeszcze jest ten klin...

— Oszukali. Przecież pół hektara to kawał pola. A u mnie...

Ziemia, nad którą Urban rozpacza, pokryta jest ubogą trawą, wygląda na nieco zapuszczoną.

Tu ciągle wylewa z tych rowów, nie tu nie urosnie, może bardzo mizerne ziemniaki, ale to nie to, co mi zabrać chcą...

— Ale przecież można tę ziemię uprawiać i doprowadzić do takiego stanu, jak ta obok...

— Kto ma się tym zajmować? Ja, stary i chory? Dlaczego? Niech mi pozwolą uprawiać moją ziemię.

Ten szlochający, ciężko wsparty na lasce starzec nie chce przyjąć do wiadomości, że prawnym właścicielem ziemi, na której posiał swoją pszenicę, jest ktoś inny. że ma przeciwko sobie prawomocne decyzje, że swoim uporem wystawia na szwank autorytet gminnej administracji, prawa. Bo Jan Urban trwa w uporze. Nie pomogły wizyty z Wojewódzkiego Biura Geodezji, nakazy i polecenia naczelnika, perswazje służby rolnej.

— Przyszedł geodeta i powiedział, żebym mu poszedł na rękę, to on mi się odwdzięczy. „Niech pan odstąpi Boguckiej” — mówił do mnie — „a ja panu dam 50 arów na kolonii”. A po co mnie na kolonii? Gdzie ja stary będę chodził ponad trzy kilometry? Ja chcę tu, pod domem...

Ten mizerny kawałek ziemi nie jest jednak jedyną przyczyną, dla której starv człowiek wieździe spór z sąsiadami i wszystkimi możliwymi władzami. Jest jeszcze problem drogi. Droga przebiega przez podwórkę Jana Urbana i tylko tędy można dojechać na pola leżące za jego chałupą. W tej chwili zatarasowany jest mostek wiodący przez rów. droga więc — nieprzejezdna.

— Jeździli już przez moje podwórkę. Całe lata jeździli. Ale umowa była, że bramę zamkną; jak krowy nabudzą, to posprzątaią; jak siano czy słoma się z wozu wysunie, to pobieraia. A teraz przestali sprzątać i bramę zamknęli. Powiedzieli mi, że jak droga gromadką to już nie muszą. A ja biedny, moje kurw na drogę wyleża, auta je zabiłają i kto ma za nimi chodzić? Co mam robić?

Patrzy na mnie, czeka odpowiedzi. Nic nie mówię, bo wiem, że ma na siebie i żonę 1600 złotych renty skrawek ziemi i tych kilka kur Krowy już nie ma, nie miał siły przy niej robić...

Kiedy wychodzimy, żegna nas spazmatyczny szloch żony i cichy, lkaniami zaprawiony, ale uparty głos starego:

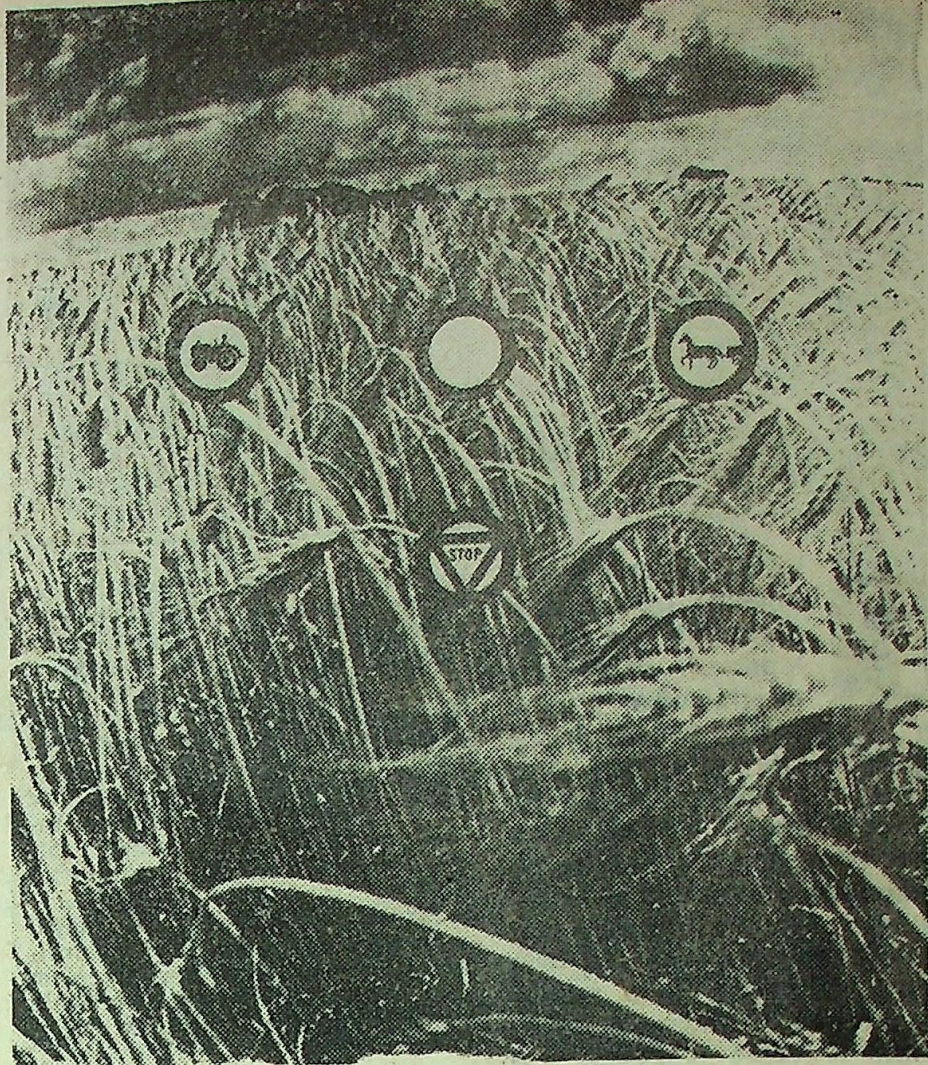
— Niech robią co chcą, niech mnie zabiją, a ja się nie ruszę z mojej ziemi...

— Jan Urban ma rację, bo go skrzywdzili — mówi sołtys Szklar — kto to widział takie rzeczy ze starym wyprawiać!

— Był pan obecny w czasie mierzenia ziemi i nadawania działki?

— Nikt mnie nie poinformował i nie poprosił...

Jedyny to urzędowy głos, który poniera sprawę Jana Urbana. Ale sołtys jest zięciem starego i może to był głos zięcia, a nie sołtysa? Sprawa Jana Urbana jest z punktu widzenia prawa i praworządności zupełnie przegrana, jego uór beznadziejny. Ale równie beznadziej-



„JA SIĘ NIE RUSZĘ...”

KRZYSZTOF DĘBEK

nie brzmią opowieści drugiej strony. Janina Bogucka z Trzmiela, mimo prawnej jasnej sytuacji, mimo zaangażowania w sprawę różnych bardzo ważnych i władnych urzędów i przedstawicieli władzy — nie może uprawiać swego własnego pola. Na jej polu rośnie cudza pszenica.

Janina Bogucka też nie zalicza się do moźnych tego świata. Jej mieszkanie — wyposażone ubogo, w końcu trudno oczekiwać czego innego gdy żyje się z pensji drwa — jej męża. Bardzo dużą pomocą były zbiory ze skromnego kawałka ziemi. Zawsze trochę się sprzedawało, dom zaopatrzył. Niedużo tej ziemi — w sumie 1,41 hektara. Ale 93 ary ma Janina Bogucka tylko na papierze, płaci za nie podatek. Ten kawałek ziemi leży za nieszczęsnym mostkiem Jana Urbana, tych arów broni dla siebie stary.

— Ostatnie zebranie było w sierpniu. Dowiedzieliśmy się, gdzie mamy ziemię. Pojechali, później mają robić podorywkę, wypożyczyliśmy ciągnik. Ale wyszedł Urban z żoną, krzyczał i nie wpuścił. W dwa dni później zrobiliśmy jednak podorywkę na 60 arach, na pozostałych trzydziestu Urban miał ziemniaki i czekaliśmy aż je zbierze. Ale po wykopkach nie wpuścili nas na kartoflisko. Interweniowałem, przyjechał geodeta, u-

stał granice. 22 października mają pojechać kultywować. Ileż było krzyku, szumu! W sobotę 23 października udało nam się do obiadu wywieźć obornik. Był wtedy na polu kierownik służby rolnej. W poniedziałek mieliśmy przorać obornik. Ale Urban zdążył już zaorać i zasiał swoją pszenicę na moich 30 arach. Pojechałem do gminy. Chcieliśmy jechać tak czy tak orać w poniedziałek. Ale droga zatarasowana. Drzewo ścięte. Obornik do dzisiaj leży. Nic nie pomógł naczelnik, milicja, geodeta...

— Jakże były wasze plany związane z tym kawałkiem ziemi?

— Chcieliśmy zasiał trochę żyta, posadzić nieco ziemniaków, jakąś jarzynę. A teraz wszystko się zmieniło. Ziemia przecież nieuprawiana. Nie wiadomo co zrobić. Zresztą nie tylko ja nie mogę dostać się na swoje. Są jeszcze inni, na których pola wieździe zatarasowana droga.

— To ile ziemi leży?

— Możemy policzyć. Kulicki, Motylowa, Urban (ale to zupełnie inna rodzina) i ja. W sumie będzie około sześciu hektarów.

Urząd Gminny. Naczelnik gminy Chocianów Henryk Lutostański ma sprawę najwyraźniej dość.

— Cóż my możemy zrobić? Jak wyegzekwować od Jana Urbana postanowienia i nakazy? Finansowo obciążyć go nie można. Dwa dni temu wysłałem mu pismo nakazujące w terminie trzech dni uprzątnąć zapórę na mostku.

— Podział ziemi był sprawiedliwy?

— Mierzili przecież geodeci! Zastwierdził wojewoda...

— A droga?

— Trzeba wybudować nowy mostek, zrobić inną. W tym roku nie mamy funduszy. Ale do przyszłego, do czerwca, trzeba będzie zrobić. Ileż to będzie kosztować...

I zaczęliśmy z naczelnikiem rozmawiać o ziemniakach, które wyjątkowo obrodziły w tym roku. A z ziemniakami przynajmniej wiadomo co zrobić...



EXODUS...

...sięga źródłami czasów, kiedy to po czterechsetletniej niewoli narody dzisiejszej Jugosławii, pozostawiając się Turków, znalazły się pod berłem „najjaśniejszego” cesarza Austro-Węgier. Pod nowym jarzmem na suwerenny byt państwo przyszło czekać jeszcze wiele lat. Czterowiekowa obecność turcka przyniosła tej ziemi zacofanie i wyludnienie. W owym czasie, wiele kilometrów stamtąd — w Galicji — dośkwierał głód pracy i ziemi. Nie dla wszystkich stała otwartą drogą w poszukiwaniu chleba za oceanem. Z roku na rok sytuacja wsi galicyjskiej była trudniejsza... Cesarzcy zarządcy zdecydowali więc o przesiedleniu części chłopskich rodzin... do Bośni. Osiem lat, od 1895 roku, trwał exodus Polaków. W górzystych terenach Bośni i Hercegowiny przydzielono rodzinom polskie lasów do zagospodarowania. Na wykarczowanej ziemi stawiano zagrody, rozpoczynano uprawę. Powstawały polskie osady: Nowy Martyniec, Rakowiec, Dzwiecin (Dewetyna), Gumiana, Górne Bakynce, miasto Derwent. Po obu stronach rzeki Vyrbas rozdzieliło się polskie życie. Pielegnowano ludowe obrzędy i zwyczaje, pieśni patriotyczne. Wiercono, że pobyt na obcej ziemi musi być krótkotrwały. Z czasem względnie praktyczne skłoniły młodszych do nauki w miejscowych szkołach choć i polskie nie świeciły przecież pustkami — znajomość obcego języka była konieczna. Coraz częściej były kontakty z Bośniakami, Serbami czy Słoweniami.

NA OBCZYŻNIE...

...los okazał się dla polskich wychodźców bardziej łaskawy. Choć nie spadła manna z nieba, nie brakowało ziemi do karczowania i uprawy, łatwiej było o pracę. Myśl o powrocie była jednak silna. Nadzieja zrodziła się u schyłku I wojny światowej. W Zagrzebiu utworzono Związek Polaków... Z kraju nadchodziły radosne nowiny. Triumfalny przyjazd Paderewskiego, legiony, pierwsze akty władzy państwowej. Niepodległa, zrodzona w bólach i nekana głębokimi trudnościami Ojczyzna nie mogła jednak przyjąć polskich wychodźców. Przyszło im czekać jeszcze ponad dwadzieścia lat. Potrzeba chwili zmusiła większość Polaków do przyjęcia obywatelstwa utworzonego Królestwa Serbów, Chorwatów i Słowenów, bez czego trudnym było otrzymanie pracy i kontynuowanie nauki w szkołach. Obywatelstwo Królestwa niesło tradycyjne prawa i obowiązki, m. in. służbę wojskową, która odbywali Polacy w różnych regionach kraju. Zmieniał się charakter polskich osad, osiedlali się w nich Jugoslo-

wianie, Polacy rozprzestrzeniaли się po kraju... Do rzadkości przestały należeć mieszane małżeństwa — Polacy cieszyli się w Jugosławii sympatią, opinią pracowitych i gospodarnych.

Burzliwe nastroje wśród narodów bałkańskich przed II wojną światową rozbudziły polityczne zainteresowania Polaków, którzy włączali się do ruchu ludowego, zostawali członkami partii komunistycznej i postępowych związków młodzieży. Nie zabrakło ich w organach samorządowych, związkowych.

LOS Y WOJENNE...

...Polaków związały się od początku z losami walki antyfaszystów jugosłowiańskich o narodowe i społeczne wyzwolenie narodów

DROGI POWROTÓW

NADZIEJĘ...

...na powrót do kraju zrodziły nową z okupowanej Polski. Wiedzieli o powstaniu partii robotniczej, o KRN-ie, sukcesach ruchu oporu, a z nieklamany z zainteresowaniem słuchano wieści z frontu wschodniego. Koniec wojny zastał wielu Polaków uczestniczących aktywnie w organizowaniu władzy ludowej na wyzwolonych ziemiach Jugosławii, podczas referendum opowiedzieli się za republiką... Myśl o powrocie była jednak silna. W Prnjaworze odbył się zjazd Związku Polaków, wybrano delegatów, którzy sprawę powrotu przedstawili mieli rządowi jugosłowiańskiemu i ambasadorowi polskiemu w Belgradzie. Już 2 stycznia podpisano odpowiednie porozumienie międzyrządowe. Przyby-

cających dla starszych. Wielu bowiem, jakkolwiek znało polską mowę, miało olbrzymie trudności z pisownią. Szybko zaowocowały zwyczaje i obrzędy ludowe, pieczęlowicie zachowane podczas długoletniego pobytu na obczyźnie. Razem z przybyszami wróciła do kraju wywieziona niegdyś z Galicji — polskość...

OBECNIE...

...wielu z tych, którzy pierwsi uruchamiali zakłady produkcyjne i uprawiali ziemię, nadal pracują... Stanisław Pilichowski (formierz w odlewni), Jan Sabuk — kierownik oddziału odlewni, Józef Szewc — prezes GS, były partyzant. W życiu gminy aktywnie uczestniczą starzy działacze: Józef Staszko-wian, Antoni Bonowicz, Michał Smoliński, Józef Matyjewicz czy Feliks Debenny. Do głosu dochodzi drugie pokolenie repatriantów... Michał Sasiela, syn Pawła Sasieli, jest dziś naczelnikiem gminy, dzieci — urodzone krótko przed powrotem do kraju i już tutaj — zajmują miejsca rodziców w odlewni, administracji i w gospodarstwach rolnych. Pracują nie gorzej niż oni — pozostała dobra tradycja. Ponad połowa gminnej organizacji partyjnej to pierwsze i drugie pokolenie repatriantów, starsi z nich skwapliwie przechowują legitymacje jugosłowiańskiej partii komunistycznej, komunistycznego związku młodzieży...

Zywe po trzydziestu latach pozostały kontakty z Jugosławią, chociaż — jak dopowiada sekretarz KG Tadeusz Gąsiorowski — było znacznie lepiej, a współpraca leżała w kręgu zainteresowań władz powiatowych. W Bolesławcu działał zespół „Jutrzenka”, kulturowy folklor i obyczaje narodów Jugosławii, częste były wymiany delegacji oficjalnych, zakładowych i młodzieżowych. Bolesławca z Prnjaworem. Wymieniano systematycznie zespoły artystyczne. Podział powiatu między dwa województwa utrudnił znacznie dalszą tego typu współpracę. Pozostały jednak kontakty osobiste, z zaprzyjaźnionymi rodzinami jugosłowiańskimi, z polskimi, które nie powróciły po wojnie. Bardziej częste są wzajemne wizyty, co rusz ktoś wyjeżdża lub przyjeżdża stamtąd — stało się to wówczas sprawą nie tylko jednej rodziny, zainteresowana jest cała wieś. Przecież to nasi...

O Polakach, którzy mieszkali niegdyś i walczyli w czasie wojny w Jugosławii, nie zapomina rząd republiki, pamiętają organizacje byłych partyzantów... Wielu u honorowano za zasługi wysokimi odznaczeniami jugosłowiańskimi (otrzymali również polskie), przedstawiciele ambasady uczestniczą w ważniejszych uroczystościach repatriantów. 18 września tego roku obchodzono w gminie z przysługą pompą 30-lecie powrotu z Jugosławii. Odżyły wspomnienia, nie było końca opowiadaniom o życiu polskich osad, o walkach partyzanckich i pierwszych dniach pobytu w długo oczekiwanym kraju. Raczono się przy tym smakolitykami, które przygotowały gospodynie według receptur przywiezionych przed laty z Jugosławii. Nie jest tajemnicą, że i tradycyjna rakija była.

Zatarły się tak niegdyś przestrzegane granice między tymi z Jugosławii a tymi, którzy przybyli na teren byłego bolesławieckiego powiatu z innych stron. Czas i życie zrobiły swoje. Nie zatębia się jednak pamięć o kilkudziesięcioletnim pobycie rodzin z galicyjskiej wsi w odległej Jugosławii, pozostała też tradycja gospodarności, zaowocowała też obficie sympatią, jaką cieszyli się tam Polacy — przetrwała się ona w liczne, bardzo liczne, trwałe przyjaźnie...

STANISŁAW MAŁECKI

la z kraju misja repatriacyjna. 28 marca tegoż roku wyruszył do kraju pierwszy transport Polaków z całym ich ruchomym dobytkiem. Ostatni, trzydziesty trzeci, przekroczył polską granicę z końcem października...

DWADZIEŚCIA TYSIĘCY...

...przybyszów z Jugosławii osiedlono w powiecie bolesławieckim. Wielu zostało w dalekiej Bośni, Serbii czy Słowenii. Założyli tam rodziny, żyli się z rodowymi mieszkańcami tamtych wsi i miast. Wielu spoczywa na górskich cmentarzach, w zbiorowej mogile polskiego batalionu w Svinjarze, nad rzeką Sawą, w Bośni. Tam, gdzie przed dziesiątkami lat przybyli ich rodzice lub oni sami w poszukiwaniu chleba i pracy.

Na teren dzisiejszej gminy Gromadka wróciło z Jugosławii ponad cztery tysiące osób. Modla, Motyle, Gromadka, Borówki, Krzyżowa, Grodzanowice czy Różnec — to dziś wsie całkowicie prawie zamieszkałe przez pokolenia „polskich Jugosłowian”. One podjęły po powrocie trud zagospodarowania ziemi, wyboru i umocnienia autorytetu ludowych władz w gromadach, gminach a nawet w starostwach, uruchomienia zakładów, m. in. odlewni żeliwa, tartaków, spółdzielni gminnych (26 września 1946 roku powstała w Różnec pierwsza GS). Za jedno z najważniejszych zadań uznano otwarcie polskich szkół i kursów dokształ-

Balkanów. Represje wojenne nie omijały przecież polskich osad, nie było cynoa takiego przywozu z odległej Galicji, który by nie opowiadał się po stronie patriotów Josipa Broza Tita. W chwili powstania w Czarnogórze pierwszych jego oddziałów partyzanckich, zgłaszała się doń Polacy. Stali się trzonem batalionu, którym dowodził Jan Kumosz, nauczyciel z Nowego Martynca. Inni walczyli w oddziałach jugosłowiańskich, uczestniczyli w robocie konspiracyjnej w miastach.

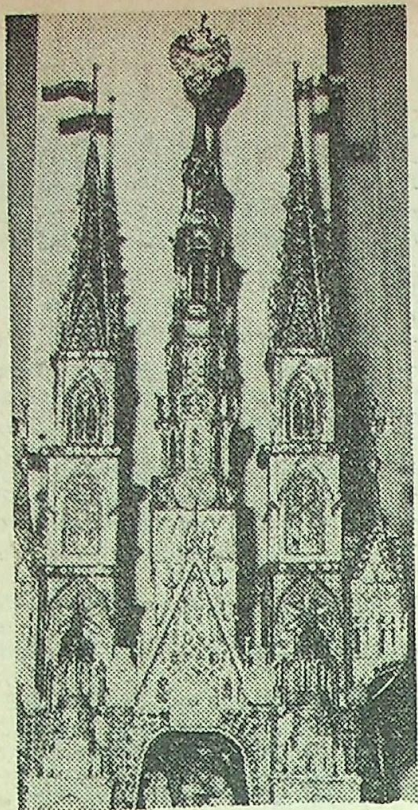
Polski batalion walczył w widłach rzeki Vyrbas i Bosna, o Banja Lukę, Koterwarusz, Prnjawor, Derwentę, Teslic i Trawniki — jedno ze starszych miast Jugosławii. Wstąpili się nasi partyzanci podczas bitew wielkiej ofensywy armii jugosłowiańskiej o twierdzę św. Katarzyna zamykającą drogę do Triestu. Polski batalion, już po kapitulacji Rzeszy, uczestniczył w likwidacji band faszystowskich...

Różne były wojenne losy Polaków, którzy walczyli w regularnych oddziałach partyzanckich w Jugosławii. Jan Sabuk trafił do oddziału w Górach Dynarskich w grudniu 1943 roku. Wcześniej zajmował się dywersją na tyłach wroga. Kiedy zaczął iemu i kolegom deptać po piętach faszystów, uciekli w góry do szóstej brygady „proletariackiej” z 19 drwizji szturmowej. Walczył na wyspach adriatyckich, brał udział w wyzwoleniu Triestu. Razem z innymi wywiezł czerwone sztandary.



Przygotowanie do jednej z akcji partyzanckich w Jugosławii w czasie II wojny światowej. Zdjęcie pochodzi z prywatnego zbioru mieszkańca Gromadki — Józefa Staszko-wian. Repr. Krzysztof Raczko-wiak





Szopka wrocławska Tadeusza Mirowskiego — r. 1970.



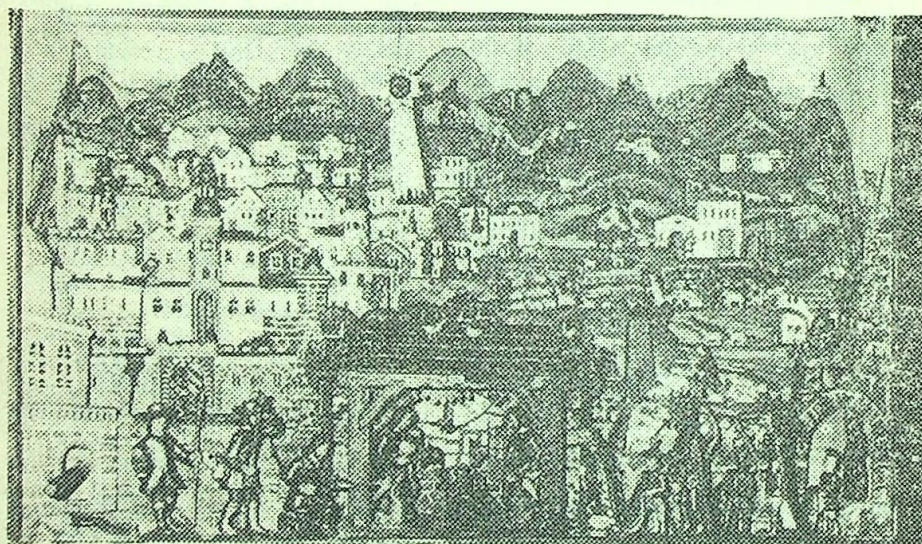
Turoń — nieodłączny towarzysz świątecznych wędrowek z szopką

M

A KRAKÓW swoje doroczne święto szopek i szopkarzy, święto wielkie, wystawne nawet, ściągające widzów z najodleglejszych zakątków, znane nie tylko w kraju, ale i w świecie. Szopki krakowskie przyciągały sławą, a nierzadko i urodą, swoje siostry z innych regionów Polski, sprawiły, że każda właściwie szopka kojarzy nam się przede wszystkim z Krakowem. A tymczasem nie mniej bogate od krakowskich są dolnośląskie tradycje szopkarskie. Ich przypomnieniu, czy może raczej — przedstawieniu — służyła wystawa we wrocławskim Muzeum Narodowym, pierwsza tego rodzaju w muzealnictwie śląskim.

Nie tylko krakowskie

ANNA STOKROCKA



Szopka domowa z Łódki Zdroju pochodząca z warsztatu Michała Kłahra — syna; rok 1758.



Współczesna szopka ludowa, nawiązująca do wzorów tradycyjnych — Adam Rypała, r. 1963.

Zdjęcia: Krzysztof Raczkowiak

Szopki są stare jak świat chrześcijański. Pierwsi chrześcijanie w czasie nabożeństw w noc wigilijną stawiali na ołtarzach symboliczny żłobek i przez wiele wieków to im wystarczało. Na szerszą skalę obrzędy związane z obchodami narodzin Chrystusa rozwinęły się w średniowieczu w postaci tzw. misterii, przedstawień, w których brali udział aktorzy lub marionetki, przepojonych na wskroś treściami religijnymi. Ale już na przełomie XV i XVI wieku wkładać się zaczęły do misterii postacie świeckie: pasterze noszący swoje imiona, żołnierze, wędrowni dziad.

Szopka w dzisiejszym rozumieniu, z rzeźbionymi figurkami umieszczonymi na tle krajobrazu palestyńskiego (a znacznie częściej — rodzimego) zaczęła powstawać w połowie XVI wieku, przede wszystkim na dworach magnackich. Szczyt jej rozwoju przypada na XVII-XVIII stulecie. Najpierw w jezuickich kolegiach, potem w kościołach zaczęto odgrywać, bardzo rozbudowane przedstawienia pastorałne, nawiązujące dość wyraźnie do misterii sprzed dwustu lat. Wprowadzono wówczas także zwyczaj wznoszenia w kościołach w okresie świąt Bożego Narodzenia, okazałych szopek. Z biegiem lat zarówno sceny jasełkowe jak i właściwe szopki zaczęły wzbogacać coraz bardziej o dodatkowe elementy, m. in. o sceny rodzajowe, współczesne.

Jasełka przyciągały rzeczywiście wiernych do kościoła, ale też traciły swój religijny charakter. Pastorałne sceny stawały się często tylko pretekstem do prześmiewek, kpin z ludzkich słabostek, przywar, pozwalały niejedenkrotnie na bezpieczne wymierzenie prztyczki w nos panu, czy księdzu. Nic więc dziwnego, że te, świeckie już zupełnie, a nieraz nawet frywolne przedstawienia zostały wyrugowane z kościołów. Pod koniec XVIII wieku przeniosły się na ulice miast, potem do wsi i bardzo szybko rozpowszechnił się zwyczaj chodzenia z szopką, który stał się nieodłącznym elementem polskiego krajobrazu świątecznego.

Ojczyzną rzeźbionej w drzewie szopki są Włochy, ale największy rozwój domowej twórczości szopkarskiej nastąpił w krajach pasterskich: Tyrolu, Bawarii, Austrii, całej Polsce południowej. Na Dolnym Śląsku sztuka ta najbujniej rozwinęła się w Kotlinie Kłodzkiej i w Karkonoszach.

W okolicach Łódki działał w osiemnastym wieku warsztat Michała Kłahra i jego syna Michała Ignacego. Dziełem Michała Kłahra — ojca są znakomite rzeźby trzech królów z szopki wykonanej około 1740 roku dla klasztoru cystersów w Henrykowie. Szopki Kłahrów zawierały, obok tradycyjnej sceny jasełkowej, także scenki pasterskie, których bohaterowie ubrani byli we współczesne, osiemnastowieczne szaty. Niejednokrotnie na plan pierwszy wysuwano w nich właśnie obrazki z życia różnych warstw społeczeństwa, eksponowano rodzimy krajobraz okolic Kłodzka, czy Bystrzycy, uwzględniając w nim fragmenty wsi i miasteczek. Tradycje warsztatu Kłahrów były w dolnośląskim szopkarstwie żywe bardzo długo, bez trudu można się ich dopatrzeć w XIX-wiecznych szopkach z Kamieńca Żabkowickiego i Świdnicy. W Łódki kontynuował je pod koniec XIX wieku Franciszek Thamm i jego synowie.

Z okolic Kłodzka pochodzą także tzw. szopki skrzynkowe, o szczególnie bogato rozbudowanej scenerii w postaci wzgórz, pastwisk, różnych budowli. Wiele spośród nich to szopki z mechanicznie poruszanimi figurkami — najbardziej znana, monumentalna szopka tego rodzaju znajduje się w Wambierzycach. Powstała ona w drugiej połowie XIX w. w pracowni Longinusa Wittiga i jego syna.

W Karkonoszach głównym ośrodkiem szopkarstwa w XVII i XVIII w.

był klasztor cystersów w Krzeszowie. Z krzeszowskiej kaplicy betlejemskiej pochodzą dwie najstarsze zachowane figury z szopki wykonane w 1675 roku przez klasztorowego rzeźbiarza — Jerzego Schroettera. Tamże również zachowała się jedyna znana dziś szopka z ubieranymi figurkami, wykonanymi z drutu i masy pakulowej, z główkami i dłońmi rzeźbionymi w drewnie. Tłem dla sceny pastorałnej jest tu, podobnie jak w większości dolnośląskich starych szopek, drewniana górka z łamanym dachem, krytym gontem. We wszystkich szopkach, poza bohaterami scenek religijnych, występują bardzo licznie figurki mieszczan, rzemieślników, kobiet, dzieci, a także postacie charakterystyczne, np. ptasznik. Część z nich pochodzi prawdopodobnie z Tyrolu, bowiem tamtejsi wędrowni handlarze bardzo często bywali w okresie przedświątecznym na terenie Dolnego Śląska.

Pewne zahamowanie rozwoju rzeźbionej szopki nastąpiło pod koniec XIX wieku, gdy w niektórych rejonach podjęto seryjną — przemysłową produkcję figurek: wszystkie były tworzone według jednego szablonu, najczęściej z gipsu, lub wypalane w glinie. Przedsiębiorczy producenci zasypywali jarmarki tymi potworkami; okazały one jednak wyjątkową żywotność i dziś jeszcze można gdzieś tam spotkać owe produkty z przełomu stuleci.

Tradycje szopkarskie utrzymały się w niektórych rejonach podgórskich. W pierwszej ćwierci naszego wieku z twórczości takiej słynęło Chełmsko. Znanym ośrodkiem były Wojcieszyce koło Jeleniej Góry. W szopkach pochodzących z Wojcieszyc scenę narodzin Chrystusa przedstawiano zwykle w scenerii wsi dolnośląskiej, na tle domów wiejskich, z figurkami ubranymi w śląskie stroje ludowe. W Janowicach Wielkich działał warsztat rzeźbiarza Brockenbergera. Znała była cieplicka szkoła rzemiosł artystycznych, której dyrektor Cyryl dell Antonio sam zajmował się rzeźbieniem szopek. W Nowej Rudzie rozwinęła się produkcja szopek z figurkami i kulisami odbijanymi na papierze z płyt litograficznych i wycinanymi w tekturze. W okolicach Wleń z kolei powstała unikalna szopka w kształcie choinki, wykonana z drewna, wosku, mchu, suchych roślin polnych.

Wśród szopek dolnośląskich, powstających obecnie, najczęściej spotyka się kukielkowe, umieszczone w budynkach o dwóch lub trzech wieżach, często zwieńczonych kopułą. Ich wnętrza zawierają sceny, na których odbywają się przedstawienia jasełkowe, ale brak w nich na ogół samego żłobka i scen narodzin Chrystusa. W ludowych szopkach dolnośląskich częściej można zobaczyć scenki rodzajowe, wesela, orszaki weselne, obrazki z życia wsi. W wielu szopkach pojawiają się elementy architektoniczne znanych budowli wrocławskich: ratusza, katedry.

Część starych szopek dolnośląskich znajduje się w zbiorach kilku muzeów, większość z nich jest własnością parafii i co roku w okresie świątecznym eksponowane są w kościołach. Wiele z nich to prawdziwe perełki sztuki ludowej. Warto im się nieraz przyjrzeć uważniej, tym bardziej, że i w nich jest kawał historii polskiego Dolnego Śląska.

WBREW prześmiewcom — ryby mają głos. Niedowiar-
kom proponuję lekturę „Małego słownika zoolo-
gicznego”, do którego wydawca załączył gratis
pocztówkę dźwiękową z nagraniem głosów różnych
ryb. Pewnie, spoczywając na wigilijnym stole, sma-
kowicie przyrządzony karp, już nic powiedzieć nie może, ale
ponieważ dobrze jest wiedzieć „z kim ma się przyjemność”,
słów parę o tej rybie.

Karp jest i z nazwy i z tradycji rybą królewską. Tak prawdę
mówiąc, to pojawił się w wodzie znacznie wcześniej, aniżeli
nad jej brzegami zaczęli spacerować królowie. Ba, nawet lu-
dzie. Karp żyje bowiem na ziemi już od 30 milionów lat!

RYBA STARA I MĄDRA

SZCZEPAN R. ŁAWNICZAK

Pierwotny obszar jego występo-
wania to dzisiejsza Japonia, Chiny,
Środkowa i Mała Azja, aż po Mo-
rze Czarne. Wraz z postępem lo-
downiczym szukał bardziej ciepłych za-
kątów i trafiał w rejon Morza
Śródziemnego. Stąd mnisi średnio-
wieczni przewozili go na północ
Europy.

Do Polski przywożą kar-
pia cystersi hołubieni przez
Władysława Wygnańca. Śred-
niowieczne obyczaje, wieloty-
godniowe posty sprzyjały zadowo-
nieniu się karpia na stołach ów-
czesnych możnych. W dodatku ho-
dowla karpia w specjalnie na ten
cel budowanych stawach była in-
tratnym i dochodowym przedsię-
wzięciem.

W średniowiecznej Polsce stawy
karpiove zakładali wszyscy, któ-
rych na to było stać: królowie,
wielmoże, szlachta folwarczna, a
nawet zamożni mieszczanie i chło-
pi. Karp był nawet podmiotem dy-
plomatycznych targów. Za potwier-
dzenie praw do Miłcza i okolicz-
nych stawów biskup wrocławski
Przeclaw z Pogorzeli (następca
Nankera) uznał zwierzchność Jana
Luksemburczyka nad Śląskiem.

Największe ośrodki hodowli kar-
pia powstały w dolinie Baryczy,
w zachodniej Małopolsce, w Wiel-
kopolsce, a nawet na Podlasiu. O-
sobiście interesowała się rozwojem
rybactwa śródlądowego królowa
Bona. Natomiast Zygmunt August
w okolicach Knyszyna, gdzie często
spotyka się z ukochaną Barbarą
Radziwiłłówną, zakłada około 1560
roku ogromne — jak na ówczesne

czasy — gospodarstwo rybackie.

Założyciel „Padwy-Północy” —
Zamościa, wielki kanclerz koron-
ny Jan Zamojski, zakłada w swo-
ich dobrach, istniejących do dzisiaj,
kompleks stawów karpowych. W
jego skład wchodziło 58 stawów
i 25 sadzawek.

Śladem Zamojskiego idzie ród O-
storogów. W swoich latyfundiach
na Rusi Czerwonej koło Komorna
też zlecają budowę gospodarstw
rybackich. Nie chciał też być gor-
szym arcybiskup gnieźnieński Jan
Łaski.

Zdaniem historyków, m. in. prof.
dra Antoniego Zabko-Potopowicza,
żaden ośrodek nie dorównywał ol-
brzymim stawom miłczkim. Dope-
rę wojny husyckie znacznie znisz-
czyły tutejsze urządzenia i same
stawy. Dlatego też w latach póź-
niejszych w dostawach karpia na
stół królewski skutecznie z Mi-
łczem rywalizują stawy rybnicko-
pszczyńskie, skoczowskie, stru-
mińskie, cieszyńskie, bielskie, o-
święcimsko-zatorskie. Zaś stawy
wodzińskie, raciborskie, bogu-
mińsko-frysztańskie zaopatrywały
Opole, Racibórz i północne Mora-
wy.

Dziwnym zbiegiem losu właśnie
w Rybniku przy tamtejszej elek-
trowni są najbardziej zaawansowa-
ne prace przy budowie pierwszej
w Polsce „rybiermy”, czyli zes-
połu urządzeń do sztucznego roz-
rodu, niezależne od pory roku,
karpiowego narybku. Rozwiązanie
to opracowali naukowcy z Zakładu
Biologii Wód Polskiej Akademii
Nauk w Gólszcu.

Prawdę mówiąc, karp nie dał
się łatwo oswoić człowiekowi.
Wręcz setki lat trwały wysiłki, aby
z karpia dzikiego zrobić królew-
skiego, czy jak kto woli, lustrze-
nia bądź karpia galicyjskiego. Lu-
dzie zawzięli się na karpie z racji
ich plenności. Można powiedzieć,
że karp to taki rybi królik. Po
grecku karp (karpox) tłumaczy się
płód. Samice karpia potrafią skła-
dać ikrę kulką razy w ciągu roku
i to znaczne ilości. Karp żyjący
w otwartych wodach, na przykład
w zlewisku Jeziora Ańskiego,
gdzie jest nazywany szanem, po-
trafi urosnąć do jednego metra
długości i 30 kg wagi.

Już widzę jak wędkarze szukają
nerwowo kijów Powoli. Karp jest
też rybą mądrą. Doświadczył tego
niejeden wędkarz, zwłaszcza palacz
papierosów. Wystarczy, aby karp
dotknął obojętnie jaką część cia-
ła przynęty, która była zakładana
na haczyk rękami cuchnącymi ni-
kotyną, natychmiast zwiewa.

Organizm karpia jest swoistym
fenomenem zoologicznym. Ma on
w całym ciele rozmieszczone tzw.
kubki smakowe. Obojętnie jaką
częścią ciała dotknie rośliny, paszy
lub przedmiotu, natychmiast wy-
czuje jaką to przedstawia wartość
pokarmową. Mniej więcej jest to
tak, jakby człowiek włożył palce
do zupy i... natychmiast poznał jej
smak.

Wprost trudno uwierzyć, ale sta-
re karpie potrafią beztętnie uni-
kać nawet sieci rybackich. Nurku-
ją pod jej dolną liną, zagrzebują
się w mułu i przeczekują niebez-
pieczeństwo.

Wbrew pozorom karp nie jest
znowu tak delikatny jak można
sądzić po smaku jego mięsa. Umie,
jeśli są takie warunki, zalec bez
ruchu na dnie i przetrwać bez
pożywienia nawet 600 dni. I często
w zamrażniętym do dna stawie.
A żyje — do 40 lat.

Jedną z największych rewelacji
ostatnich lat w rybactwie była
aklimatyzacja w jeziorach gosa-
wiokich koło Konina egzotycznych
amurów i tołpygi. Tamtejsze ciep-
łe wody zrzutowe z elektrowni po-
budzają jeziorową roślinność do
przyspieszonego wzrostu. Groziłoby
to elektrowniom Konin, Pątnów i
Adamów pozbawieniem wody do
chłodzenia. Amur i tołpyga żerują
na tej roślinności i stąd utrzymują
równowagę biologiczną w tych
zbiornikach wodnych. To teraz.

A już kilkanaście wieków wstecz
Chinezyści używali karpia do oczy-
szczania swoich akwenów z nad-
miernie wybijających alg i wodo-
rośtów. Tak na marginesie. Mamy
na świecie szalony deficyt białka,

głównie zwierzęcego. Pod auspicja-
mi Agencji ONZ do Spraw Wyży-
wienia i Rolnictwa (FAO) w dzie-
siatkach krajów prowadzi się in-
tensywne badania nad rozwojem
hodowli ryb słodkowodnych, prze-
de wszystkim karpia. U nas wysiłki
podejmuje Instytut Rybactwa
Śródlądowego w Akademii Rolni-
czo-Technicznej w Olsztynie oraz
Instytut Zootechniki przez swe
placówki terenowe w Zabieniu, Łą-
kach Jaktorowskich, Mydlnikach,
Landeku i Zatorzu, jak też wspo-
mniany już Zakład Biologii Wód
PAN w Gólszcu.

Przebudowa rybactwa śródlądo-
wego na wydajne, a jednocześnie
likwidacja istic katorzniczej pracy
rybaków jest niezwykle kosztowna.
Dysponujemy bodaj jedynym w
świecie wieloletnim programem
rozwoju rybactwa śródlądowego,
który stanowi integralną część
kompleksu spraw związanych z do-
skonaleniem szeroko pojętej gospo-
darki żywnościowej.

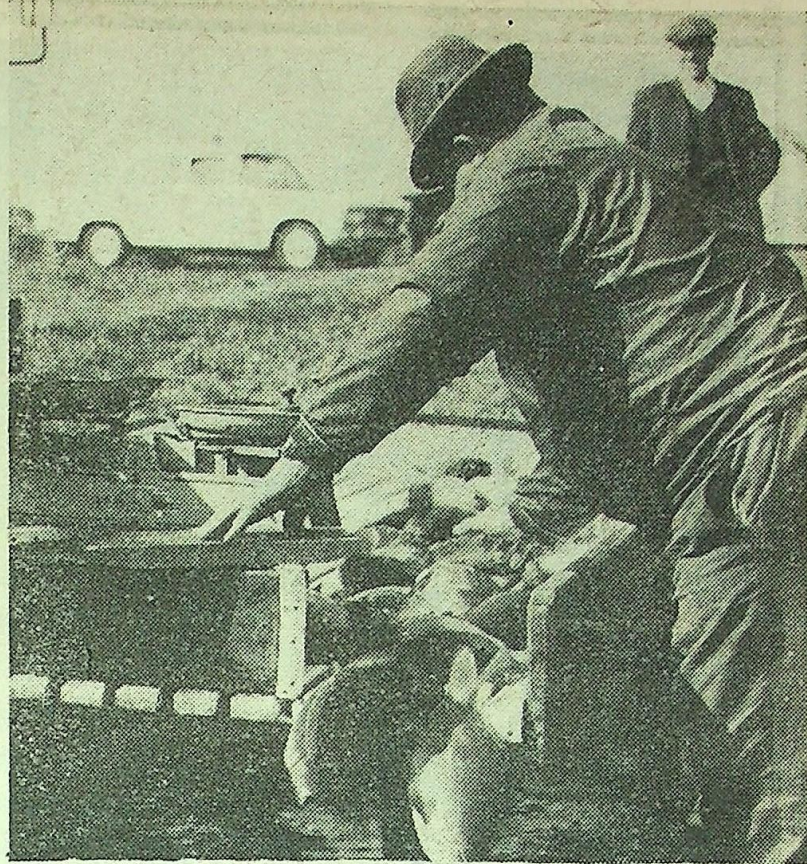
W nadchodzących latach prawie
podwoi się w kraju areal stawów
rybnych i hodowla ryb. Jednak
w ogólnym bilansie żywnościowym
40 tys. ton karpia w 1980 roku, po-
zostanie nadal ozdoba skromną,
choć wartość, naszych sto-
łów.

Szalone, nie wykorzystane możli-
wości hodowli karpia mają wszy-
stkie kraje uprawiające ryż. Wcho-
dzi w rachubę ok. 135 mln ha pól
ryżowych, gdzie można hodować
karpie. Karp przy okazji oczyści
ryżowską z alg i wodorostów oraz
larw i insektów szkodliwych dla
plonu ryżu. Ubóstwo krajów Trze-
ciego Świata stoi na przeszkodzie
tym planom.

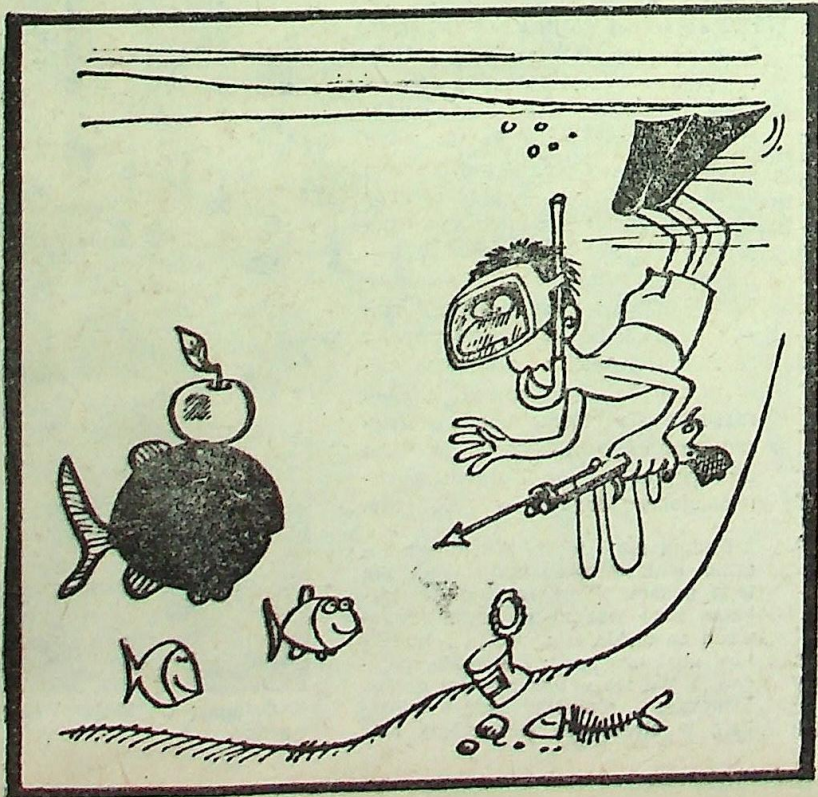
Coś z własnego podwórka. Pod-
waliny pod polską ichtologię, czyli
naukę o rybach, położył Jan Jon-
ston. Ten sam, który ma Izbę Pa-
mąci w Skłodowicach koło Lubina.
Spolszczony Szkot, urodził się w
Szamotułach, lata całe spędził w
Lesznie, a na starość jeden z naj-
większych umysłów epoki (żył 1603
— 1673) osiadł w Skłodowicach.

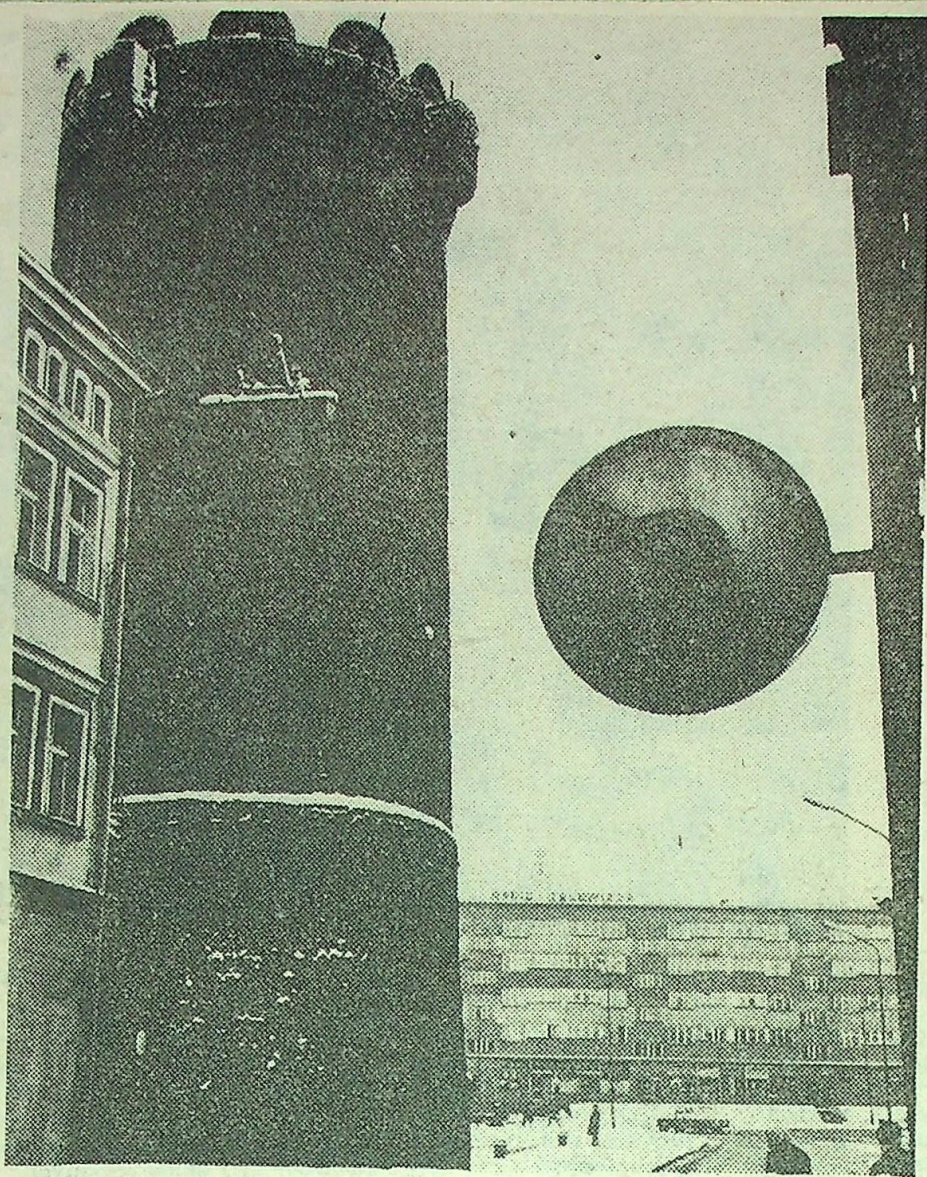
Zresztą Polska wydała niejedne-
go uczonego i praktyka, który
przyczynił się do rozwoju nowo-
czesnej hodowli ryb. Ot, chociażby
Olbracht Strumiński, który już w
1573 r. wydał pierwszy w Europie
podręcznik o organizowaniu gospo-
darstw i hodowli ryb.

I to by było na tyle.



Fot. Archiwum





Dzisiaj Złotoryja prowadzi spokojny, stateczny rzec można zywot.

**A, Antoni Walde, o-
znajmiam na chwa-
tę bożą i na pocie-
chę niejednemu u-
bogiemu... gdy
również chcesz znaleźć złoto
i drogie kamienie, to przejdź
przez kamienny most, który
prowadzi przez Bóbr koło Mol-
kenschloss... następnie pójdź
w stronę Złotoryi aż przy-
dziesz przed dworzec pewne-
go chłopca, który nazywa się
Kuternoga... Tam będzie mała
rzeczółka; drogą koło zagro-
dy chłopca idź wzdłuż strumie-
nia przez jeden albo więcej za-
krętów... tam jest góra wyso-
ka... a na środku góry jest zie-
mia czarna... i nabierz takiej
ziemi z jakiegokolwiek zagłę-
bienia, to znajdziesz piękne
rudny i dobre złoto..."**

Tę drogę do skarbów opisał Walde w połowie XV wieku. Nie ma już miejscowości Molkenschloss, nie wiadomo czy zachował się wspomniany mostek na Bobrze. Istnienie zagrody chłopca, Kuternoga zwanego, też wydaje się wątpliwe. Ale bardzo możliwe jest, że gdzieś koło Złotoryi, w wysokiej czarnej górze z ziemią czarną, nadal skrywają się drogie kamienie i złoto. Na wszelki wypadek sprawdzić nie zawadzi.

W czasach, z których pochodzi owa informacja Złotoryja stanowiła centrum przemysłu górniczego. Okolice była usiana sztolniami i szybami kopalni, w których już od XII wieku kopano złoty kruszec. To „leżące na złocie” miasto otrzymało prawa miejskie w 1211 roku od Henryka Brodatego.

KONIEC ELDORADO

Zapasy złota zaczęły się wyczerpywać. A jeżeli nawet jeszcze były, to — coraz trudniej dostępne. Przekleństwem była woda. Szybki trzeba było kopać coraz głębsze. Nie wystarcza-

ło już zrobienie odkrywki lub lekko pochylonego ganku-sztolni (a propos — pierwsza wzmianka o takiej sztolni pochodzi z 1331 roku i odnosi się do kopalni „Na łanach”, leżącej pod samą Złotoryją). Każdy szyb miał oczywiście nazwę — nie tak jak dzisiaj, numerem — na przykład: „Złoty Osioł”, „Ogon Mielpi”, „Cudzołożnik”, „Żydowska Dzida”, „Ogon Kota” itp.

Jak się rzekło, szybki wprowadziły największego wroga górników — wodę. Najstarsze znane prawo górnicze, wydane dla miasta Złotoryi w 1274 roku, wspomina o zabezpieczeniu kopalni przed występującymi wodami. Próbowano walczyć z wodą przy pomocy poziomych lub lekko pochylonych sztolni, które miały odprowadzać wodę na zewnątrz. O takiej sztolni słyszy się już w 1353 roku przy czym — świadectwo gospodarności mieszkańców miasta — odprowadzona woda poruszała młyn. Niewiele to jednak pomogło i w roku 1404 książę legnicki Ruprecht oświadcza, że „nasze kopalnie złota w Złotoryi i Mikołajowicach stoją zniszczone i puste z powodu zalewu wody”.

I tak było już do końca — coraz więcej wody i coraz mniej złota. Nadszedł nieuchronny zmierzch złotego okresu. Ostatnie kopalnie w okolicach Złotoryi zamknięto w XVII wieku. Oblicza się, że kopalnie złota w Złotoryi i w jej najbliższej okolicy wyprodukowały około 750 kg czystego kruszcu. Przy okazji godzi się rzec o wysiłku górników którzy te trzy ćwierci tony wydobyli. Stare źródła podają, że z 300 cetnarów rudy otrzymało się po przetopieniu i oczyszczeniu z ołowiu — 12708 grama. Żeby więc otrzymać 750 kilogramów złota, trzeba było wykopać... ponad milion ton rudy!

PIERWSZA MIEDŹ

Od kiedy przestała być Złotoryja średniowiecznym eldorado, jej losy różnie zaczęły się układać. Zapobiegliwi mieszczaństwo w sukienniczym

interesie próbują odbić straty. Od XVI wieku rozwija się też górnictwo miedzi. Chociaż słychać już o nim w roku 1356.

Miedź — niczego jej nie ujmując — to jednak nie złoto. Czasy też nie były najlepsze. Miasto zostało zrujnowane podczas wojny 30-letniej. Później, w XVIII wieku, próbuje podźwignąć się sukiennictwo ale nie jest to już ta Złotoryja, o którą kruszyli kopie ślascy książęta. Zabył się jeszcze jednak od czasu do czasu, zwrócił na siebie uwagę nawet świata. Tak było w XVI wieku, kiedy miasto przyjęło luteranizm i otworzyło gimnazjum męskie znane szeroko w Europie. Ale to tylko błysk. Na co dzień miasto żyje spokojnym życiem kogoś, kto swoje już przeżył a teraz niech inni się pomęczą poszaleć. Wielki świat nie ma interesów do Złotoryi, Złotoryja nie ma ich do wielkiego świata.

BEZ KANTÓW

Tak właśnie spokojny, stateczny rzec można — zywot prowadzi Złotoryja i dzisiaj. Co pisząc, wcale nie mam zamiaru wysłać miasta na emeryturę. Chcę tylko zaznaczyć specyficzną atmosferę jaką w nim panuje. Nie ma tu zawiesziny spalin, pędzących tłumów ludzkich. Hałasu — trochę tylko w Ryńku. W wąskich, krętych uliczkach pędzą swój zywot małe sklepiki. Ludzie mają czas w oknach posiedzieć przechodniów pooglądać zatrzymać się na sąsiedzką pogawędkę. Wszystkie uliczki prowadzą oczywiście do Ryńku. Ale nim doprowadza — to wspina się stromo w górę albo pędzą w dół na złamanie karku. Kończą się różnie: przy nowoczesnej szosie lub polnej drodze, która wiedzie przez łąkę do starego szybu. U wejścia do niego zapobiegliwie władze miasta postawiły betonowy bunkier i założyły solidną kratę. Ciekawe, jak się ten szyb nazywał. Może „Kocie Ucho”? Albo „Żabi Pazur”? Też by było ładnie...

Można sobie pójść koło miejskich fortyfikacji. Na wale — stare miejskie mury z ciosanego kamienia z blankami i strzelnicami. Po drugiej stronie — zieleń drzewa; dalej mającą już zamiejskie pola. Obejść w ten sposób można całe stare miasto, gdyż mury zachowały się prawie w całości. Nie takie jakie drzewie były, ale zawsze mury; historyczne bez żadnych kantów. Za murami strzela w górę smukła wieża średniowiecznego kościoła; można z nią doirzeć zwieńczenia renesansowych kamieniczek.

STARE DOMY

Ale pójdźmy dalej, ku Złotoryi współczesnej. Powiedzmy, że powędrujemy wzdłuż miejskich fortyfikacji i dojdziemy do Baszty Kowalskiej. Szacowny ten zabytek, pod którym uwiły sobie miejsce kioski z pamiątkami, należy do najcenniejszych w mieście. A naprzeciw Baszty puszy się ogromny wielopiętrowiec, setki okien, a na dachu — przy pomocy świetlistej reklamy, oferuje swe usługi ZURT i chyba ktoś jeszcze w równie nowoczesnej branży. Za budynkiem rozciąga się już zwyczajne, polskie budownictwo wielokopłtowe. Nie za dużo tych bloków, o wiele za mało raczej. Dalej, na osiedlu Tuwima rozsiadła się kolonia domków dwurodzinnych. Wybudowały je dla swoich pracowników Złotoryjskie Kamieniołomy Drogowe w 1956 roku.

Buduje się i teraz. Niestety, opieszale, nieśpiesznie są budowlancy dla tego miasta. Stoją trzy bloki mieszkalne i na wszystkich trzech budowach są opóźnienia. Jeden z budynków miał być oddany w roku ubiegłym, a jeszcze w tym nie jest gotów. Tymczasem niektórzy ludzie mieszkają w strasznych warunkach, lecz

ZŁOTORYJA

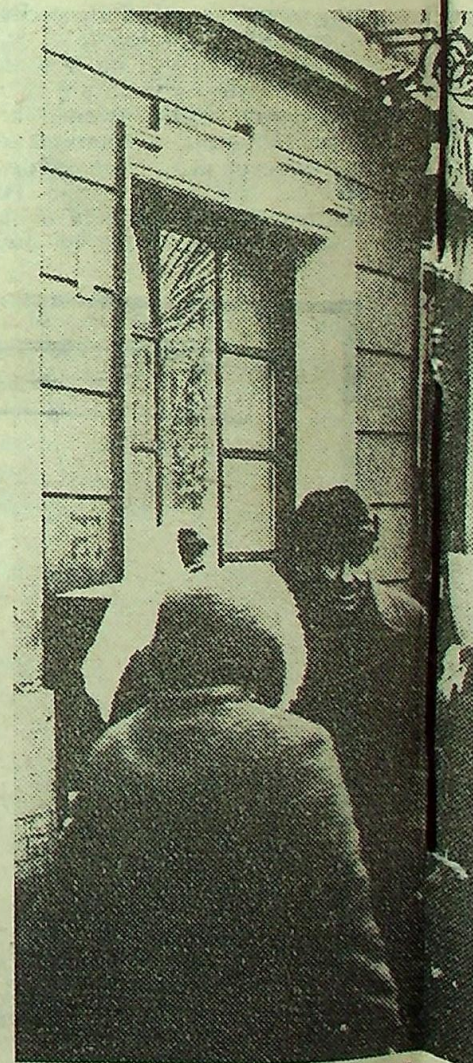
nie ma ich dokąd przenieść. Stare miasto jest urocze — to prawda — ale ciężkie do mieszkania. Domy trzeba remontować, tylko jak i za co?

SZANSE W KAMIENIU

Naczelnik miasta, Henryk Ziętek, ma na kapitalne remonty 10 milionów i pięć na remonty bieżące. Łata z tego stare mury jak może. Natychmiastowe pomocy wymagają zagrożone budynki na Bohaterów Getta, przebudować trzeba część Ryńku i ulicę Klasztorną. Brak mieszkań jest najważniejszy. Dowiaduje się, że chociaż miejsc pracy nie przybywa, to mieszkańcy — owszem. Ściągają do Złotoryi niegdysiejsi mieszkańcy, którzy onegdaj opuścili ją w poszukiwaniu atrakcyjniejszej pracy. Wracają odczuwać tu na emeryturze. Z sentymentu wracają? Może i z sentymentu — zgadza się naczelnik.

Od kiedy definitywnie skończyło się złoto i podupadł interes sukienniczy — miasto żyje z miedzi, kamienia i budowlanki. I tutaj znowu tradycje — pierwsza kopalnia KGHM, to przecież leżąca pod Złotoryją „Lena”. Chociaż przestała już wydobywać cenny metal, to jako Zakład Doświadczalny KGHM nadal jest w miedziowej branży i zatrudnia wielu złotoryjan.

Jeszcze bogatszą historią szczycą się Złotoryjskie Kamieniołomy Drogowe. Tradycje sięgają wczesnego średniowiecza, skąd pochodzą pierwsze wzmianki. Trudno wszakże dobrać dokładnie od kiedy się tu rąba kamień. Obecnie wydobywa się 950 tysięcy ton tłuczni (na podkłady kolejowe) i kamienia drogowego.



Ściągają do Złotoryi niegdysiejsi mieszkańcy do pracy.

O TE ASTO

Kamień jest szansą dla Złotoryi. W 1979 roku zaczną pracować kamieniołomy „Krzeniów II” — niezwykle nowoczesna inwestycja, dzięki której wydobycie będzie wynosiło ponad dwa miliony ton rocznie! A miasto uzyska 250 nowych miejsc pracy i 230 mieszkań przy ul. Hożej. Wykonawca wchodzi na plac budowy w 1977 roku.

Trudno znaleźć w historii miasta przekazy o szczególnej ilości szewców. Tu zatem odbędzie się bez specjalnych tradycji, ale brak ten wynagradza miastu dzień dzisiejszy. Działający w Złotoryi Zakład Obuwia, podległy Dolnośląskim Zakładom Przemysłu Skórzanego „Odra” jest tutaj potentatem. Zatrudnia około tysiąca osób, będąc tym samym największym pracodawcą. Charakter fabryki najlepiej i najkrócej określił jej dyrektor Krzysztof Zamojski: — Zakład jest w permanentnej modernizacji. To wyjaśnia, w jaki sposób fabryka przeszła do produkcji kapeluszy, poprzez dorobne obuwie filcowe do poszukiwanego na rynku tekstylnego obuwia wyjściowego (dwa miliony par rocznie).

Jeszcze większe przeobrażenia przechodzi fabryka, która niegdyś nazywała się Fabryką Ozdób Choinkowych, a teraz nosi nazwę Zakładu nr 4 podległego Zakładom Chemii Gospodarczej „Pollena”. Zakład opuszcza miesięcznie k 200 tysięcy bombek, które w znakomitej części ozdabiają choinki w Stanach Zjednoczonych, Anglii, Francji, we Włoszech, Jugosławii. Zmiana nazwy była pierwszym symptomem tego, co

dokona się w roku przyszłym — skończy się produkcja bombek, a zacznie... plastrów medycznych. Zupełna zmiana profilu produkcji, która przyniesie zakładowi dziesięciokrotnie większą wartość produkcji. Chociaż z drugiej strony, szkoda bombek...

ZAL DO MŁODYCH

Wystarczy przejść się dookoła Rynku, żeby zobaczyć, czym jest miasto dla okolicy. Ogromna ilość sklepów, magazynów, punktów usługowych, ściśniętych łącznie, przy drugim, zapelnionych towarami. Złotoryja jest centrum handlowo-usługowym dla wszystkich pobliskich wiosek. Handel zatrudnia więcej mieszkańców miasta niż kamieniołomy „Lena” — kilka mniejszych zakładów razem wziętych. Kiedy siedziałem u naczelnika, dużo słyszałem o nowym szpitalu, który powstał na drugiej stronie (na pierwszej rozsiadło się stare miasto). Szpital jest chlubą miasta: piękny, duży, nowoczesny. Łącznie ze starym szpitalem będzie miała Złotoryja ponad 500 łóżek. W pełni zaspokojone potrzeby Szkoła, że nie jest tak z mieszkańiami.

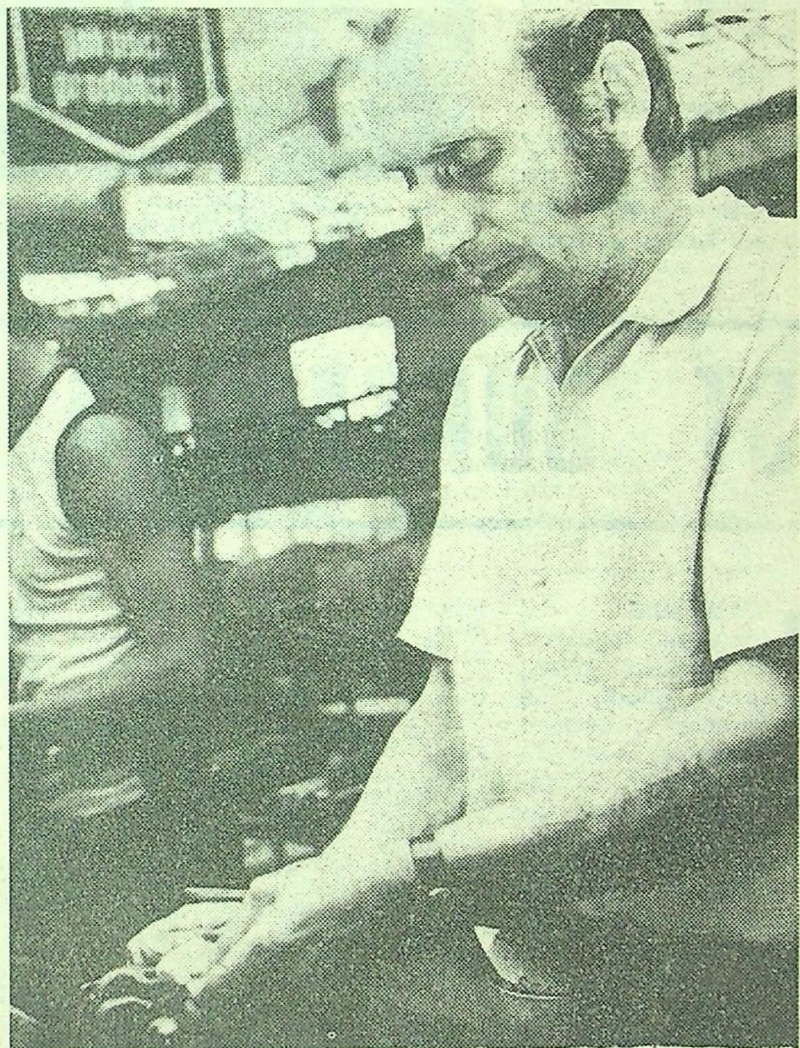
Niedostatki budżetowe mieszkańcy starają się rekompensować własnymi siłami. Idzie im to nieźle. W Komitecie Miejskim i sekretarz Maria Mrozek z dumą opowiada, ile to mieszkańcy zrobili prac porządkowych w mieście: założyli zielenic, doprowadzili do porządku zaniedbanych podwórka. Wartość tych prac przekroczyła sześć milionów złotych — licząc się suma w budżecie.

Zaszedłem też do Rady Miejskiej FSZMP, żeby zobaczyć, czym żyje złotoryjska młodzież. Obradował właśnie Komitet Wykonawczy. Zastanawiano się, co zrobić, aby młodzież przyszła do organizacji. Mam trochę żalu do młodych aktywistów o te dyskusje, gdyż była bardzo długa, zaangażowana, ale nic więcej. Kombinowano srogo, myślało, ale jakoś nikt nie powiedział asno, że młodzież sama przyjdzie, tylko musi mieć do czego.

A poza tym, cóż, miasto jak wiele innych.



Ten pomnik przypomina o początku najnowszej historii miasta.



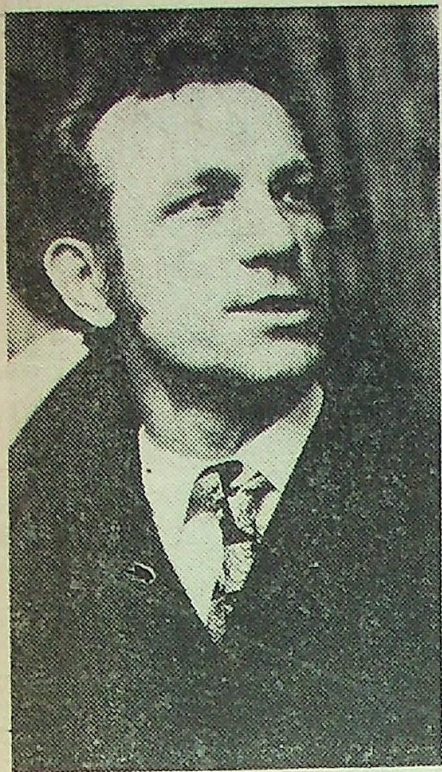
Brak szewskiej tradycji wynagradza miastu dzień dzisiejszy.



mieszkańcy, którzy onegdaj opuścili ją w poszukiwaniu atrakcyjniejszej



Mimo, że w Lenie nie wydobywa się już rudy, zakład nadal jest w miedzianej branży.



Kazimierz Paździor — od sześciu i pół lat (z krótką przerwą) trener pięściarzy Zagłębia Lubin. Wielokrotny reprezentant Polski, złoty medalista w wadze lekkiej Mistrzostw Europy w Pradze w 1957 roku, złoty medalista Igrzysk Olimpijskich (także w wadze lekkiej) w Rzymie w 1960 r.



Na zdjęciu stoją (od lewej): Nikodem Sikora — kierownik sekcji, Józef Kicior — instruktor, Wiesław Niemkiewicz, Ryszard Cal, Zbigniew Kowalczyk, Stanisław Drozd, Andrzej Krzak, Zbigniew Zienkiewicz, Marian Wardega, Marian Listewnik — instruktor. Kłęczą (od lewej): Leszek Hałun, Mikołaj Paduchowicz, Mikołaj Kozdjęcia: Krzysztof Raczkiowiak

JEST BOKSERSKA EKSTRAKLASA!

ADAM PIERZCHAŁA

DWANAŚCIE dni temu, na ringu hali krakowskiej Wisły, rozstrzygnięła się sprawa awansu bokserów Zagłębia Lubin do I ligi. Później był protest łódzkiej Gwardii, która inaczej interpretowała przepisy regulaminu. Problem ten rozważył Zarząd Polskiego Związku Bokserskiego i wydał salomowny werdykt: do I ligi wchodzi Zagłębie i Gwardia. Dopiero więc przed tygodniem kibice bokserzy, chyba nie tylko z Lubina, odetchnęli z ulgą...

Bezpośrednio po powrocie z Warszawy poprosiliśmy trenera bokserów Zagłębia Kazimierza Paździora o komentarz na temat protestu Gwardii.

— W regulaminie PZB brak precyzyjnego określenia jak należy liczyć tzw. małe punkty. Czy to mają być punkty zdobyte, stracone czy ich stosunek. W praktyce liczyło się zawsze punkty zdobyte i my byliśmy w dobrej sytuacji, jechaliśmy spokojnie o werdykt.

— Jak Pan ocenia występ drużyny w Krakowie?

— Trudno kogoś wyróżnić. Wszyscy zawodnicy w obu meczach dali z siebie wszystko na co ich było stać, nawet ci teoretycznie stojący na straconej pozycji wykazali olbrzymią ambicję. Bohaterem pierwszego meczu był Niemkiewicz, który po pięknym, „morderczym” i pasjonującym po-

jedynku pokonał znanego bombardiera Pasiewicza. Bohaterem całego turnieju był jednak Cal. Jego zwycięstwo w pierwszym meczu z Gwardią zdecydowało o awansie.

— We wrześniu ubiegłego roku, gdy rozpoczynały się walki w II lidze, powiedział pan jasno, że celem Zagłębia jest awans. Musielście więc trenować na „zdwojonych obrotach”, bo najpierw trzeba było zdobyć mistrzostwo grupy...

— Trenowaliśmy jak zwykle. Sądzę, że marzeniem każdego ambitnego zawodnika i trenera jest walczyć lub mieć podpiecznych w najwyższej klasie. I do tego celu dążyliśmy od dawna, wcale nie od września. Wówczas jednak można było mówić o tym głośno, bo były realne podstawy.

— Kogo z zespołu należy wyróżnić, myślę o całym ostatnim sezonie w II lidze?

— Na ringu najlepiej spisywali się: Niemkiewicz, Hałun, kapitan zespołu Kowalczyk i Cal. W tym czasie duże postępy poczynili: Zb. Łada, Krzak i Paduchowicz. Ale pozostali także mieli dobre starty. Poza tym w pełnej gotowości byli: Marcel Łada, Henryk Czajkowski, Zenon Senio, Adam Folta, Zdzisław Malinowski i Jan Tylman. Wszyscy zawodnicy pilnie trenowali.

Poza tym, co jest niezwykle istotne, z poświęceniem i z sercem dla sprawy działali moi pomocnicy w szkoleniu zawodników — Józef Kicior i Marian Listewnik, kierownik sekcji — Nikodem Sikora i inni działacze, współpracujący z nami lekarz — Maciej Dąkowski. Naszymi sprawami bardzo interesowały się władze miasta.

— Pierwsza liga zobowiązuje. Przeciwnicy w grupie nie są jeszcze znani, ale pewne jest, że nie będzie to łatwy sezon...

— Do wiosny będzie trwał Puchar Polski. Tu nie liczę na sukcesy, będę mógł natomiast wypróbować wszystkich zawodników, eks-

perymentować, wyrobić sobie opinię o przydatności każdego z nich do ligowych zmagania. Wierzę, że nie będziemy najslabsi w lidze.

A oto wypowiedź kierownika sekcji — Nikodema Sikory:

— Po wielu latach ciężkiej pracy i okresach słabości, było przecież tak, że ratowaliśmy się przed spadkiem z II ligi, osiągnęliśmy cel. Teraz wzrosną wymagania. Potrzebna będzie lepsza organizacja pracy, na „styku” klub-sekcja, niezbędna jest większa pomoc finansowa, rozwiązania wymagają sprawy zaplecza treningowego i sali, w której moglibyśmy rozgrywać mecze, bo I liga zobowiązuje. Cieszymy się z doskonałej postawy naszych chłopców, nadal zbieramy zewsząd telefony z gratulacjami i życzeniami dalszego „marszu w górę”.

Tadeusz Glazór — dyrektor naczelny PBKRM, przedsiębiorstwa opiekującego się sekcją bokserską Zagłębia:

— Trzeba podkreślić, że z bokserami nie mamy żadnych kłopotów, są bardzo zdyscyplinowani. Bez wątplenia jest to głównie zasługa trenera Paździora i jego pomocników. Możemy się szczycić tym, że wszyscy bokserzy są naszymi wychowankami. Po trzecie — chłopcy solidnie zapracowali na ten awans, uznanie należy się także trenerom i działaczom. W nowej sytuacji Zagłębie, jako klub musi pomóc sekcji bokserskiej, na nas spoczywają też jasne obowiązki. Byłem w Krakowie na ostatnim meczu. To był bardzo twardy pojedynek. Legnicka Miedź jest także dobrą drużyną.

Dyrektor KGHM — Alfred Wołczyński, prezes klubu Zagłębie:

— Wszyscy solidnie pracowali: bokserzy, trener, instruktorzy. Mamy dobry zespół. W sekcji panuje wzorowa atmosfera, wszyscy mają duże ambicje — i są tego

efekty. Teraz trzeba pomyśleć o uhonorowaniu tego wysiłku i przyszłości sekcji...

Na turnieju w Krakowie wiele słów uznania zdobyli bokserzy legnickiej Miedzi, którzy walcząc za ledwie jeden sezon w II lidze zdobyli mistrzostwo grupy i także mieli szansę na awans do ekstraklasy. Może uda się to za rok...? Prawdopodobnie rozwija się również sekcja bokserska Chrobrego Głogów. Bez przesady można więc powiedzieć, że zagłębie miedziowe stało się ostatnio jednym z silniejszych w kraju ośrodków pięściarstwa.

BOKS dotychczas nie miał wielu kibiców. Powód jest prozaiczny — brak sal. Dla bokserów Miedzi (i nie tylko) buduje się obiekt w Legnicy, ale postępy przy jego wykończeniu są nikłe. W Lubinie sytuacja jest o wiele gorsza. Pięściarze Zagłębia od dawna korzystają z gościnny w cehowni polkowickiej kopalni, gdzie rozgrywa się mecze. Trenują zaś w niewielkiej salce o ubogim zapleczu, zawodnicy nie mają odpowiednich rękawic i strojów. Sala przy ul. Składowej, przeznaczona na obiekt sportowy ponad półtora roku temu, nie zmienia wyglądu. A można już było zapomnieć o tym remoncie.

Awans bokserów Zagłębia z pewnością przyspieszy załatwienie wielu najpilniejszych spraw sekcji. A przynajmniej pięściarzom trzeba tego życzyć.



O LEŻ to milionów ludzi, ile pokoleń kinomanów śmiało się i płakało razem z Charlie Chaplinem. Nazywano go geniuszem, tego przedziwnego człowieka i aktora, dlatego, że on, być może sam tego nie wiedząc, wyszedł poza ramy przeciętności. Przeszedł ponad czasem. Nie kto inny, ale właśnie on powiedział niedawno w jednym z wywiadów: — Wielu uważa, że Charlie z moich filmów jest symbolem krzywdy. Ale przecież ja w ten sposób zarabiałem na życie. To może brzmi mało atrakcyjnie, ale tak było w istocie. Rzeczywiście, jestem zadowolony z tego, potrafiłem rozśmieszyć ludzi...

Chciałoby się usłyszeć coś innego. Tak czy inaczej czy tego Chaplin chciał czy nie, jego filmy odkryły trzem pokoleniom widzów konfliktowość człowieczej egzystencji w społeczeństwie „równych możliwości”. Nauczyły nie tylko śmiać się i płakać, ale i co najważniejsze, zadumać się...

W miasteczku Veve, na północnym brzegu Jeziora Genewskiego wszyscy wiedzą, gdzie mieszka monsieur Charlie. Jego stara willa wtapia się w gęstą zielen drzew. Dziś już 87-letni gwiazdor niemego kina zdecydował się na samotność, na zacięcie. Życie, jakie prowadzi Charles Spencer Chaplin owiane jest mgiełką tajemniczości. Nikt z mieszkańców miasteczka nie potrafi powiedzieć nic konkretnego o posesji Chaplinów. Tylko lawina listów którą codziennie donosi listonosz świadczy o trwającej ciągle sympatii dla tego londyńskiego „figlarza” który zmusił świat do śmiechu. Niektóre z nich adresowane są po prostu: „Charlie Chaplin — Szwajcaria”. Na kopertach innych mały rysunek z bambusową laseczką w ręku...

Chaplin długo zastanawiał się, czy kupić taki duży dom. Miał obawy, czy dochody jego i żony oraz oszczędności, jakie oboje zgromadzili, wystarczą aby na utrzymanie willi. Wszelkie trudności Chaplinowie pokonali. Charlie jest zadowolony: — To może wyglądać na paradoks, że zdecydowałem się osiedlić w Veve, gdy pomyśli się o mojej włóczędce w przeszłości. Gdy weźmie się pod uwagę moje dzieciństwo i te czterdzieści lat w Hollywood. Mój prawdziwy dom zawsze znajdował się tutaj. On na mnie czekał. Teraz, kiedy

ZOSTAWIAM WAM UŚMIECH

jestem szczęśliwy wszystko to wydaje mi się sprawiedliwe i prawidłowe...

— Znawcy sztuki filmowej — mówi Chaplin — nadal żywo interesują się zakończeniem niektórych moich filmów. Tych w których Charlie podąża w swoją dal. Pytają zwykle: — Dokąd zmierza ten śmieszny człowieczek? I sami dają sobie odpowiedź na to „głębokie” pytanie. Tak. Odkryję jeden sekret... Człowieczek ów idzie donikąd. I było to bardzo ważne odkrycie dla mnie samego zanim spotkałem Unę. Tę, która czekała na mnie przez wszystkie te lata. Ona, dom, dzieci...

Veve stało się naszą przystanią. Przywiązaliśmy się ogromnie do tego miasteczka. Kiedy w 1952 roku przyszło nam opuszczać Amerykę czułem się niepotrzebny i zapomniany. Rany się zagoiły ale powrotnej drogi nie ma. Jestem za stary, żeby zaczynać wszystko na nowo...

Kiedy Una wychodziła za mąż za Chaplina wyglądała tak młodo, że sekretarz sądu gdzie otrzymuje się zgodę na ślub poprosił ją o świadectwo urodzenia. W tym roku Una kończy 51 lat. Troska o męża i wychowanie ośmiorga dzieci — wysiłek ogromny, który nie mógł nie pozostawić znamion trudu. Zmarszczek nie ukryjesz. Także srebrnych włosów upiętych w kok. Różnica w wieku obojga małżonków staje się prawie niezauważalna.

— Nie znajduję słów, żeby opowiedzieć jak ją kocham — zwierza się Chaplin. Dla mnie porzuciła ojczyznę. Tchnęła we mnie nowe siły i radość życia. Nigdy nigdzie w świecie spotkałem istoty bardziej wrażliwej i czystszej niż moja Una...

Chaplin wygląda świetnie, ale często uskarża się na drobne dolegliwości. Rodzina nie skrywa swojej troski o jego zdrowie. Kiedy 31 grudnia 1974 roku, podczas wieczornej herbatki, Charlie nagle poczuł silne bóle w żołądku natychmiast przeniesiono go do łóżka. Siedzieli przy nim i czekali aż dolegliwość ustąpi. Rankiem, gdy niebezpieczeństwo minęło, najstarszy syn Sidney popukał się palcem w czoło i wykrzyknął: — Mój Boże! Przecież zapomnieliśmy, że to już Nowy Rok...

Siedząc w gabinecie ojca, z nogami na stole i kieliszkiem w ręku 48-letni Sidney Chaplin powiada: — Teraz kiedy ojciec dożył tak późnego wieku myślę, że dostrzeżecie w nim wiele zmian. Znacznie schudł przez ostatnie dwa lata. Dlatego każde jego niedomaganie bardzo nas niepokoi. Bywają dni, kiedy ojciec czuje się znakomicie, a potem nagle zamyka się w sobie i nawet nie chce z nikim rozmawiać. Często ogarnia go depresja zwłaszcza gdy dowie się, że umarł ktoś ze znajomych. Śmierć Jacka Binneau wstrząsnęła ojcem do głębi. Jack był młodszy od niego o pięć lat.

Wokół willi Chaplinów pola, korty tenisowe i basen Charlie kocha przyrodę. W Veve posadził wiele drzewek owocowych, które już zaczęły rodzić jabłka gruszkami, czereśniami... Z parku rozciąga się panorama jeziora, po którym śmigają łódki. Stąd wyglądają jak zabawki, które wpuścił na wodną toń dobry zawodnik...



szuka Chaplin? Pamiątek? Kto to wie... Jeszcze tylko została na swoim miejscu stara świątynia.

W czasie jednej z londyńskich wizyt, a było to zaraz po nadaniu mu tytułu barona samochód Chaplina zatrzymał się przed grupą cudem ocalonych „czworaków” na kresach wielkiej metropolii. Charlie wysiadł i podszedł do grupy rozmawiających mieszkańców osiedla. Któryś z biedaków nie wytrzymał i powiedział: — Wreszcie wręczono ci tę diabła koronę barona... Charlie zaniemówił. Ukłonił się i odjechał...

Lata i zmęczenie wpływają na twórczość artysty. Z czasem może zmieniać się stosunek do dorobku. Przykładów takich jest niemało.

Ale to, że Chaplin myśli teraz, właśnie teraz o swoim Charliem i filmach z jego udziałem nie może wpływać na pozycję tego aktora w historii sztuki filmowej.

Do Chaplina należą słowa, które znalazły się w jego „Autobiografii”, a które dotyczą reżyserii filmu „Wielki dyktator”: — „Hitlera trzeba było wyśmiać na samym początku jego kariery. Oczywiście, jeśli wiedziałbym o zamiarach niemieckich nacjonalistów, nie mógłbym zrobić „Dyktatora”. Nie potrafiłbym śmiać się z faszystów, z ich manii unicestwiania”...

Od początku ruchu obrońców pokoju Chaplin stał się jego aktywnym uczestnikiem. W maju 1954 roku Światowa Rada Pokoju przyznała mu międzynarodową nagrodę pokojową za „wybitny wkład w dzieło pokoju i przyjaźni między narodami”...

Życie człowieka — rzecz najważniejsza ze wszystkiego na ziemi — przemawia poprzez filmy Chaplina i do tej pory jego dzieła walczą, aby życie było jeszcze piękniejsze. Charlie Chaplin powiada o swoich filmach, że są obrazem „równych możliwości”. Gdzie silny chwytą za gardło słabszego, gdzie pogoń za złotym cielcem wznosi się w absolut człowieka bytu.

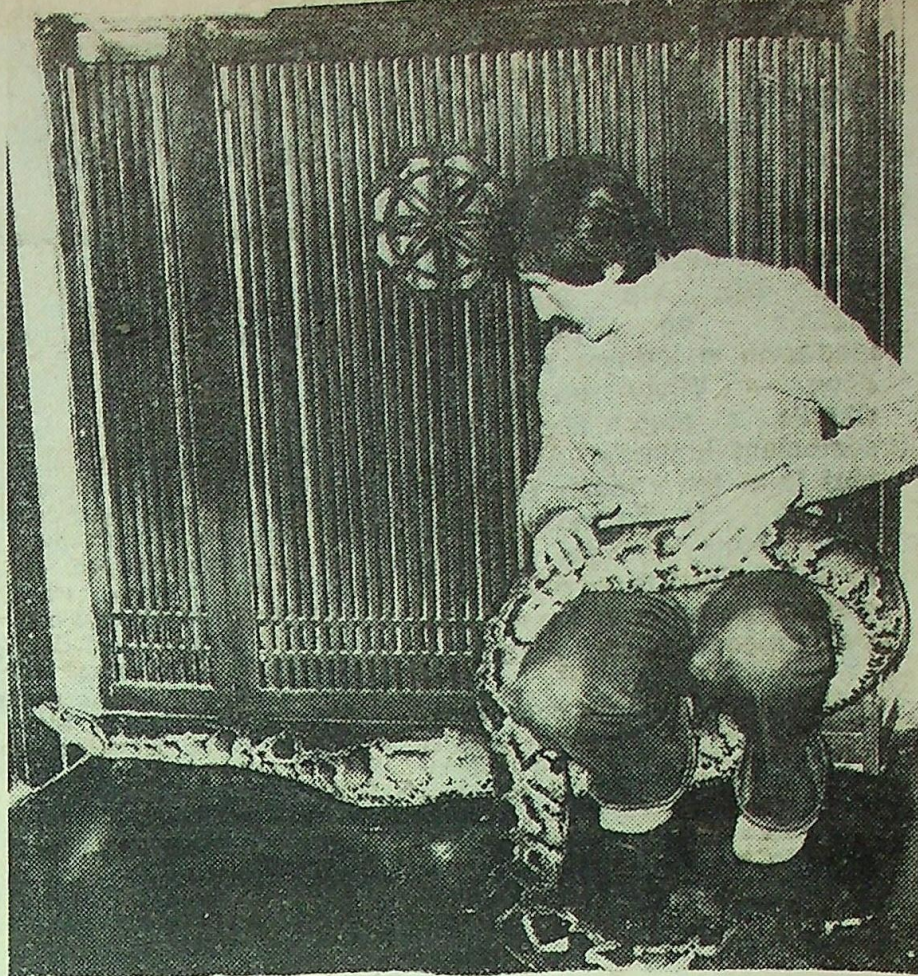
NIE, NIE wszystko jest jasne w rozmowie z aktorem. Wszak nie tylko uśmiech, ale i satyryczne spojrzenie, zaduma nad jego filmami pozostaje ludziom, jako przykład bezkompromisowej walki ze złem. Jako przykład wielkiego humanitaryzmu człowieka i artysty. Właśnie takiego, jak Charles Spencer Chaplin...

CZESŁAW PAŃCZUK





„Sriptiserka” Koko ze swoją opiekunką, Hanną Gucwińską.



Autor zdjęć — Krzysztof Raczkowiak, po opanowaniu strachu pozwolił sobie nawet na pieszczoty z potężnym boa.

Przyznam, że przeżyłem sporo emocji, kiedy Krzysztof Raczkowiak wraz z dyrektorem Antonim Gucwińskim przydzwigali go do pokoju. Nasz fotoreporter pocąc się ze strachu trzymał ogon. Gdzieś trzy metry w przód siedział dyrektor wrocławskiego ZOO i dzierzył łeb pytona.

— Nie ma się czego bać — uspokajała Hanna Gucwińska — jest bardzo łagodny...

— Gdyby taki nie był, lub gdyby mu wpadło coś do łba, żadna siła by nas nie uratowała — spokojnie dodaje Antoni Gucwiński.

Położono pytona na skórze niedźwiedziej, gdzie pozwijał swoje ponad pięciometrowe ciało. Ciepło pokoju, ruch — to widocznie zaniepokoiło węsa, gdyż sprężył się w sobie, napiął ogromne mięśnie. Teraz niebezpiecznie byłoby podchodzić do niego. Dlatego też pani Gucwińska przeszła przez drugi pokój i zaszła węsa od tyłu. Wzięła w ręce jego głowę, głaszcząc. Widać jak rozprężają się mięśnie, jak ogromne cielsko się wyprostowuje. I już jest spokój.

— Zwierzęta atakują tylko wówczas, kiedy zdobywają pożywienie, lub kiedy się przestraszą — mówi Hanna Gucwińska — wtedy się bronią. Ale teraz już mnie poznał, już się zupełnie uspokoił.

Waż istotnie zaczął wędrować po pokoju prezentując się w pełnej krasie. Podobno dopiero w słońcu, kiedy leży na trawie, widać całą gamę jego kolorów. Musi być to rzeczywiście imponujący widok, jeżeli teraz, bez słońca, nie jestem w stanie opisać bogactwa barw i rysunku jego skóry. Jest tam najwięcej różnorodnej zieleni, poza tym czerń, brąz, żółć — wszystko w jakiejś przedziwnej symetrii pomieszane, przenikające się nawzajem.

Co najbardziej lubi? A więc ten pyton najbardziej lubi kąpiel w wannie. Zna już nawet drogę do łazienki. Prowadzi go do niej pani Gucwińska w ten sposób, że podnosi mu łeb, nakierowuje i trzymając go idzie. A waż sunie za nią. Jeżeli zaś idzie o kąpiel, to bardzo trudno ją skończyć. Pyton tak to lubi, że kiedy wyciągnie się korek z wanny, zwija się nad wylotem i tamuje odpływ. Co jeszcze

lubi? Bardzo lubi, kiedy jest spokojny w domu, gospodarze odpoczywają przy książce na fotelu lub drzemią na kanapie. Przychodzi wówczas do pokoju, uklada się wygodnie gdzieś w pobliżu albo na kolanach i tak mu dobrze.

Pyton został kupiony od warszawskiego znajomego państwa Gucwińskich, dokąd przywędrował z Wietnamu. W tamtym mieszkaniu chował się do metra długości. Teraz przebywa we Wrocławiu w mieszkaniu dyrektora ZOO. Mieszkanie to bardzo polubił i nie oddała się z niego. Domator po prostu. Ale że temperatura nie zawsze jest odpowiednia, a waż musi mieć bardzo ciepło, ma specjalną ogrzewaną klatkę w której mieszka na stałe. W pokojach państwa Gucwińskich bywa gościem. Częstym zresztą.

Specjalnych kłopotów z pytonem nie ma. Lubi czystość, tak że kłopoty z higieną odpadają. Nie tak jak ze słoniami, które ostatnio nabrały szczególnej awersji do wody i nie chcą się myć. Skorupe brudu trzeba z nich zdrapywać grabiami. Poza tym pyton nie hałasuje, nie wybrzydza przy jedzeniu, a w ogóle jada rzadko, co też jest istotne. Wystarczy mu raz na tydzień jakieś dwanaście szczurów. Zeby tylko były ciepłe.

Różne są powody, dla których zwierzęta chowane są w domu. Pyton na przykład dlatego, że jest jeszcze za mały (5 metrów i 75 kilogramów!) i nie można go wstawić do jednej klatki z pytonicą (albo pytonową — zapomnieliśmy zapytać) gdyż istnieje niebezpieczeństwo, że żona po prostu połknie swojego lubego. Trzeba czekać aż kandydat na męża urośnie.

Inaczej trafił do mieszkania państwa Gucwińskich Bambo, ogromnie wesoły i towarzyski Pawian Dzelada. Bambo zawsze gra pierwsze skrzypce w telewizyjnych programach, które systematycznie kręcone są w tym mieszkaniu. Ma pięć miesięcy i jak każde dziecko pragnie aby ciągle się nim zajmowano. Bambo był pierwszym dzieckiem i jego matka nie wiedziała

jak się go karmi. Przystawiała go do piersi ogonem. Bambo chciał inaczej, pisał, a matka zdenerwowana biła go, siadała na nim, uderzała nim o ziemię. Jeszcze trochę i po prostu by go zabiła. Bambo został więc wzięty na wychowanie do pani Gucwińskiej. I dla Bambo Hanna Gucwińska jest teraz matką. Może na przykład biegać po pokoju, bawić się z wszystkimi, ale wystarczy że gospodyni wstanie — Bambo w te pędy za nią.

Biega Bambo po pokoju, szaleje na stole, z którego przeornie usunęliśmy szkło. Co chwilę wskakuje na fotel, żeby efektywnie z niego spadać. Prezentuje swoje polyskliwe i puszyste futerko coraz to z innej strony uśmiecha się, pokrzykuje. Coraz to zaczepia kogoś z nas łapiąc go za palec czy przyczepiając się wszystkimi łapami naraz. Bardzo szybko przyzwyczajają się do obcych. Gospodarze tłumaczą, że to normalne u zwierząt stadnych. Czym więcej ludzi — tym większa radość.

Zostawmy jednak wesołego Bambo, gdyż trzeba się zająć Koko, która obłędnie krzyczy za swoją opiekunką. Zresztą Koko ma dużo bardziej chytre sposoby przywoływania pani Gucwińskiej. Potrafi na przykład naśladować dźwięk lejającej się z kranu wody. Gospodyni błęźnie przestraszona — a to tylko Koko, która dopięła swego i śmieje się z dowcipu. Albo Koko naśladuje odgłosy palącego się ognia. I tak samo cieszy się, że udało jej się oszukać i że Hanna Gucwińska jest przy niej.

— Ma też dużo bardziej perfidne sposoby przywoływania mnie — mówi gospodyni. — Siedzę sobie na przykład wieczorem, światło zgaszone i słyszę nagle jak otwierają się drzwi, ktoś się skrada, podchodzi... No przecież strach człowieka ogarnia. A to Koko zmusza mnie w ten sposób do przyjścia.

Nieprawdopodobne zdolności Koko wynikają stąd, iż jest papugą. Jej oficjalne imię brzmi Kaka Moluka. Pochodzi, jak nazwa

wskazuje z wyspy Moluka, a do Wrocławia przywędrowała podarowana w prezencie przez znajomą z Amsterdamu, gdzie Hanna Gucwińska była w kwietniu na praktyce. Obecność Koko w tym mieszkaniu wynika stąd że tak zawsze wyrzywa sobie pióra. Wystarczy lekkie zdenerwowanie. Cały brzuch ma już łysy. I z tego powodu trzeba było ją z piaszarni zabrać.

Teraz papuga pokochała panią Gucwińską, ludzi traktuje sympatycznie i chętnie przychodzi każdemu na ramię. Ale nadal drze sobie pióra. Wystarczy nieobecność opiekunki i już się denerwuje. Krzyczy tak, że w całym domu ją słychać tłucze się w klatce a w końcu wyrzywa sobie upierzenie. I co z taką zrobić?

— Złożę jej kołnierzyk — mówi Hanna Gucwińska — mam już upatrzone. Oduczę cię tego wyrwania zwraca się do ptaka, który akurat siedzi na jej ramieniu.

Ale z powodu zdolności Koko najbardziej cierpi Fennek — lis pustyński żyjący na Sacharze. Otóż papuga udaje skrobanie myszy i lisek, który posiada nadzwyczajnie wyczulony słuch, dostaje autentycznego szału. Biega podniecony po całym mieszkaniu, szuka tej myszy... a papuga ma zabawę.

Fennka podarowano państwu Gucwińskim na Światowym Kongresie w Tunisie. Jest to prześliczne zwierzątko. Nieduży ale z ogromnymi sterczącymi na bok uszami, futro ma koloru pustynnego piasku. Na wolności żyje w skrajnie ciężkich warunkach, na pustynnych obszarach, gdzie wody nie uświadczysz. Dlatego Fennek potrafi się bez niej obejść. Jest ponoć bardzo odporny od wielbłąda. Lis ten znajduje wodę w pożywieniu. W każdym razie — mówi dyrektor — ja nie widziałem, żeby on pił.

Lisek przywędrował do Wrocławia w czerwcu ubiegłego roku. W tym roku dokupiono mu w Czechosłowacji towarzyszkę. Niestety jednak w tym, że młodzieniec nie żywi do niej sympatii. I wzajemnie. Pani Gucwińska postanowiła

W OBJĘCIACH PYTONA

KRZYSZTOF DĘBEK



wiła pogodzić zwaśnione strony i dlatego oba lisy żyją w mieszkaniu.

Najbardziej niecodzienne jednak powody przejścia z ogrodu do mieszkania wystąpiły przy Gwareku. Był kiedyś remont piaskarni. Gwarek posiada jeszcze większe zdolności naśladowcze niż Koko i robotnicy szybko to spostrzegli. Trochę Gwarek podsłuchał budowlanych dialogów trochę go nauczyli uczynni murarze i malarze. Skończyło się tym, że ptak zaczął kłaść jak przysłowiowy szewc wzbudzając tym ogromną sensację w ogrodzie. Tłumy zwiedzających, ścisk przy klatce był taki, że ptaka dla jego dobra trzeba było z piaskarni usunąć. Umieszczono go w pokoju dyrektora. Antoni Gucwiński kilkakrotnie na samym początku chciał go dać gdzieś indziej, gdyż ptak, kiedy tylko zadzwonił telefon, a dyrektor nie mówił tylko słuchał rozmówcy — prezentował swój przebogaty repertuar przekleństw. I jak tu później wytłumaczyć komuś, że to ptak...?

Teraz Gwarek rozmawia zupełnie inaczej. Jak zadzwoni telefon, grzecznie pyta: Halo? Poza tym mówi — przepraszam i sam sobie odpowiada — nieczewo, nieczewo...

W ogóle teraz Gwarek zachowuje się bardzo przyzwoicie. Dzięki paniom sekretarkom i wielu innym gościom, nauczył się bogatego słownictwa i całkowicie już zapomniał tego murarsko-malarskiego. A kiedy się zdenerwuje na kogoś — to łapie go dziobem za skórę i jeszcze zakręca.

Rozmawiamy z dyrektorem Gucwińskim o współpracy ogrodu z zakładami przemysłowymi. Niezwykle korzystna jest taka współpraca: ogród jest przecież wspaniałym zapleczem rekreacyjnym, można przywozić tu pracowników na całodzienny wypoczynek, dyrekcja zapewni im opiekę przewodnika. A zakład pracy może się zrewanżować wykonując jakieś drobne naprawy czy urządzenia.

— Chcą mieć na przykład pracownicy akwarium w miejscu pracy — mówi Antoni Gucwiński. — Damy rybki, nauczymy, jak je hodować, ale zakład niech zrobi zamiast jednego, dwa akwaria. To przykład współpracy — ludzie będą mieli rybki a my akwarium...

Taką współpracę owocnie prowadzi ogród z zakładami w Jelczu. Antoni Gucwiński nie ukrywa, że chętnie by nawiązał kontakty z przedsiębiorstwami naszego województwa. Jego atuty: to największy w Polsce ogród zoologiczny, w którym żyje 5,5 tysiąca zwierząt, 520 gatunków, największa w Europie kolekcja goryli. Dobrze by było, gdyby do 600 tysięcy osób zwiedzających wrocławski zwierzyniec doszły następne tysiące z województwa legnickiego.

Przerwał nam rozmowę Gwarek, który wskoczył na dyrektorskie biurko, porozrzucał papiery i długopisy, położył dumny i powiedział: — Kto tu rządzi...?



BĄDŹMY LUDŹMI!

Co chwilę nadjeżdżały kolejne autobusy. Pasażerowie pośpiesznie wsiadali i wysiadali. Kowalski cierpliwie dreptał czekając na swój. Wreszcie nadjechał...

Kowalski bezceremonialnie zaanektował miejsce dla inwalidy i osób z dziećmi na rękę. Wygodnie, można wyciągnąć się na całą szerokość. Złapane jesienią blokiem kamasze zablokowały przejście. Na rozgrzewkę zaśpiewał niecenzuralną piosenkę.

— Na kogo popadnie, na tego... i plnął!

— Nieladnie jest pluć — powiedział wybrany przez los na cel, mały, skromny pan w okularach. Nie trzeba pluć, powtórzył z zawstyżeniem wycierając rękaw palta.

— Ty gadzie! — syknął Kowalski i jeszcze raz plnął.

— Wypił sobie, bądźmy ludźmi! — podsumowała staruszka.

— To skandal, tyłu mężczyzn i nikt nie uspokoi łobuza! — stwierdziła elegantka.

W tym czasie Kowalski zrzucił ze zmęczonych stóp kamasze.

— Ojjoj! Biedaczynka, stopy sobie odmrozi — litowała się babcia.

— Ty stara krowo! — podsumował troskliwość babci i równocześnie celnym rzutem zrzucił panu w okularach kapelusz z głowy.

Bohater autobusu jakby przysnął. Pasażerowie odetchnęli. Nie na długo.

Kowalski spełził z siedzenia, podniósł kamasz i zupełnie trzeźwym głosem odezwał się do pasażerów: — Proszę państwa! Przed chwilą przeprowadziłem eksperyment. Próbowałem ustalić jak długo będziecie znosić chamstwo pijaczyny. I co? Wycierpieliście do końca!

— Bezczelność! Skandal! — pierwszy rzucił parę w okularach.

— To nawet nie szyderstwo, ale bandytyzm — zauważyła elegantka.

— Chuligan! Łobuz! Nie pił, a mnie od krów wyzywał! Jakim prawem?! ulżyła sobie staruszka.

— Wystarczy! — z tymi słowami postawny jegomość chwycił mocno rękę Kowalskiego i wykręcił do tyłu. — Kto z państwa za świadka na MO?

— Daj pan spokój! Jestem trzeźwy! Eksperyment! — zawył z bólu Kowalski.

— Pijany, nie pijany, przed władzą się będzie tłumaczył. Nie wierzę! Który z panów pomoże?

— Ja! Powiedział z godnością chudy pan w okularach.

Kowalski z milicją nie chciał mieć do czynienia. O ucieczce mowy nie było. Pozostaje tylko...

Całą siłą woli wyprostował się i z zamachem cisnął kamaszem ponownie w pana w okularach. Kapelusz znów spadł. Teraz przechylił się w stronę staruszki usiłując ją pocałować. Ta ledwie zdążyła się zasłonić torbą.

— A jednak zalał się! — triumfalnie powiedziała babcia.

— To po co mówił te banialuki! Z niedowierzaniem skonkludował silny i znów powalił Kowalskiego na przejście.

— Czego to na bani się nie mówi? — zauważył ktoś. Mój sąsiad jak się upija, to tylko na poważnie i mówi tylko o polityce i ekonomii!

— Proszę go powąchać! — zaproponowała elegantka.

— Woda kolońska! Czego to ludzie nie piją? Na co mu przyszło... — orzekł silny, i puścił Kowalskiego.

Zmaltretowanego delikatnie ułożono na siedzeniu w pozycji wyjściowej.

— Może by jednak na milicję? — upierał się, choć bez zdecydowania pan w okularach.

Kowalski zebrał ostatnie siły. Otworzył oc i plnął jeszcze raz w malkontenta.

— Rzeczywiście, nie ma sprawy. Bądźmy ludźmi! Powiedział, wycierając palto, chudy pan w kapeluszu i w okularach.

— Dokąd pan jedzie? — zapytała babcia potrząsając Kowalskiego za ramię.

— Do ronda... — wymamrotał z zamkniętymi oczyma.

— Kto tam jedzie, niech pomoże biedaczce, bo ją wysiadam. A w szczytę taki ruch, że pod koła wpaść może, przecież pijany!

W autobusie ucichło. Kowalski niepostrzeżenie z lekką uchyłką jedną z powiek Otaczali go współpasażerowie: współczujący, serdeczni, życzliwi i wyrozumiali. Myślał już teraz tylko o jednym — byle by nie zdekonspirowali jego trzeźwości, przynajmniej do ronda.

M. MISZYN

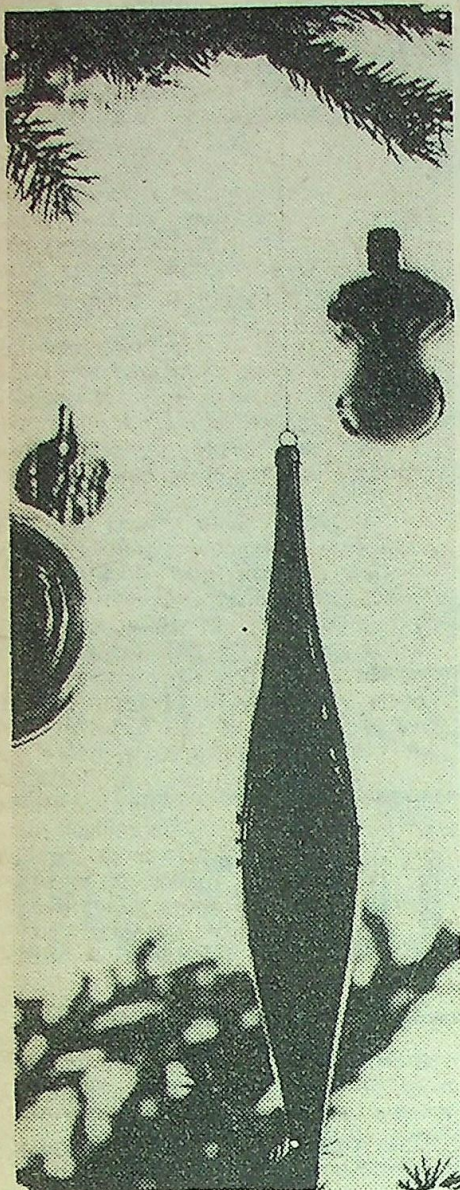
tłum. TOMASZ KALICKI



Bambo urządza harce po meblach.



„Kto tu rządzi, kłooo,” — pyta Gwarek dyrektora... Gucwińskiego.



Fot. T. Drankowski

DZIEŃ wigilijny jest w Polsce wyjątkowy. Bez wątpienia stanowi uroczyste święto rodzinne. Aby usiąść do kolacji wigilijnej ludzie wracają do domu z najodleglejszych nawet zakątków

świata... Gdzie szukać przyczyny takiego właśnie charakteru dnia wigilijnego?

Odpowiedź można znaleźć w bardzo odległej przeszłości — znacznie dawniejszej niż tradycje chrześcijaństwa — w świecie antycznym. Oto na przykład w Persji 25 grudnia obchodzony był jako „dzień narodzin niezwykłego słońca”. Rzymskie uroczystości ku czci zmarłych (tzw. larentalia) odbywały się 24 grudnia. saturnalia, czyli święta wolności i dobrobytu — między 17—24 grudnia.

Oczywiście tradycja świąt przetrwała jest na całym świecie. Różnie — w różnych krajach...

W Danii święta zaczynają się po południu, 24 grudnia, uroczystym obiadem. Jak na nasz gust pierwsze danie jest nieco dziwne. Podaje się mianowicie gotowany ryż z cukrem, cynamonem, obficie okraszony masłem i polany bezalkoholowym piwem. Dla Duńczyków największą atrakcją tej potrawy są dwa migdały, które pan domu wrzucił wcześniej do ryżu. Szczęśliwiec, który znajdzie migdał w swojej porcji dostaje specjalny upominek...

Słodko-mdle ryżowe danie nie jest jednak przypadkiem. Nasyceni słodyczą Duńczycy już nie tak łapczywie patrzą na następną potrawę — gęś nadziewaną śliwkami i jabłkami albo ziemniakami z pieprzem. Podaje się je z bardzo ostrym sosem, ziemniakami i czerwoną kapustą gotowaną w czerwonym winie. Do gęsi podaje się czerwone wino — jedyny alkohol podczas tego obiadu.

Po obiedzie, pan domu zapala światła na choince, otwiera szeroko drzwi i wtedy wszyscy wchodzi do pokoju i śpiewając okrążają choinkę, pod którą leżą prezenty dla dzieci. Podarki dla dorosłych ułożone są w innym miejscu. Później — wszyscy opychają się słodyczami i czekają jak zakończy się konkurs polegający na wytypowaniu

DŁUGIE, świąteczne wieczory doskonale nadają się do rozważań nad samym sobą. Proponujemy więc psychozabawę polegającą na zastanowieniu się nad podanymi niżej dziesięcioma problemami — wybraniu jednego z trzech możliwych rozwiązań. Potem wystarczy już tylko podsumować uzyskane punkty... Oczywiście radzimy zbytnio nie wierzyć w rezultaty tego testu. Niemniej jednak przy okazji warto zastanowić się nad własnym charakterem...

1. Twój przyjaciel musi wyjechać na kilka dni w pilnej sprawie. Poprosił, abyś zajął(ęła) się jego trzema kotami, a Ty:

- a) proponujesz, żeby zostawił zwierzęta bez opieki,
- b) radzisz, aby oddał koty na te kilka dni do schroniska,
- c) entuzjastycznie wyrażasz zgodę.

2. Twoja ulubiona forma spędzania urlopu, to:

- a) wakacje „na dziko”, pobyt w cichej, ustronnej miejscowości,
- b) góry, narty, śnieg i słońce oraz bardzo liczne towarzystwo,
- c) atrakcyjna wycieczka zagraniczną.

3. Twój ulubiony kolor, to:

- a) jasny błękit,
- b) różowy, turkusowy, fioletowy,
- c) żółty.

4. Dostajesz od bliskiej osoby coś z ubrania, co niezbyt podoba Ci się, a na dodatek nie najlepiej leży. Wobec tego:

- a) nie czynisz żadnych poprawek, ale nosisz tę rzecz tylko podczas robienia porządków,

- b) przerabiasz i nosisz tylko do pracy,
- c) uważasz, że ta rzecz jest okropna i wkładasz ją tylko wtedy, kiedy istnieje pewność, że ofiarodawca to zobaczy.

5. Ulubiony Twój sposób spędzania czasu we dwoje, to:

- a) nastrojowy wieczór w domu, cicha muzyka i światło świec,
- b) opera, balet lub teatr, a potem kolacja w doskonałej restauracji,
- c) wypad na „zieloną trawę”, jazda na rowerze, łyżwach, nartach.

6. Wyobraź sobie, że zaproponowa-

JAK ŚWIĘTUJĄ INNI

świeczki, która będzie palić się najdłużej.

RÓWNIEŻ Francuzi zasiadają przy wigilijnej wieczerzy. Przeciętą francuską wigilię składa się z ostryg, czegoś w rodzaju naszej kaszanki, indyka nadziewanego w najbardziej wyszukany sposób, gęsiej wątróbki i tzw. „polana wigilijnej”. „Polano” — to cienkie ciasto, powleczone specjalną masą, zawijane, polane czekoladowym lukrem i... podrapane widelcem, aby polewa przypominała korę drzewa. Prezenty we Francji daje się coraz częściej na Nowy Rok.

Natomiast w Belgii podarunki daje się 6 grudnia — na Mikołaja. W wigilię obowiązuje wprawdzie świąteczna kolacja, a następnego dnia rodzinny obiad, ale największe uroczystości, (także gastronomiczne) odbywają się w Nowy Rok. Wtedy na stole pojawia się wytworny indyk nafaszerowany ozorkiem i kaszkanami, a także truflami. Również w Belgii podaje się „święteczne polano”, ale tutaj jest to ciasto z kruszonych biszkoptów, a polewa — kawowa.

W Holandii święta przebiegają bardzo spokojnie. Prezenty daje się wcześniej niż gdzie indziej, bo już 5 grudnia, w przeddzień Mikołaja. Mikołaj jest zresztą ulubionym świętem Holendrów. To właśnie stąd wywieziono go do Ameryki (i ochrzczono Santa Clausem), a z Ameryki do Anglii.

W Holandii, w czasie świąt je się chleb pieczony z korzeniami, ciasto z masą migdałową oraz leśguminę czekoladową. W miejsce

tradycyjnej gęsi coraz częściej pojawia się indyk.

We Włoszech prezenty wręcza się 6 grudnia i na Gwiazdkę. Najpopularniejsze potrawy to — indyk, pierożki z mięsem, drożdżowe ciasto korzenne. Coraz bardziej modne są choinki. Tak, tak — choinki, tradycją świąteczną były dawniej we Włoszech żłobki.

Podobno świąteczne drzewko „urodziło się” w Niemczech w XVII wieku. Trudno powiedzieć ile w tym prawdy, faktem jest jednak, że ekspansja choinki nastąpiła stosunkowo późno. Na przykład do Anglii choinka dotarła dopiero w XIX wieku. Wniósł ją Anglikom w „posagu” książę Albert — z pochodzenia Niemiec, żeniąc się z królową Wiktoria.

WZWIĄZKU Radzieckim do uroczystej kolacji zasiada się w ostatni dzień starego roku. W europejskiej części ZSRR nie może zabraknąć wśród świątecznych dań znakomitych małych pierożków nadziewanych mięsem, podawanych w rosole lub polanych śmietaną z masłem. Często podaje się kaczkę lub gęś nadziewaną jabłkami. Na deser — wśród słodkich ciast poczesne miejsce zajmuje chrust. Przy świątecznych stołach i tutaj nieodzowna jest oczywiście choinka. Zresztą pięknie przystrojone choinki znajdują się na placach wszystkich radzieckich miast i wsi. Na północy gdzie w tym czasie panuje trzaskający mróz, ozdoby świątecznego drzewka są szczególnego rodzaju — choinkę przybiera się lodowymi kulkami, w środku których znajdują się żaróweczki...

TABELA PUNKTÓW

1a — 3 p.	1b — 2 p.	1c — 1 p.
2a — 1 p.	2b — 3 p.	2c — 2 p.
3a — 3 p.	3b — 1 p.	3c — 2 p.
4a — 2 p.	4b — 3 p.	4c — 1 p.
5a — 1 p.	5b — 2 p.	5c — 3 p.
6a — 3 p.	6b — 2 p.	6c — 1 p.
7a — 1 p.	7b — 2 p.	7c — 3 p.
8a — 2 p.	8b — 3 p.	8c — 1 p.
9a — 3 p.	9b — 1 p.	9c — 2 p.
10a — 1 p.	10b — 3 p.	10c — 2 p.

ROZWIĄZANIE

25—30 punktów:

Posiadasz to, co niektórzy nazywają charakterem. Prawie nigdy nie zdarzają ci się tzw. wyskok. Można z góry przewidzieć twoją reakcję, a także liczyć na twoją pomoc w rozwiązaniu problemów. Ważne jest również, że zawsze jesteś naturalny(a) — nie ma w tobie ani odrobiny sztuczności. Nigdy nie stosujesz gry, zmierzającej do tego aby wydać się kimś innym niż jesteś w rzeczywistości. Za to też wszystko cenią cię twoi przyjaciele.

16—24 punkty:

Jesteś typem intelektualnym. Zawsze umiesz zachować konieczny dystans do najróżniejszych spraw, rozwiązać szybko i logicznie najtrudniejsze problemy. Nie znaczą to jednak, że jesteś pozbawiony(a) poczucia humoru. Przeciwnie — twoją specjalnością są dowcipy, szybkie i niezwykle celne riposty. Masz wielu przyjaciół, ale też i sporą liczbę wrogów.

10—15 punktów:

Klasyczny przykład sentymentalnej dziewczyny lub romantycznego mężczyzny. Typ trochę już zapomniany, trochę staromodny. Ale niektórzy bardzo to lubią... Na pierwszy rzut oka już widać te twoje cechy i nie nie pomogą żadne zabiegi, aby je ukryć. Potrafisz jednak, jeśli trzeba, bardzo sprawnie działać. Czasem wykazujesz też upór i silny charakter.

PSYCHOZABAWA:

JACY JESTEŚMY

no Ci czteroczną pracę społeczną. Co wybierzesz:

- a) organizację zabaw dla dzieci z waszego podwórka,
- b) pracę w placówkach opieki społecznej,
- c) przyjmiesz każdą propozycję.

7. W wyniku pomyłki telefonicznej nawiązujesz kontakt z niezwykle miłą osobą. Umawiasz się z nią na kawę. Okazuje się jednak, że ten ktoś wcale nie jest w Twoim typie mało — bardzo Ci się nie podoba. Więc:

- a) szybko mówisz, że jesteś w zastępstwie, oo koleżance (koleździe) coś wypadło i bardzo przeprasza, ale nie może przyjść,
- b) wypijacie razem kawę, po czym szybko uciekasz, wymawiając się jakimś pilnym zajęciem,
- c) nie przeraża Cię wygląd zewnętrzny, wychodzisz bowiem z założenia,

To Ty zrobisz (as) coś, o czym wiesz, że sprawi przykrość partnerowi. Następnie:

- a) jak najszybciej wyznajesz wszystko ze skrupuła i prosisz o przebaczenie,
- b) idziesz prosić o radę i pomoc znajomych, licząc na to, że oni jakoś to mogą załatwić,
- c) przemilczasz całą sprawę, licząc na to, że nigdy nie wyjdzie na jaw.

10. Znajdujesz na pustej ulicy banknot 1000-złotowy. Podnosisz go i:

- a) robisz odpowiednie zakupy i wysyłasz anonimową paczkę z prezentami dla domu dziecka,
- b) rezygnujesz z zaplanowanego posiłku w stołówce zakładowej, zapraszasz przyjaciół i idziecie do lokalu,
- c) całą sumę przeznaczasz na zakup książek z dziedziny, którą pasjonujesz się od dawna.

JEŚLI ktoś w Polsce mówi kopalnia, to wyobrażamy sobie szyb wyciągowy, głęboki zjazd pod ziemię i tam ciągnące się kilometrami korytarze. Moje wyobrażenia o kopalni zmieniły się radykalnie gdy znalazłem się w Peru — mówi geolog mgr Kazimierz Augustyniak. A moja przygoda z Peru zaczęła się w początku lat siedemdziesiątych. Wówczas bowiem ożyły się gospodarcze kontakty polsko - peruwiańskie. Wynikiem był m. in. kontrakt jaki zawarł katowicki „Copex” z „Mineroperu” tamtejszym ministerstwem górnictwa. Na mocy tej umowy pięciu polskich geologów miało odnaleźć, zbadać i sporządzić dokumentację złóż węgla kamiennego w Andach Peruwiańskich.

— Wyruszyliśmy z kraju w październiku 1972 roku poprzez Paryż, Madryt i Caracas w Wenezueli — wspomina Kazimierz Augustyniak. Podczas lotu przeżyliśmy najdłuższą noc w naszym życiu, bowiem od godziny 2 do 7 podróz nasza trwała 10 godzin, bo nad Atlantykiem czas przesunięty zostaje w stosunku do Europy o 5 godzin. Wylecieliśmy w ciepłych płaszcach, a w Caracas nawet w koszulach było za gorąco, temperatura o 7 rano sięgała 30 stopni. Tropik szokował nas krzykliwymi barwami roślinności, która pięła się po wszystkich murkach, domach, wisiała nad ulicami. Po krótkim postoju dalszy lot do Bogoty w Columbię i Gyaayaquil, olbrzymiego portu leżącego tuż przy równiku u ujścia rzeki o tej samej nazwie. Stamtąd już jednym skokiem do Limy. Trasa przelotu wiodła wzdłuż całego muru Andów, pięknie ośnieżonych. W stolicy Peru Limie powitaniem było niezwykle uroczyste. Opisywała nas prasa, pokazywała telewizja.

Ta olbrzymia metropolia zadziwiała swoimi kontrastami. Bogate piękne centrum, luksusowe wille, piękne dzielnice, pałacyki w zieleni i ciągnące się kilometrami slumsy, w których koczują Indianie szukający lepszego życia. Na jednej z wystaw sklepu jubilerskiego karteczka „Tu się mówi polski” — i rzeczywiście dawny emigrant z kraju wśród wielu innych posługiwiał się i tym językiem. Dni mieliśmy szczerze wypełnione spotkaniami z Polonią i oglądaniem miasta, w którym na każdym kroku spotyka się polskie pamiątki. Na przykład pałac prezydencki i jeden z głównych placów Limy były projektowane przez polskiego architekta.

W początkach listopada odlecieliśmy w rejon Oyon by tam rozpocząć właściwe nasze zadanie. Złóż węgla kamiennego rozciągają się w tym rejonie na wysokościach od 2 do 5 tysięcy metrów nad poziomem morza. Dotarcie do nich wymagało niejednokrotnie alpinistycznych umiejętności. Duża wysokość, która z jednej strony była przeszkodą w dotarciu do złóż, była jednocześnie pomocna w ich rozpoznaniu. Bowiem na dużych wysokościach nie występuje już żadna roślinność, młode nie zniszczone jeszcze erozją góry typu alpejskiego odsłaniają swoje wnętrza. Niezwykle pomocne okazały się tu zdjęcia lotnicze, na których można śledzić przebieg całego niemal złoża.

Aby móc normalnie żyć i pracować na dużych wysokościach całą ekipa aklimatyzowała się na 2 tys. metrów by potem wyruszyć do osiedla górniczego Oyon na wysokość 3900 m. Każdemu polskiemu specjalistcie przydzielono jednego peruwiańskiego geologa, aby ten młody adept nauki o ziemi

uczył się od Polaków i nabierał wprawy w poszukiwaniach złóż węgla i rud.

Osiedle Oyon zawdzięczało swe powstanie pokładowi węgla znajdującym się w pobliżu. Składało się ono ze smutnych domków ulepionych z suszonej gliny. Jedynym otworem w takim domu są drzwi, w tym, w którym my zamieszkaliśmy wybito dodatkowo okna i zainstalowano światło elektryczne, abyśmy wieczorami mogli pracować i notować to wszystko, co w ciągu

połączenie wiononczeli z cytrą. Pożywienie tych ludzi jest proste. Składa się głównie z pieczonego mięsa z dodatkiem ryżu lub makaronu i czasem małych wielkości orzecha ziemniaczków a także płaczków kukurydzy. Owoce sprowadza się z dolin. Są to banany, granaty i limy — skrzyżowanie pomarańczy z grapefrutem. Wszyscy Indianie prawie bez przerwy żują liście coca, łagodzi ona łaknienie i ma pewne właściwości narkotyczne.

z nich powodują wiele potłuczeń i polamań. Nie było tygodnia w Cerro de Pasco bez pogrzebu górnika. Ten fakt najlepiej świadczy o warunkach pracy w kopalni. Wagoniki z urobkiem popychane są ręcznie. Mechanizacją objęty jest tylko główny ciąg kopalni. Polega ona na tym, że górą biegnie linia elektryczna, a siedzący na wózku górnik przytyka do niej pantograf. Wówczas wózek jedzie. Przy kopalni jest także zakład wzbogacania rudy. Koncentrat pakowany w plastikowe worki zwożony jest górkimi drogami na samochodach terenowych. Taka jazda to za każdym razem cena strachu. Drogi to półki skalne szerokości jednego samochodu. Nierzadko zdarza się, że zejdzie lawina kamienna pociągając za sobą samochody albo zasypując drogę.

Badalem często stare sztolnie zwane po miejscowemu socavon. W jednej z nich, gdy dotarłem do końca, usłyszałem przeraźliwy pisk, a gdy podniosłem głowę na moją twarz rzuciły się potworne podobne do psich pysków z ostrymi zębami zwierzęta, na olbrzymich błoniastych skrzydłach. Było to stado nietoperzy-wampirów, które zamieszkują ciemne niedostępne miejsca. Żywią się one wypijając zwierzętom krew. Na szczęście miałem na głowie kask a na rękach grube skórzane rękawice, w przeciwnym razie wampiry pokaleczyłyby mi z pewnością twarz i szyję i nie wiadomo jak by się ta przygoda dla mnie skończyła, bo do socavonu wszedłem sam. Takich egzotycznych niebezpieczeństw było więcej. Jadowite skorpiony, długie na 15 cm jadowne stonogi a także różne pajaki np. tarantule. Jednak najbardziej dawały nam się we znaki małe muszki, których ukłucia powodowały zaczerwienienie, pieczenie i swędzenie skóry, tego już po prostu nie można było uniknąć.

Podczas górskich wędrówek nierzadko spotykaliśmy inkaskie pamiątki. Ruiny wspaniałych miast ułożonych niezwykle precyzyjnie z olbrzymich bloków skalnych. Prowadziły do nich imponujące trakty wykute w litej skale. Jeden z naszych indiańskich przewodników siadał z nami na ruinach i śpiewał ludowe ballady, sam był twórcą wielu z nich. Ułożył też piękną pieśń na naszą cześć, jej sens był taki, że kiedy do Oyon przybyli Polacy, do jego domu zawitała radość. Pieśń ta zyskała sobie sporą popularność, a kiedy opuszczaliśmy Peru słyszałem ją nadawaną przez radio Lima.

Notowała:
ELŻBIETA POMORSKA

SZTOLNIA WAMPIRÓW

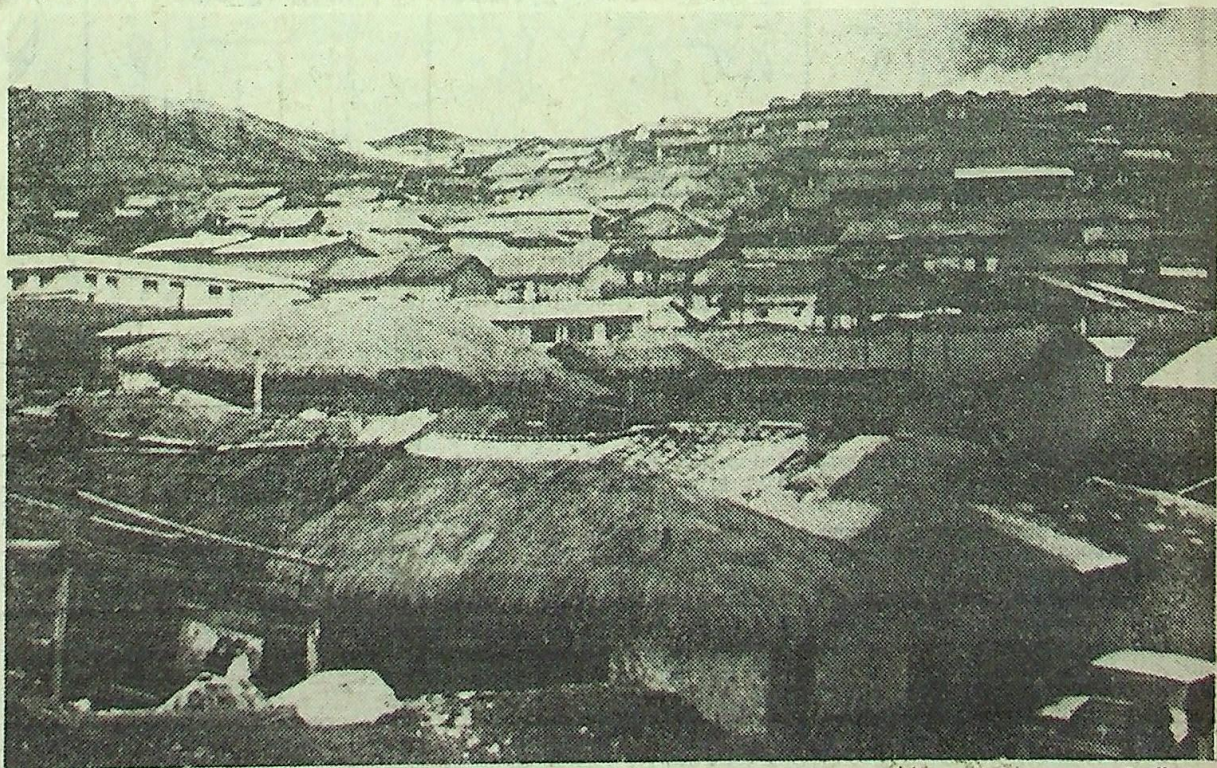
dnia zostało rozpoznane. Całe osiedle w żółtoszarawej barwie pozbawione było jakiegokolwiek roślinności, bo na tej wysokości nie już rosnąć nie chce. Robiło to smutne wrażenie. Jedynym wesołym akcentem były stroje miejscowej ludności. Robione z kolorowej wełny czapczki, duże kapelusze przewiązane kontrastową wstążką, bajeczne poncha i niezwykle barwne spódnice kobiet. Życie osady ożywiały sklepiki znajdujące się w co drugim domu. Bowiem około połowa ludności pracowała „w węglu” druga zajmowała się handlem.

W Oyon spędziliśmy święta Bożego Narodzenia. Są one inaczej obchodzone niż u nas, choć i Indianie peruwiańscy są chrześcijanami. Przed świętami to sennie miasteczko gwałtownie się ożywiło. Z całej okolicy zaczęli ścigać do niego pasterze. Koczują oni na wysokości około 4 tys. metrów wraz z całymi rodzinami wypasając stada wełnistych lam. Żyją niezwykle prymitywnie w kamiennych szałasach i właśnie w czasie świąt Bożego Narodzenia ciągną na koniach, lamach, osłach ze swymi rodzinami i stadami do nieco niżej położonych osad, aby tam spienić skóry, wełnę i mięso, a kupić nieco soli, żywności i odzieży potrzebnej na długie miesiące wypasów. Pije się wówczas dużo samogonu wyrabianego z trzciny cukrowej a także niskoprocentowego napoju czicza. Całe miasteczko jest pijane. Wszyscy tańczą i śpiewają przy dźwiękach instrumentu zwanego harfą, choć przypomina on raczej

To, że około połowa ludności Oyonu pracuje przy węglu nie znaczy, że jest tam jakaś w naszym europejskim pojęciu kopalnia. 13 pokładów węgla, które w okolicy występują, ma wielu właścicieli. Cały teren podzielony jest na małe poletka. Każdy ryje małą sztolnię i zatrudnia 2—3 górników najprymitywniejszymi narzędziami rąbiących węgiel. A gdy przed sztolnią uzbiera się odpowiednia kupka, karawana składająca się z około 50 lam transportuje go na dół.

Niedaleko (jak na odległości peruwiańskiej) od Oyonu, w okolicy Cerro de Pasco, jest jedna z najwyższych na świecie położonych kopalń miedzi i srebra. Znajduje się ona na wysokości około 4300 metrów nad poziomem morza. W tej okolicy działała polska wyprawa alpinistyczna Polacy zdobywali pięcioletni szczyt. Po długiej i żmudnej współpracy spostrzegli na jednej z półek skalnych dziwne regularne otwory. Jakież było ich zdziwienie gdy wyszli z niego górnicy. Była to bowiem jedna ze sztolni kopalni miedzi.

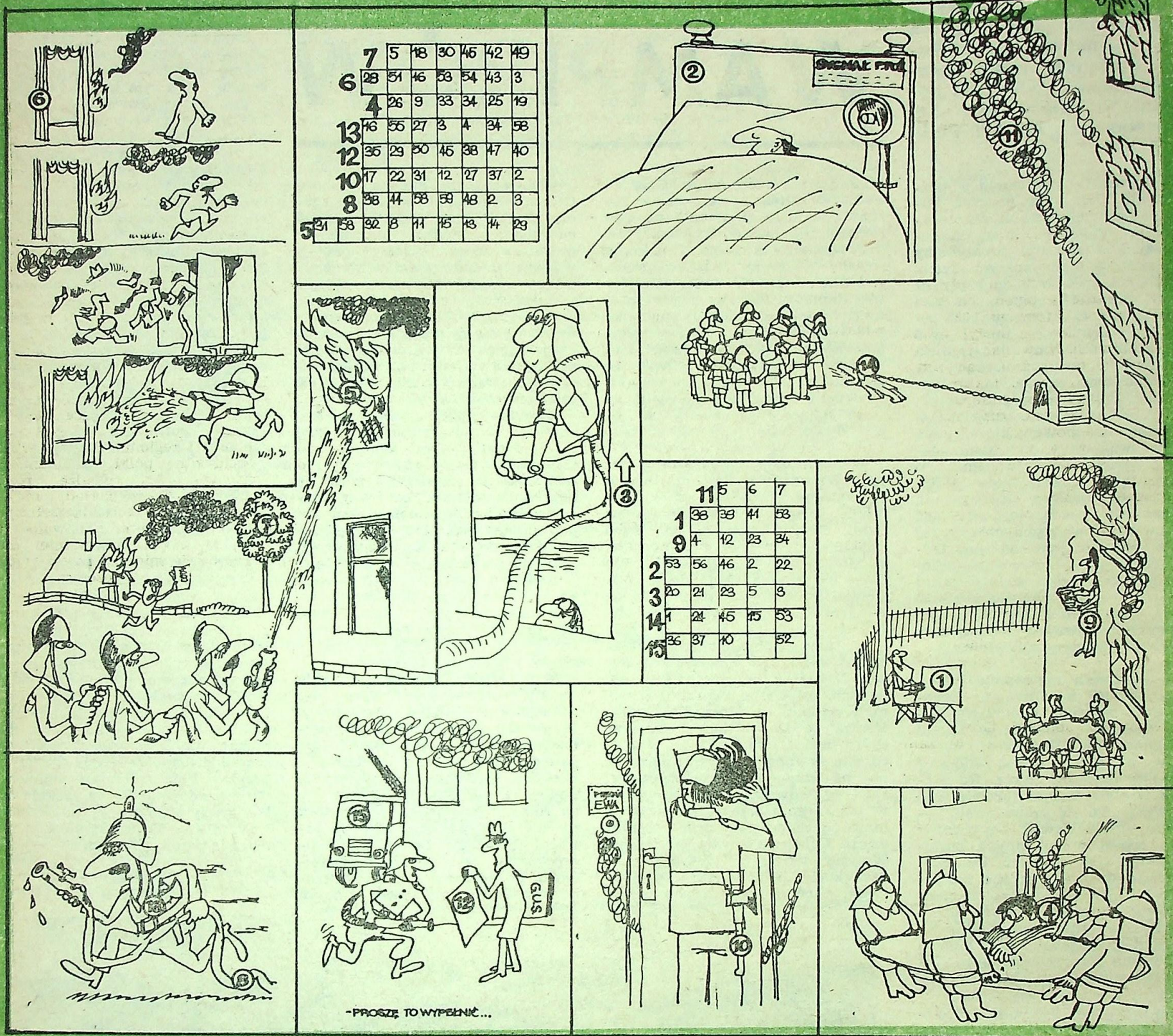
W tej kopalni panują niezwykle ciężkie warunki pracy. Złóże jest nieregularne ma charakter żyłowy. Wyróbisko idzie więc tak jak najbogatsza strefa mineralizacji. Kopalnia ciągnie się w poziomie z wieloma szybami i upadkami. Ponieważ wydobycie odbywa się na różnych poziomach, a wyróbisk się nie zabezpiecza, często są zawaly. Narzędzi używa się najprymitywniejszych. Do wyższych poziomów trzeba wchodzić po drabinach i upadki



Osiedle Oyon leżące na wysokości 3900 m n.p.m. składa się z identycznych domków ulepionych z suszonej gliny. Repr. Krzysztof Raczkowiak

konkurs

konkurs



DĘBEK & PAŃCZUK

Prosimy odgadnąć znaczenie wyrazów ukrytych na rysunkach, a zaznaczonych cyframi 1—15 w kółeczkach. Odganięte wyrazy wpisujemy do diagramów. Litery z krutek oznaczonych cyframi od 1 do 59 dadzą hasło — rozwiązanie konkursu. Odpowiedzi (wyłącznie na kartkach pocztowych), na załączonych kuponach prosimy nadsyłać w nieprzekraczalnym terminie do 10 stycznia 1977 roku (decyduje data stempla pocztowego) Nasz adres: Redakcja „KONKRETY” ul. Armii Czerwonej 4/4, 59-300 LUBIN.

Prosimy o dopisek: „KONKURS ŚWĄTECZNY”.

Wśród prawidłowych rozwiązań rozlosujemy nagrody w postaci bonów PKO: I — 1000 zł, II — 750 zł, III — 500 zł oraz trzy po 250 zł.

Konkurs został zorganizowany przez naszą redakcję, Wojewódzką Komendę Straży Pożarnych w Legnicy i Oddział Wojewódzki PZU w Legnicy.

Życzymy przyjemnej rozrywki i powodzenia w losowaniu nagród.

KUPON KONKURSOWY

HASŁO _____

NAZWISKO I IMIĘ NADAWCY _____

ADRES _____

HISTORIA NA PERGAMINACH SPISANA

STANISŁAW MAŁECKI

POCZĄTKI legnickiego archiwum sięgają XIII wieku, a są niewątpliwie związane z nadaniem praw miejskich w 1252 roku przez księcia Bolesława Rogatkę. Dokument ów, niezwykle cenny, nie oślał się w zbiorach. Pozostał tylko jego transumpt (kopia) sporządzony w XV wieku przez księżną Elżbietę.

Dokumenty miejskie i książęce a więc księgi czynszowe, podatkowe, mandaty, przywileje i nadania spisane na pergaminach przechowywano w ratuszu miejskim oraz na zamku legnickim. Utrapieniem miast średniowiecznych były choroby zakaźne i ogień. Pierwszy wielki pożar, który w 1338 roku dotknął Legnicę, zniszczył ówczesne archiwum. Niewielka jego część przetrwała do dziś. Chcąc zabezpieczyć miasto przed takimi przypadkami, burmistrz Ambroży Bitschen w 1447 roku rozpoczął kopiowanie zachowanych pergaminów w tzw. kopiariuszu. Dzięki temu teksty dokumentów można obecnie odnaleźć również w owej oprawnej w skórę księdze. Drugi pożar w 1601 roku ponownie strawił część archiwalnych zbiorów. Wkrótce po nim rozpoczęto trwającą do XIX wieku inwentaryzację zasobów.

Czasy ostatniej wojny nie były dla archiwum łaskawe. Zbyt łaskomy był to kasek dla okupanta, zwłaszcza dokumenty piastowskie, aby nie podać ich „opieczę” niemieckiej. Zbliżający się front zastał zbiory w kilku budynkach miejskich. Niemcy przewieźli archiwum do Jeleniej Góry, część dokumentów rozmieścili w zamkach Dolnego Śląska. Stamtąd nie udało się ich już przewieźć w głąb Rzeszy. Wiele jednak bezpowrotnie zaginęło.

Po wojnie zbiory przekazano do Wrocławia, a dopiero w 1953 roku, sprowadzono je ponownie do Legnicy. Z chwilą powołania Archiwum Państwowego W 1959 roku uzyskało ono rangę oddziału terenowego Wspomniany kopiariusz Bitschena wrócił na swoje miejsce dopiero rok temu, wykupiony dzięki przypadkowi z rąk prywatnego właściciela z Poznania...

Narozny budynek z czerwonej cegły przy ul. Ściegiennego w Legnicy. Tutaj, w sąsiedztwie księgozbiorów biblioteki wojewódzkiej, pieczołowicie przechowywane są w Archiwum Państwowym najcenniejsze pisane dokumenty historii regionu. Regaly, całe szeregi regaliów. Zaciemnione okna nie przepuszczają nawet wiązki zabójczego dla druków światła. Tuz obok — przyrządy mierzące temperaturę, ciśnienie i wilgotność. Najmniej odporne na owe czynniki są dokumenty współczesne. One właśnie muszą być najszybciej mikrofilmowane, gdyż za kilka, najwyżej kilkanaście lat zblednie maszynowa czcionka, długopisowy tusz... Stare dokumenty trzymają się znakomicie, teksty pisane na pergaminach organicznymi barwnikami są czytelne jak przed wiekami. Przechowywanym wodą destylowaną pieczęciom też nie brakuje. Najwięcej zmartwienia przysparzają archiwistom wszędobylskie grzybki. Dokumenty sprzed 1945 zaatakowane są przez nie prawie w całości. Brak w Legnicy specjalnych komór próżniowych do dezynsekcji ksiąg (nawet wrocławskie archiwum ich nie

posiada) zmusza do stosowania środka najbardziej dostępnego: watki. Przeciera się nią delikatnie stronę za stroną.

Podział dokumentów określa cezurą: rok 1945. I tak też są archiwalne zbiory ułożone. Badacz historii najnowszej sięgnie do regaliów z pierwszymi dokumentami władzy ludowej w Legnicy, w regionie... Prawdźwie podniosły kontakt z przeszłością następuje jednak przy regalach z dokumentami z czasów dla nas zamierzonych. Z okresu do połowy XV wieku zachowało się ich prawie czterysta. Stanowią nie tylko wartość użytkową, ale są cennymi źródłami do badań życia codziennego, handlu, gospodarki i kultury, badań śląskiej dyplomacji i sfragistyki.

Najstarszy zachowany dokument pochodzi z 1281 roku. Wydał go Henryk V, sprzedając miastu pastwiska między Rzeszotarami a Piątnicą. Pieczęcią z pierwszym herbem Legnicy, a to św. Piotrem z kluczami, siedzącym na tle muru (później doszedł Paweł), rada miejska opatrzyła w 1339 roku akt sprzedaży wójtowi dziedzicznemu w Legnicy... śrutownika. Z 1453 roku zachował się pergamin z przytwierdzoną doń pieczęcią lakową w czerwonym wosku, mocą którego Władysław Pogrobowiec — król Czech i Węgier — nadał Legnicy nowy herb, taki, jaki ma ona obecnie, ale bez korony. Długo opierali się legniczanie woli króla, dopiero na dokumentach z XVII—XVIII wieku utrwalił się nowy herb... Wśród

wielu pergaminów ujrzeć można jadalospis książęcy z 1372 roku czy rejestr skazanych w Legnicy w latach 1339—1357, nadania Piastowiczów legnicko-brzeskich, przywileje Wacława i Ludwika z 1342 roku, przyznając miastu monopol na zaopatrywanie okręgu sądowego w sól... Spośród licznych pieczęci książęcych, miejskich i kościelnych dwie szczególnie przykuwają uwagę — pieczęć konna Bolesława III legnickiego i pieczęć z czerwoną gwiazdą komandora zakonu krzyżowców z 1370 roku...

Jednymi z najcenniejszych dokumentów w archiwum są niewątpliwie „acta publica” miasta Legnicy, akta dworu książęcego legnicko-brzeskiego, akta sejmikowe Jawora oraz... cztery listy króla Kazimierza Jagiellończyka z lat 1494—1461, świadczące o bliskich kontaktach Korony z Legnicą. Uwagę zwracają również setki tomów ksiąg finansowych i czynszowych z czasów Ambrożego Bitschena, XVIII-wieczny przekład „Kroniki Książąt Polskich” oraz kilka fascykułów akt policyjnych, mówiących o przebiegu wydarzeń Wiosny Ludów w naszym regionie. Dokument wystawiony i opatrzony pieczęcią ostatniego władcy piastowskiego, młodego Jerzego Wilhelm, powstał kilka tygodni przed jego śmiercią. Cenną pozycją w archiwum są stare i nowe dokumenty dotyczące początków górnictwa miedzi i ołowiu w regionie oraz niewielka część akt z byłego

oboju koncentracyjnego Gross Rosen...

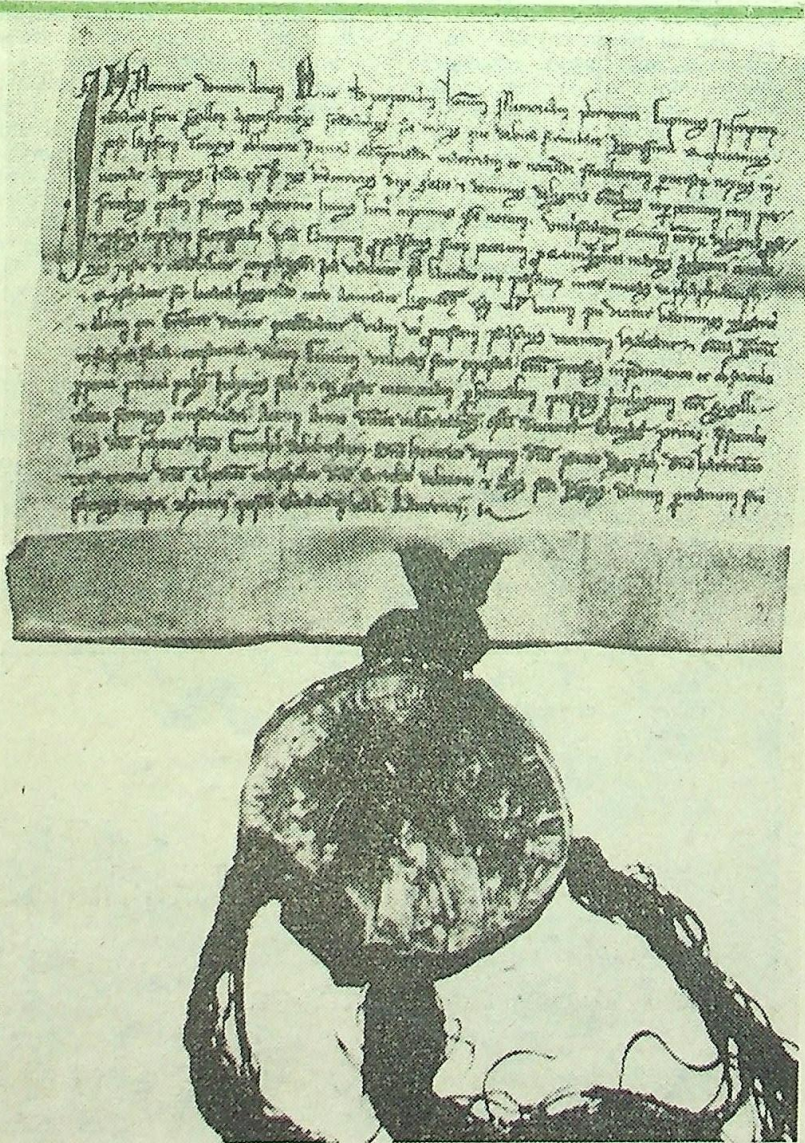
Porządek w zbiorach jest najważniejszą sprawą o jaką się zabiega, aby archiwum mogło służyć swojemu celowi. Akta podzielone są na tzw. zespoły, np.: akta miasta Legnicy, akta miasta Jawora, Lubina, Kościoła Mariackiego itd. Do 1945 roku zespołów owych było 63, obecnie jest ich 195. Zespoły dzielą się na „jednostki”, czyli akta zsyte w jedną całość tematycznie lub chronologicznie oraz na oddzielne dokumenty. W 1975 roku zasoby archiwum sięgały 1061,55 metrów bieżących, obecnie natomiast 1110 metrów, czyli ponad kilometr! Tak metrów bieżących mierzonych grubością grzbietów ksiąg na półkach.

Zasoby rosną. Po reorganizacji administracji trafiło do archiwum kilkadziesiąt mb. akt kategorii A, a przecież organa administracji są tylko jednymi z 90 instytucji objętych nadzorem archiwalnym, zobowiązanymi do przekazywania po dziesięciu latach dokumentów owej kategorii. Cóż to są za dokumenty? Akta o znaczeniu historycznym, odzwierciedlające życie społeczne, kulturalne i gospodarcze miasta i regionu. Trafiają więc na archiwalne półki dokumenty wydawane przez władze różnych szczebli, większe zakłady pracy.

Trzyosobowa obsada archiwum z biedą radzi sobie z nawałem pracy, zwłaszcza w ostatnim czasie. Trzeba się spieszyć, bo czas i grzybki nieubłagane pożerają dokumenty. A jest to robota niezwykle żmudna i wymagająca dużej fachowości. Panie archiwistki: Kazimiera Jagielnicka (piętnaście lat pracy w archiwum), Adela Grubecka i Barbara Pazola (kierownik) gromadzą zbiory (70 mb. w 1976 roku), wizytują archiwa instytucji będących pod nadzorem, opracowują zasoby, przygotowują przewodniki, katalogi i informatory, uzupełniają ewidencję, przygotowują wystawy i odczyty, konserwują materiały archiwalne, w końcu — udostępniają badaczom. W sumie robią wszystko, by dokument znalazł w archiwum swoje miejsce, został należycie przygotowany do wiekowego trwania na półce i aby był użyteczny.

Najwięcej czasu pochłania opracowywanie zbiorów. Należy wówczas przejrzeć stronę po stronie — odłożyć zbędną, oczyścić z grzybków, uzupełnić ubytki bibułka japońską, oprawić, opisać w księgach inwentarzowych lub na kartach, ułożyć na półce, z regularnością jednego kwartału odkurzać i doglądać czy wszystko przebiega jak trzeba. W chwilach wolnych, a takich jest niewiele, archiwistki opracowują tzw. kwerendy, czyli wypisy z dokumentów, o które zwracają się instytucje, placówki naukowe oraz... niemieccy arystokraci uzupełniający lub budujący swoje drzewa genealogiczne, oczywiście płacąc za to dewizami.

NASI przodkowie przekładali do dokumentów pisanych dużą wagę. Gdyby nie to, nie mielibyśmy dziś tak cennych źródeł historycznych. My się od przodków nie różnimy. Bo jest w tym najgłębsze ludzkie pragnienie i dążenie, aby pozostawić potomnym prawdę o sobie.



Książę legnicki Henryk V sprzedaje miastu pastwiska między Rzeszotarami a Piątnicą w 1281 roku. Fot. Stanisław Celoch

M

ETALURGIA od wieków była łączona z ogniem. Boski kowal, Hefajstos, miał swoją pracownię we wnętrzu Etny. Kulturę materialną dawnych społeczeństw bada się dziś, odgrzebuując z ziemi resztki pieców do wypalania rud. W Polsce zwały się one dymarkami, a ich ślady można zobaczyć na własne oczy w Górach Świętokrzyskich. A więc ogień i metal, czyli pirometalurgia.

Przeszła ona przez wieki długą drogę, doskonaląc się i wzbogacając ludzką wiedzę o naturze materii nieożywionej. Pirometalurgii żelaza, jako najprostszej i najtańszej metodzie otrzymywania tego podstawowego pierwiastka, przez długie jeszcze lata nie grozi żaden rewolucyjny przewrót. Ale czy tak jest w przypadku innych metali?

Sprawa jest niezwykle skomplikowana i nikt na świecie, jak podejrzewam, nie jest w stanie dać na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi. Jest faktem stwierdzonym dość dawno, że metalurgia ogniowa nie jest jedynym sposobem ekstrakcji metali z rud. Jakże więc są te inne sposoby?

Przede wszystkim metody chemiczne, których teoretycznie znamy sporo, zaś największe szanse zastosowań w szerokiej skali ma jedna z jej odmian — hydrometalurgia. Właśnie w tym dziwnym na pozór połączeniu — wody i metalu, wielu znawców przedmiotu pokłada niemałe nadzieje na przeobrażenie klasycznej metalurgii. Na czym więc cała sprawa polega?

Koncentrat, czyli sproszkowaną i wzbogaconą rudę metali poddaje się ługowaniu. Jest to pierwszy i podstawowy etap wszelkich procesów hydrometalurgicznych, którego istota zasadza się na rozpuszczaniu metalu z rudy w roztwór wodny. Substancjami stosowanymi do ługowania rud czy koncentratów są różne kwasy nieorganiczne, kwaśne roztwory soli, sole zasadowe, alkalia i wiele innych. Czysta woda jest stosowana dość rzadko, jako że większość związków metali jest w niej trudno rozpuszczalna. Tak więc nie należy zbyt dosłownie tłumaczyć terminu — hydrometalurgia.

Rozpuszczalnik winien spełniać określone wymogi i jest rzeczą oczywistą, iż będąc się one różnić w poszczególnych przypadkach metali. Musi więc być selektywny, czyli powinien przeprowadzać do roztworu konkretną grupę metali, posiadać zdolność szybkiego rozpuszczania w możliwie niskich temperaturach, zapewniać uzyskiwanie wysokich koncentracji metalu w roztworze, dawać się łatwo regenerować, rozpuszczać w wodzie, być nietoksycznym, niepalnym, nie korodującym aparatury i trwałym. Lista, jak widać, dość obszerna.

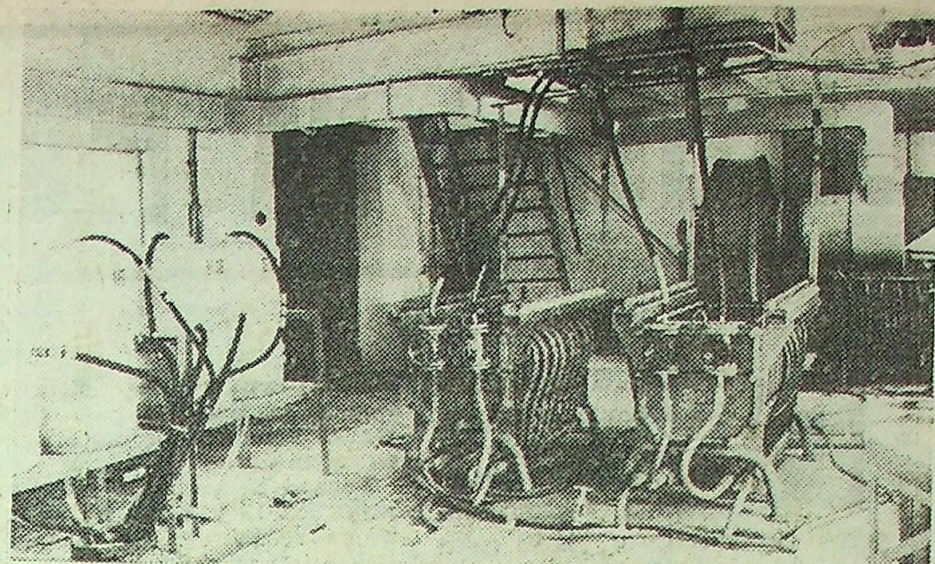
Co należy zrobić dalej, by z roztworu wydzielić czysty, czy prawie czysty metal? Jako że miedź jest obiektem szczególnego zainteresowania hydrometalurgii, posłużmy się jej przykładem.

Metodą najpowszechniej stosowaną jest poddanie roztworu procesowi elektrolizy. Miedź wydzielą się wówczas na katodzie. Istnieją w świecie instalacje tego typu pracujące w skali półprzemysłowej czy pilotowej. Za najdojrzalszy technologicznie uznaje się sposób opracowany w amerykańskiej firmie Anaconda Co., znany pod nazwą procesu Arbitera. Charakteryzuje się on wysokim stopniem odzysku miedzi — powyżej 97 procent, zaś z produktu odpadowego — siarczanu amonu, otrzymuje się gips i amoniak. Konkurencyjnymi dla Anacondy metodami są procesy opracowane w fir-

mach — Cyprus Metallurgical Processes Corp., Duval Corp., Treadwell Engineering Corp. Prace nad przemysłowym wdrażaniem tych metod są również bardzo zaawansowane w ZSRR.

Sposobem drugim jest cementacja. Znana była ponoć sławnym alchemikom — Paracelsusowi i Agricoli. W XIX wieku otrzymywano miedź przez cementację w Hiszpanii, Irlandii, Anglii i na Węgrzech. a w chwili obecnej metodą tą wytrąca się około 100 tys. ton miedzi rocznie. Co jest istotą cementacji?

Roztwór miedzi wylugowany np. kwasem siarkowym poddaje się działaniu żelazem. Efektem tej reakcji jest wydzielenie się czystej miedzi,



Aparatura pilotująca do elektrolitycznego wydzielania miedzi i regeneracji czynnika ługującego, zainstalowana w Zakładach Doświadczalnych HYDROMECH w Kowarach.

Stanisław Tomys

a trudnością nie do przezwyciężenia przy obecnym stanie technologii, jest zapewnienie temu procesowi ciągłości. Załatwienie tej sprawy przyniosłoby 5-krotne obniżenie kosztów otrzymywania miedzi w porównaniu z elektrolizą.

Metody hydrometalurgiczne doznały olbrzymiego przyspieszenia po II wojnie światowej. Głównym powo-

własną, oryginalną metodą hydrometalurgiczną.

Po wielu latach, w roku 1960, wrócono do z lekka przykurzonej sprawy. Pionierem restauracji hydrometalurgii w Polsce był nieżyjący dziś doc. Jan Niemiec, zaś inicjatorem i gorącym zwolennikiem podjęcia na nowo prac w tej dziedzinie — obecny prezes PAN, prof. dr Włodzimierz Trzebiatowski. W pierwszych latach badania dotyczyły przede wszystkim problemów podstawowych, gromadzenia odpowiedniej aparatury i szkolenia naukowców w nowej dziedzinie. Odbywało się to wszystko na Politechnice Wrocławskiej w Instytucie Chemii Nieorganicznej i Pierwiastków Ziemi Rzadkich.

W roku 1972 zainteresowania naukowców zwróciły się w stronę lubińskiej miedzi. Rozpoczęto, wraz z Instytutem Metali Nieżelaznych w Gliwicach, prace nad hydrometalurgicznymi metodami otrzymywania miedzi z koncentratów.

Wyniki przyszły dość szybko i były na tyle rękujące, iż sprawą zainteresował się KGHM udzielając przedsięwzięciu swojego błogosławieństwa i pomocy finansowej. Metoda opracowana przez polskich naukowców wyróżnia się na korzyść w porównaniu z zagranicznymi. Proces końcowy odbywa się w elektrolizerach przedzielonych na przemian na przestrzenie katodowe i anodowe. Na katodach wydzielą się czysta miedź (99,95 Cu) zaś w przegrodach anodowych regeneruje się rozpuszczalnik, który w tej sytuacji używany jest wielokrotnie zapewniając procesowi ciągłość i zamkniętą cyrkulację. Właśnie owo zamknięcie procesów jest wielką szansą dla hydrometalurgii. Nie zanieczyszcza ono bowiem zupełnie środowiska, a wiadomo, że nawet w najdoskonalszych metodach ogniowych jest to nie do uniknięcia. Polska technologia została opatentowana w wielu krajach.

Problemem wielkiej wagi jest aparatura. Badania nad nią prowadzi Instytut Inżynierii Chemicznej i Urządzeń Ciepłych Politechniki Wrocławskiej, zaś próby półtechniczne dokonywane są w Zakładzie Doświadczalnym HYDROMECH w Kowarach. Projekty przewidują budowę zakładu pilotowego. Za trzy lata powinna ruszyć produkcja w wysokości 1200 ton rocznie.

H

YDROMETALURGIA jak wszystko co nowe, ma swoich przeciwników i zwolenników. Powinniśmy wszakże zdawać sobie sprawę z rzeczy podstawowej. Polska jest w tej chwili siódmym producentem miedzi na świecie, a pragnie zająć jeszcze wyżej. Będąc mocarstwem miedziowym, nie może sobie pozwolić na odstąpienie od nowoczesnych trendów technologicznych.

TECHNOLOGIA 2000

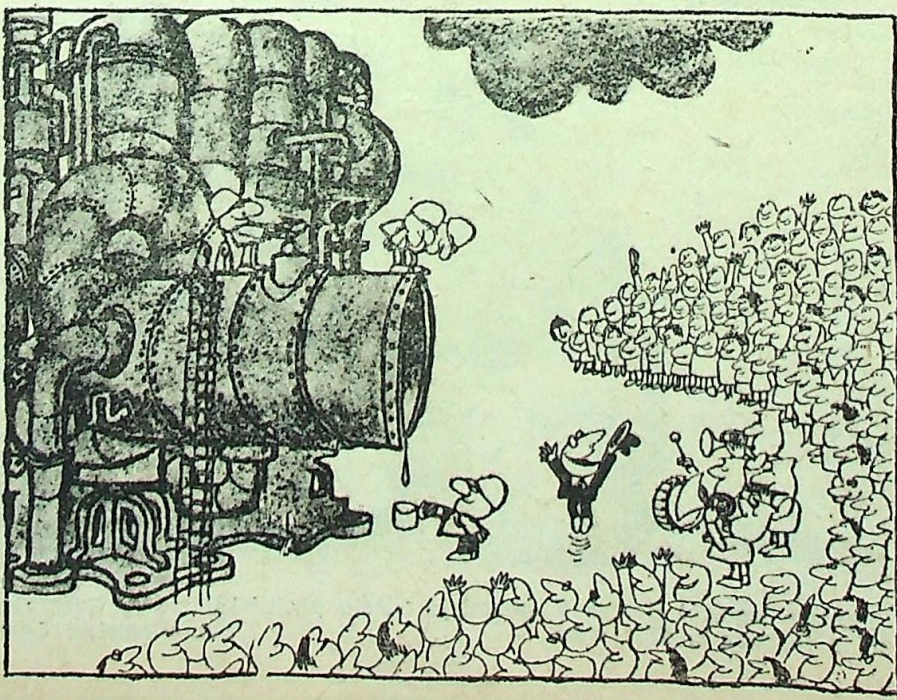
ANDRZEJ ŁAPIENSKI

żelazo zaś wchodzi w związek z tlenkiem siarki tworząc siarczan żelazowy. Jest to metoda niezwykle cicha, jako że żelazo używane do niej jest dość pośledniego, odpadowego gatunku. Może być to złom, proszek, wióry z dużymi zanieczyszczeniami. Dalej — stosuje się ją w przypadkach złóż bardzo ubogich lub nawet na hałdach, tam właśnie bezpośrednio pod ziemią przeprowadzając ługowanie, potem dopiero przepompowując roztwór do cementatorów. W technologii tej celuje amerykańska firma Kennecot Cooper CO.

Wreszcie metoda trzecia — redukcja wylugowanego koncentratu wodorem w autoklawach, czyli w hermetycznych naczyniach, pod ciśnieniem kilkudziesięciu atmosfer i w temperaturze do 200°C. Otrzymuje się wtedy w ciągu dosłownie kilkunastu minut miedź niezwyklej czystości i w postaci proszku. Proszek zaś jest dwukrotnie droższy od miedzi skalanej... Niestety, metoda ta — jak dotąd — nie wyszła ze stadium prób,

dem, dla których tak się stało, był rozwój badań atomowych. Okazało się wtedy, że pierwiastki przydatne dla tych celów są trudno dostępne i trudno osiągalne przy pomocy metod ogniowych. Właściwości chemiczne i fizyczne uranu, toru, plutonu, boru czy berylu nie pozwalały na stosowanie dla ich uzyskania metalurgii cieplnej. Opracowane procesy hydrometalurgiczne dla tych pierwiastków rozszerzono niebawem na inne metale, przede wszystkim z grupy nieżelaznych — miedź, aluminium, cynk, ołów, magnez, nikiel i wiele innych. Ale cała sprawa zaozęła się jeszcze wcześniej.

W roku 1892 Bayer (ten od aspiryny) opracował metody otrzymywania aluminium poprzez ługowanie boksytów wodorotlenkiem sodowym. Zakład pracujący tą metodą powstał w roku 1912 w Niemczech. Również Polacy mają swój udział w rozwoju hydrometalurgii. W roku 1929 powstał w naszym kraju niewielki zakład przemysłowy, w którym otrzymywano cynk



O UBOŻACH I DUCHACH KUŹNICZYCH

ANDRZEJ ŁAPIEŃSKI

Pierwszą pisaną wzmiankę o folklorze śląskim zapisano w roku 1612. Jej autorem był Słazak, Walenty Rożdżeński, a rzecz nazywała się „Officina Ferraria albo huty warsztat z Kuźniami szlachetnego dzieła żelaznego”. Imię Rożdżeński zawarł w swym dziele barwne obrazy legendarnych kuźników, gwarków, wiele wątków podań hutniczych i górniczych opowiadanych przez lud.

Ale z przekazów czysto historycznych wiemy, iż gwarectwo na ziemiach polskich było znacznie wcześniejsze. Co prawda nie były to kopalnie węgla — wydobywano przede wszystkim sól, lecz właśnie owe żupy stanowiły jedno z najważniejszych źródeł dochodów skarbu królewskiego w Rzeczypospolitej. O żupach solnych krakowskich (Wieliczka i Bochnia) oraz ruskich (Przemyśl, Drohobycz, Dolina) wiadomo, iż istniały już w XIV wieku. Były to przedsiębiorstwa o dość specyficznej organizacji, na polu feudalnej, na polu... spółdzielczej, bowiem na samym początku górnicy łączyli się w kooperatywy eksploatujące kopalnię, zaś dopiero z czasem przekształciły się one w związki przedsiębiorców (król, mieszczanie, magnaci). Na czele tych przedsiębiorstw stali żupnicy — krakowski i ruski, będąc mianowanymi przez króla urzędnikami o bardzo szerokich prerogatywach. Pełnili oni w stosunku do górników funkcje administracyjne, skarbowe i sadowe, ale nawet od ich orzeczeń przysługiwało prawo apelacji do sadu rady miasta górniczego (np. Olkusza). Gwarectwa organizacyjnie były zbliżone do cechów, posiadały własny samorząd, prawa, kasę, wzajemnej pomocy Ranga tej profesji stała bardzo wysoko, istniały różne specjalizacje — kopacz, karbarz, hutman, rotny Kopalnia np. w Wieliczce zatrudniała na początku XVI wieku ponad tysiąc górników i co ciekawe, już wtedy, podobnie jak dziś, istniały związki nauki z przemysłem — pensje dla profesorów Akademii Krakowskiej wypłacano z dochodów od żup solnych.

Jak pracowano w średniowiecznej kopalni soli? W czasach najdawniejszych stosowano sposób zwany skrobaniem lub fartuszkowym. Polegał on na zeskrobanie soli z calizny do fartucha przy pomocy odpowiedniego żelaznego narzędzia. Dalej — sól zsypywano do beczek, sporządzanych na miejscu przez bednarzy beczka zaś miała tę znakomitą zaletę, iż przy braku urządzeń transportowych dawała się przetrzącać aż pod szyb wydobywczy.

Doskonalszą metodą był sposób ręcznie łamany, zwany także zbijanym. Polegał on na ramowaniu przy pomocy kilofa prostokątnej powierzchni ściany, a następnie odieraniu bryły przy użyciu stalowych klinów. Uzyskany w ten sposób blok solny (wagi około 400 kg) nazywano kłopcem. Obra-

biano go na kształt beczki (transport!), lub dzielono na kruchy — dwudziestokilogramowe kawałki.

O czym prawili górnicy po szybie nie bardzo dziś wiadomo. Może o Kindze, córce króla węgierskiego, a żonie Bolesława Wstydlivego, któremu cudownym sposobem wniosła wiano — owę sól saliny w Bochni i Wieliczce — wrzucając w otwór ziemi pierścień, może o utopcu lub Skarbniku? Zdani jesteśmy na domyśle, jako że górnictwo na ziemiach polskich poczynając od końca XVI wieku chyli się ku upadkowi, by zniknąć prawie całkowicie w wieku XVII.

Jego odrodzenie nastąpi w 200 lat później, na Śląsku. Inne to czasy, inne warunki. I nie chodziło o sól, tylko o czarny skarb wnętrza ziemi — węgiel. Znikają manufaktury, powstaje przemysł hutnictwa. Lud był tu polski, warstwy oświecone — niemieckie lub zgermanizowane.

Taki stan rzeczy miał swoje oczywiste konsekwencje — proces wynaradawiania, niewielka ilość zapisów dotyczących folkloru robotniczego na Śląsku, niemal całkowity brak zainteresowania tą sprawą, nawet w czasach Romantyzmu. Później dopiero, dzięki nieustraszonemu Józefowi Lompie Kolbergowi, Malinowskiemu, Nitschowi okazało się, jak wielka skarbnica polskiej sztuki ludowej jest obszar zamieszkały przez pracujących ludzi węgla i żelaza.

Wspomniany na początku Rożdżeński opowiada o „skarbnikach ziemnych”, zwłaszcza o jednym — Szarleju, który za despekt ze strony ludzi zemścił się, zalewając kopalnię bytomską. A już wyjątkowo urokliwa opowieść jest historyka o „ubożach albo duchach kuźniczych” pomagających ludziom, lecz jedynie do chwili gdy ci, chcąc się odwzajemnić, obdarzają ich odzieniem. Śląsk zna wiele podań. Naibardziej chybła znanym jest opowieść o Skarbniku. Wśród wielu wersji jedna jest szczególnie ciekawa, a to ze względu na łączenie tej postaci ze świętą Barbarą, patronką górników. Pochodzi ono z Piekar Śląskich.

Skarbnik był niegdyś złym, wyzyskującym górników, a przy tym, oczywiście, bogatym właścicielem kopalni. Jego dobra współczuliśmy córka Barbara. Barbórka zakochała się w biednym górniku i postanowiła wraz z nim uciec. Ojciec puścił się za młodymi w poгон i dopadłszy ich przebił Barbórka mieczem. Wtedy rozwarło się niebo i rozległ się głos: „Za swoje zbrodnie Skarbniku, będziesz pokutował pod ziemią i przestrzegaj górników przed niebezpieczeństwami!”. Tak się też stało. Odtąd Skarbnik mieszka w kopalni, ostrzega przed nieszczęściami i pilnuje skarbow, które zostały przeniesione z jego zamku i zamknięte w węgiel. Zaś Barbórka została patronką górników.

Wierzmy, że Czytelnicy przyjmą w horoskop z przymrużeniem oka, a losów swoich nie powierzą gwiazdom...

BARAN 21.III.—20.IV.



Ostatni tydzień roku nie przyniesie żadnych wydarzeń. Postaraj się wycofać wnioski z sytuacji domowych, które nie tak dawno miały miejsce. W przyszłym roku będziesz miał okazję dokonać dwu ważnych przedsięwzięć, jeśli będziesz czujny i wytrwały. W połowie roku nieoczekiwana oferta, którą po konsultacji, powinieneś przyjąć. Sierpień zapowiada się niezwykle atrakcyjnie, ale nie będzie to wcale „wyszczałowy” urlop. W listopadzie — chwila smutku, refleksji i niepewności.

BYK 21.IV.—20.V.



Dla Byków — posiadaczy samochodów — nastąpią wkrótce dni pełne kłopotów i rozterek. Na początku roku będziesz przypływał obserwacjom wydarzeń, które w różnych aspektach będzie ci się przypominało przez kilka miesięcy. Znajomość zawarta w marcu zadecyduje o życiowych planach. To będzie udane, pełne wrażeń. Druga połowa roku przyniesie ci wiele satysfakcji z powodów zaskakujących przebiegów. Wstrząsają cię „układów” i ambicjonalnych rozgrywek.

BLIŹNIĘTA 21.V.—21.VI.



Ktoś próbuje podważyć twój autorytet. W najbliższych dniach nastąpi konfrontacja, twoje racje zwyciężą. Od przebiegłości innowacji zacznie się nowy rok. W domu kilka niespodzianek, które wpłyną cię w zakłopotanie. Nie bądź zbyt natarczywym w marcu w dochodzeniu „prawdy” bo nikt cię nie będzie próbował wprowadzić w błąd. Na początku lata imwizacja, która całkowicie zmieni tryb życia twojej rodziny. W październiku poważne nieporozumienia w gronie przyjaciół.

GWIAZDY MÓWIĄ O ROKU 1977...

RAK 22.VI.—22.VII.



Teraz będziesz miał okazję nieco odpocząć. Ktoś zaproponuje ci atrakcyjny wyjazd. Skorzystaj! W styczniu rewelacyjna wiadomość, która sprawi, że do jesieni będziesz zajęty sprawami, o których dotąd nie marzyłeś nawet. Bądź jednak ostrożny, bo twoje wyjątkowe powodzenie sprawi lawinowy wzrost liczby przyjaciół i dobrych znajomych. Selekcje prowadź z wyjątkowym wyważeniem — we własnym interesie — bo w takiej ciżbie szybko stracisz to, co szczęśliwie zyskałeś.

LEW 23.VII.—22.VIII.



Więcej odwagi w podejmowaniu decyzji. Za parę dni będzie ci temu szczególna okazja. W nowym roku wkraczysz z optymizmem, ale wkrótce będziesz miał trudny orzech do zgryzienia. Od tego jak się zachowasz, będzie zależało, czy otoczenie zachowa szacunek dla ciebie czy... W niedalekiej perspektywie doczekasz się pożądanego ocen możliwości nawet szczegółów, odczyt różnic. Urlop powinieneś zaplanować w gronie najbliższych. W grudniu da ci o sobie znać zapomniany Skorpion.

PANNA 23.VIII.—22.IX.



Nadchodzący tydzień będzie spokojny i pogodny. Półko pod jego koniec nastąpi trochę rozgardiaszu. Rok rozpocznieś pomyślnie. Bądź nadal optymistą. Już wczesna wiosna spotka cię trochę niepowodzeń, ale dasz sobie radę. Zanoś się na powiększenie rodziny. Pod koniec roku przeżyjesz rozterkę, będziesz żałował wcześniejszych decyzji. Sprawy, w większości, wyjaśnią się jednak i w listopadzie będzie najlepsza pora na nieco ryzykowne, ale intratne decyzje.

WAGA 23.IX.—22.X.



Rzeczywiście, można się zniechęcić do wszystkiego, jeśli tyle spraw zostaje doświadczone na ostatnią chwilę. Do zerwania z tym niedobrym zwyczajem musi cię ktoś z letniej konstelacji, stawiając zdecydowany warunek. Odmieniny trybu życia będzie ci początkowo ciężko, ale wkrótce odczujesz wielokrotnie korzystniejsze z systematycznością. Uważaj na swoje zdrowie! Nadchodzący rok będzie bardzo namiętny dla serca. Wagi — winno będą miały wyjątkowo dużo adoratorów.

SKORPION 23.X.—21.XI.



Do wyjaśnienia, natychmiast pozostała jeszcze jedna sprawa. Uważasz ją za wstydliwą, ale taką nie jest. Najbliższą domyslać się o co chodzi, miej odwagę. Jeśli załatwisz to szybko, już w lutym odczujesz korzyści płynące ze szczerości. Urlop planuj pod koniec lata, lub wczesną jesienią. Zdecyduj się na wynechunek w szarości. W grudniu jakaś wielka radość. W ciągu nadchodzącego roku osiągniesz pełną stabilizację rodzinną.

STRZELEC 22.XI.—21.XII.



Zdenerwowanie w niczym nie poprawi twojej sytuacji. Ten trudny okres przebiega po prostu przeczekaj. Zaraz na początku nowego roku Waga zmusi cię do zrewidowania swoich postaw. Będziesz musiał wytłumaczyć niektóre swoje decyzje. Jeśli zdecydujesz się na otwartą rozmowę, twoje motywy zostaną docenione. Więcej czasu poświęć domowi. Narosła zaletność najbliżsi czekają na twoją radę i pomoc. W ostatnim kwartale roku spodziewaj się szczęśliwego uśmiechu i su.

WODNIK 21.I.—20.II.



Ktoś zwróci się do ciebie, lada dzień z prośbą o pomoc. Nie odmawij. Dobrze zrobisz. Jeśli w ostatnich dniach grudnia zdecydujesz się na szczerą rozmowę ze Strzelcem, Pragnie tej brak mu tylko odwagi. Przypieś ty to kilka miesięcy podjęte decyzje, życiowych decyzji przez Strzelca, a będzie to dla niego bardzo istotne. Nie dawaj się namówić na długą wycieczkę na wiosnę. W listopadzie rozsypie się worek ze splendorami.

RYBY 21.II.—20.III.

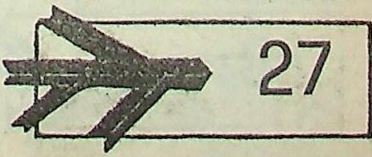


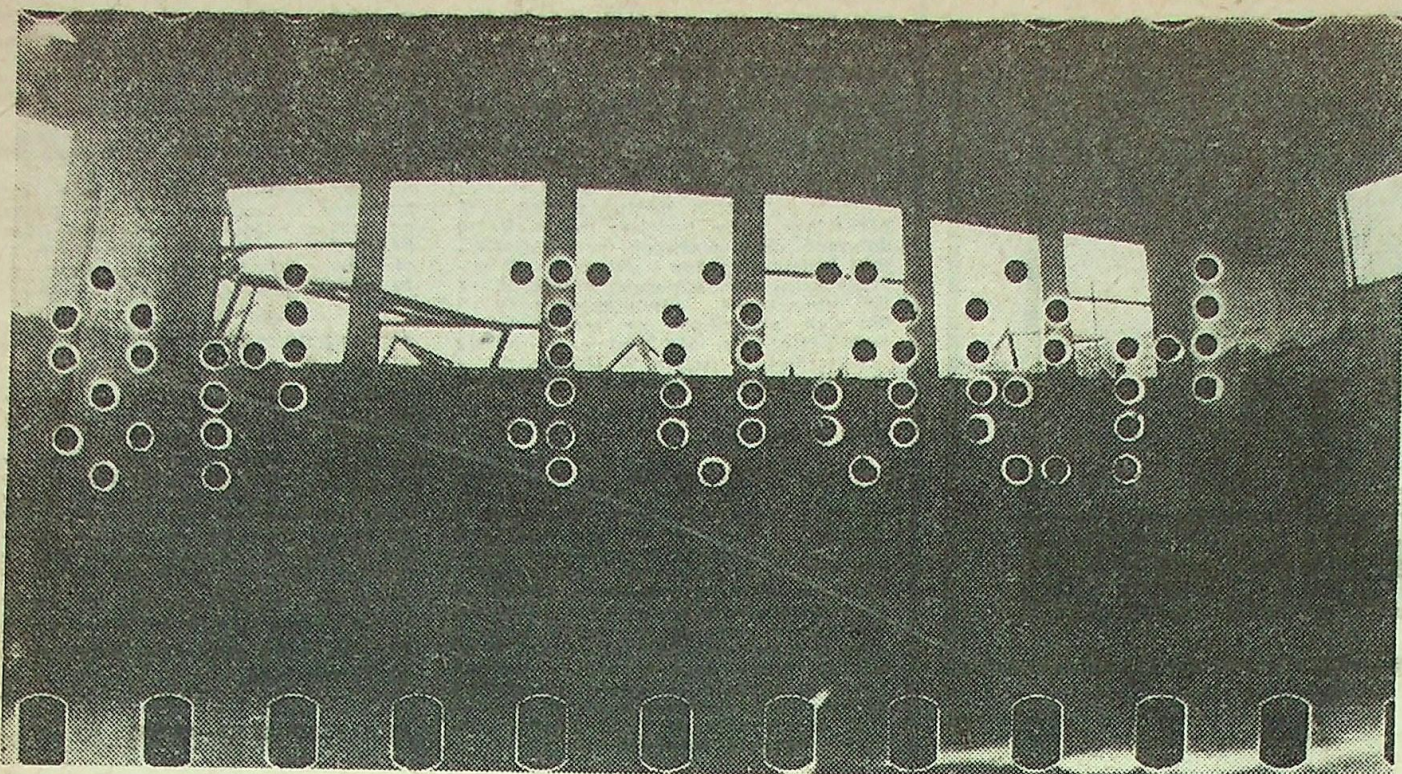
Nie przejmaj się zwiększonymi wydatkami. Ubytki w budżecie uzupełnisz już w lutym i wtedy pomysł o podjęciu interesującego tematu. Da on efektu pod koniec sierpnia. Dopiero wówczas pomysł o odpoczynku. Jesienią miła niespodzianka sprawi ci Panna. Druga połowa roku — bardzo pomyślna. Szczególnie listopad i grudzień zapowiadają się atrakcyjnie. Bierz pod uwagę możliwość krótkiego pobytu za granicą.

BARAN 21.III.—20.IV.



Sens przemysłowych sierpienowych decyzji odczujesz lada dzień, co ci zapewni dobry humor, w ostatnich dniach roku. W lutym spotka cię przykrość ze strony poznanej ostatnio osoby, którą zaliczyłeś do grona dobrych przyjaciół. W domu drobne nieporozumienia. Zmień miejsce urlopowego wypoczynku. Mniej będzie wówczas narzekać na uciążliwość. Musisz się zdecydować na podjęcie kwalifikacji, bo jesienią możesz się znaleźć w kłopotliwej sytuacji.





Fot. Krzysztof Raczkowiak

NIEUDANY MANEWR SZPIEGA

Opracował: JAN WORKOWSKI

KILKA lat temu służba wywiadu wojskowego NATO otrzymała sygnał, że w jednym z podwarszawskich zakładów chemicznych grupa polskich inżynierów prowadzi prace badawcze nad nowym rodzajem masy termoplastycznej, która może znaleźć zastosowanie w różnych dziedzinach gospodarki narodowej i w wojsku. Wynalazek ten nie był znany na Zachodzie. Dopóki produkt finalny nie był opatentowany, eksperymenty prowadzone w zakładzie objęte były tajemnicą...

W tym czasie młoda warszawska plastyczka przebywała na biennale w Wenecji. Jej brat, Bogdan Zagórski, chemik, był jednym z twórców wynalazku. Podczas pobytu Małgorzaty we Włoszech, pracował w podwarszawskim zakładzie i przygotowywał pracę habilitacyjną. Wynalazek i dysertacja pochłaniały go bez reszty. W domu był prawie gościem.

NATO-owski wywiad wojskowy postanowił wykorzystać pobyt siostry inżyniera Zagórskiego za granicą i „podstawić” jej swojego agenta, który w Brukseli otrzymał zadanie wykradzenia technicznej dokumentacji polskiego wynalazku.

Wyczerpujący udział w wystawie i szalony pośpiech podczas zwiedzania zabytków Rzymu i Wenecji trochę zmęczyły młodą malarzkę. Toteż gdy znalazła się w pustym przedziale pociągu pędzącego do kraju z wielką ulgą odetchnęła, że wreszcie odpocznie. Tymczasem w drzwiach stanął przystojny mężczyzna... W kwadrans później „przypadkowi” pasażerowie wagonu pierwszej klasy już znali swoje nazwiska. On przedstawił się jako Robert Kellermann, przedstawiciel Cooperation Chimique Internationale w Brukseli.

Trzydziestopięcioletni Robert Kellermann znał dobrze język niemiecki, francuski i niezły polski. Z wykształcenia był chemikiem, ale w CCI pracował jako ekonomista. W Warszawie zamieszkał w hotelu „Forum”. Brukselska firma zarezerwowała mu apartament składający się z sypialni, części wypoczynkowej i tzw. studia czyli gabinetu, w którym zorganizował biuro.

Oczywiście, jak przystało na handlowca, swoją działalność rozpoczął w stolicy od nawiązania kontaktów handlowych z „Chemexem”. W rozmowie z dyrektorem tej centrali Kellermann zaferował Polsce urządzenia i wyposażenie do polskich laboratoriów chemicznych i technologie w zamian za półfabrykaty i niektóre polskie wyroby gotowe. Przedstawiciela Cooperation Chimique Internationale żywo interesowały także termoodporne odmiany żywicy epoksydowych oraz zakłady je produkujące.

Tymczasem polski kontrwywiad wojskowy wiedząc o tym, że za granicę dotarł sygnał o polskim wynalazku — jeszcze na długo przed przyjazdem do Polski Roberta Kellermanna — przedsięwziął odpowiednie kroki, które jednocześnie zabezpieczyły zakład i grupę inżynierów przed penetracją obcego wywiadu. Inaczej mówiąc polski kontrwywiad cierpliwie czekał aż przysłany z Zachodu szpieg sam wpadnie w zastawione na niego siatki...

Robert Kellermann za zgodą Ministerstwa Przemysłu Chemicznego zwiedza zakłady chemiczne w Krakowie, Oświęcimiu i w Płocku. W podwawelskim grodzie doprowadza do zawarcia kontraktu z angielską firmą „Flexible” reprezentowaną przez CCI na dostawę urządzeń dla zakładu w Krakowie. W płockiej petrochemii zamawia partię ozdobnych listew do samochodów, drobne akcesoria i elementy armatury sanitarnej w zamian za wzory matryc i gotowe matryce.

W podróży do Płocka Kellermannowi towarzyszyła Małgorzata. Sprytny i uwodzicielski cudzoziemiec oczarował ją zupełnie. Spotykali się prawie codziennie w mieście lub w jej pracowni. Niebawem Kellermann dysponował już kluczem do pracowni Małgorzaty. Miał prawo wejścia o każdej porze.

Pewnego dnia Robert mimochodem przypomniał Małgorzacie, że mówiła, iż jej brat jest chemikiem. W luźnej rozmowie dziewczyna opowiedziała,

że brat dopracowuje swój kolejny wynalazek i że jest to coś bardzo ważnego. Tym wynalazkiem interesują się wszyscy — i to na najwyższym szczeblu — dodała z dumą. Z tych wynurzeń agent wywiadu bez trudu zdołał dowiedzieć się, iż inżynier Bogdan Zagórski pracuje niezwykle intensywnie w zakładzie i w domu i że swoje tajne papiery chowa w specjalnej skrytce znajdującej się w antycznych meblach.

Jeszcze tego dnia Robert Kellermann z hotelu „Forum” nadał do CCI telex, w którym zawiadomił firmę, iż „widzi już pewne możliwości zebrania zamówień”. Był to oczywiście szyfr, który oznaczał, że agent znajduje się na dobrej drodze do wykradzenia tajemnic wynalazku.

Bliskie stosunki z Małgorzatą oraz dość żywe zainteresowanie technologią żywicy epoksydowych spowodowały, że polski kontrwywiad wojskowy doszedł do wniosku, iż Robert Kellermann może być właśnie tą osobą, która została przystana przez zachodnie służby wywiadowcze. Tę hipotezę postanowiono jak najszybciej sprawdzić. „Handlowiec” zostaje poddany inwigilacji.

Tymczasem Robert Kellermann zostaje wezwany na odprawę przedstawicieli firmy CCI w Wiedniu. Przyjeżdża tu także Paolo Vettini z Budapesztu, z którym zgodnie z zaleceniem swoich przełożonych w Brukseli miał pozostawać w kontakcie i uzgadniać trudności wyłaniające się podczas realizowania zadania wywiadowczego w Warszawie. W austriackiej stolicy zaakceptowano dotychczasową działalność Kellermanna oraz wszystkie jego najbliższe plany i zamierzenia w Polsce.

Z Wiednia wraca do Warszawy samolotem i jeszcze tego samego dnia telefonuje do Małgorzaty. Umawiają się na spotkanie wieczorem — w domu Małgorzaty. Przed wyjściem z hotelu „Forum”, Robert dokładnie zamyka się w swoim apartamencie. Z kieszeni marynarki wyjmując pudełko zapalek i zwykłą plastelinę. Lepi z niej kulkę, potem nadaje jej kształt prostopadłościanu. Z pudełka wysypuje zapalki w dłuższym boku pudełeczka wycina szczyty dwoma półokrągłymi wycięciami, które równo wypełnia plasteliną, wygląda ją, wkłada zapalki, wsuwa szufladę i chowa pudełko do kieszeni.

Kilka minut przed umówioną godziną jest już u Zagórskich, którzy mieszkają w piętrowym domku jednorodzinym. Drzwi otworzył mu Bogdan Zagórski.

Gospodarz przeprosił Kellermanna, że Małgorzata trochę się spóźni i zaprosił gościa do swojego gabinetu. Postawił przed nim kieliszek alkoholu, a sam wyszedł do kuchni. Robert został sam. Albo teraz, albo nigdy — pomyślał. Nie tracąc ani chwili rozejrzał się szybko po pokoju. W dębowym zalegającym dwie ściany regale na książki dostrzegł segment, w którym zamontowany był barek, a w drugim małe pomieszczenie w rodzaju skrytki. W zamkniętych drzwiach schowka tkwił mały klucz. Kiedy obejrzał już wszystko dokładnie poszedł do kuchni, gdzie Zagórski akurat przyrządzał kanapki. Powiedział że jest po dłuższej podróży i czuje się zmęczony, więc prosi o mocną kawę. Był to manewr, który przedłużał pobyt inżyniera w kuchni.

Kellermann spokojnie wrócił do pokoju. Otworzył kluczykiem skrytkę. W schowku leżała teczka z dokumentacją wynalazku. Szpieg wyjął kluczyk, odcisnął w plastelinie przód i dwie jego boczne strony, wytarł dobrze kluczyk chusteczką, włożył go w zamek i zamknął skrytkę. Za chwilę do gabinetu wszedł z zakąskami Bogdan, a wkrótce za nim Małgorzata. Wizyta przeciągnęła się do późnocy.

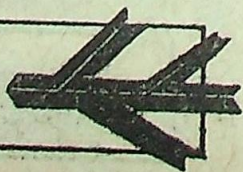
Nazajutrz agent wszedł do upatrzonego wcześniej prywatnego warsztatu ślusarskiego. Pod pretekstem, iż zdradza go żona i chciałby kontrolować jej skrytkę pocztową, poprosił ślusarza, aby z odcisniętego wzoru dorobił mu kluczyk.

Kilka dni później jakiś mężczyzna w średnim wieku podjechał w nocy taksówką pod willę Zagórskich. Wszędzie panowała cisza. Podeszedł pod wskazane okno i pchnął szybko uchylonego lufcika. W gabinecie inżyniera dorobionym kluczykiem otworzył skrytkę, wyjął z niej teczkę z aktami wynalazku i przy zastłoniętych oknach sfotografował tajne papiery. Gdy skończył już „pracę” i z ulgą odetchnął w gabinecie zapaliło się światło. Zza kotara wyskoczyło kilku mężczyzn z okrzykiem: ręce do góry! Włamywaczem okazał się Czesław Strzelczyk — mechanik samochodowy.

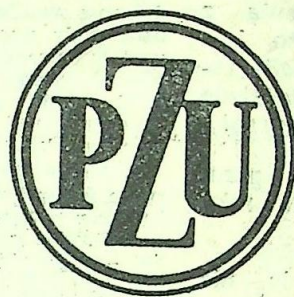
W śledztwie Strzelczyk zeznał, że do jego warsztatu przed zamknięciem firmy zgłosił się wysoki i elegancko ubrany mężczyzna wyglądający na zagranicznika, który zaproponował mu tę „robotę” za 10 tys. złotych. Propozycję przyjął, gdyż uchylone okno w willi i nieobecność domowników zapewniały bezpieczeństwo. Cudzoziemiec pokazał mu na planie narysowanym na papierze skrytkę, dał miniparatę fotograficzną, poczytał jak się z nim obchodzić i wyszedł z warsztatu. Kasety z filmami kazał zostawić w starej skrzynce na listy pewnego domu w Warszawie.

WKAMIENICY tej na parterze znajdowało się biuro adwokackie. Panował tu duży ruch. W pewnej chwili z któregoś pokoju zespołu wyszedł Robert Kellermann. Stanął przed listą lokatorów i dyskretnie rozejrzał się wokół siebie. Lekko oparł się o blaszaną skrzynkę na listy. Jeszcze raz sprawdził czy nikt go nie obserwuje i szybkim ruchem ręki wyjął ze skrzynki mały przedmiot. Schował go do kieszeni i wolnym krokiem skierował się do wyjścia. W drzwiach zagroził mu drogę mężczyzna. — Pan Kellermann? — jestem oficerem polskiego kontrwywiadu, jest pan zatrzymany...

Tak zakończyła się „działalność handlowa” agenta NATO-owskiej służby wywiadu wojskowego w Polsce.



KRZYŻÓWKA GIGANT



Aby rozwiązać krzyżówkę przygotowaną przez naszą redakcję i Oddział Wojewódzki PZU w Legnicy, należy wpisać do diagramu zamieszczone poniżej wyrazy. Literę z krótkich oznaczonych cyframi 1-24 dopasować kuponem prosimy nadsyłać do redakcji „Konkretów” w Lubinie do 10 stycznia 1977 r. Wśród poprawnych odpowiedzi rozlosujemy nagrody: namiot dwuosobowy, zegarek na rękę, sokowirówkę, piłkę nożną, pródż, żelazko z termostatem.

WYRAZY DO WPISANIA

16-LITEROWE: AGROKLIMATOLOGIA, NIEDOSŁOWNICTWO, PIERWSZOKLASISTA, PROSTOPADŁOSCIAN, PRZECIWUDERZENIE, PRZYRODOZNAWSTWO;

15-LITEROWE: AUTOSZCZEPIONKA, KARDIOCHIRURGIA, KOLEKCJO-NERSTWO, OKSYHEMOGLOBINA, POWIEŚCIOPISARZ;

14-LITEROWE: KRYMINALISTYKA, KWESTIONARIUSZ, PRZODOMOGOWIE, STOWARZYSZENIE;

13-LITEROWE: DEZINFORMACJA, KRAJOZNAWSTWO, MARNOTRAWSTWO, REAKCYONISTKA, STEREOBIEKTYW, TOPONOMASTYKA, TOLOTKOWICZ;

12-LITEROWE: ANALFABETYZM, KLASYFIKACJA, GASTROSKOPIA, MODERNIZACJA, NORMALIZACJA, ROZŁADOWANIE, ŚWIATŁOMIERZ, TULIPANOWIEC, UCZESTNICZKA;

11-LITEROWE: ANAFILAKSJA, ASFALTOGUMA, GALWANOMETR, HAZARDZISTA, KRASNOLUDEK, ROZRACHUNEK, SOKOWIRÓWKA, TECHNIKOLOR, TRAJKTANIE;

10-LITEROWE: ANTYBIOTYK, ASE-NIZACJA, BESTSELLER, KARBURA-TOR, KOMANDORIA, NARKOMANIA, OZNACZANIE, PIKANTERIA, STARO-DRZEWE, SZTANGISTA, TARNO-BRZEG, TOPOGRAFIA, ZWAPNIENIE;

9-LITEROWE: AGAMEMNON, GO-SPODARZ, KADMIARKA, KOMPRESOR, MAJERANEK, MIAŻDŻYCA, OKAZAŁOŚĆ, PABIANICE, PASAMO-NIK, RADIOGRAM;

8-LITEROWE: ABSTRAKT, ADORA-TOR, BATALION, BLACHARZ, CAL-DERON, IMMERSJA, INCYDENT, KAMPANIA, KARNAWAŁ, KAZUISTA,

LAJKONIK, OPOLANIE, PACHOLEK, PROGNOZA, REALISTA, REMANENT, SCHADZKA, SOBOWTÓR, SZPON-DER, WYROBNIK, ZNAŁAZCA, ZWIA-STUN;

7-LITEROWE: AGRONOM, AKU-SZER, ALERGIA, ALKIERZ, ANATE-MA, ANKWICZ, APANAZE, ARMA-TOR, ATELIER, AUTOKAR, DZIO-BAK, KOMFORT, KONESER, KRZYW-DA, KWIDZYN, LANSADA, LEONARD, MAGNANI, NAUTYKA, OSADNIK, PRZESAD, RÓŻNICA, SARKAZM, SKANSEN, SZATNIA, TATARKA, UCZNIĄK, WIKLINA, WROTYCZ, ZE-REMIE;

6-LITEROWE: ABAŻUR, BARŁÓG, BORNEO, CZEKAN, DZIAŁO, ERRA-TA, FLINTA, ILORAZ, ISTOTA, KOMPAN, KORYTO, KRAKUS, KWINTA, LUTNIA, ŁAZARZ, ŁUPIEŻ, MONA-KO, NABIAŁ, ODMIAR, OKRZYK, ORSZAK, PARKAN, REKORD, RYZY-KO, SAFARI, SALAMI, SOKORA, SZKOŁA, TANIEC, TOPSEL, TRAPEZ, WIADRO, WYSIEK, ZDANIE;

5-LITEROWE: ALARM, ALIBI, ATLAS, AWANS, BERYL, CAŁUS, CEKIN, DRAKA, DUKAT, EKRAN, INDRA, KANAŁ, KONIN, KORFU,

KRAKSA, KRZEW, KUTNO, METRO, MORZE, NAKŁO, NAUKA, NOSEK, OBJEG, OBRÓT, ODWAR, OLSZA, OPOLE, ORZEŁ, OSKAR, RABAT, RAJER, SALTO, SKŁAD, TANGO, TARŁO, TEMPO, TUSZA, TRACZ, UCISK, WIEKO, WYKAZ, ZAKAZ, ZGRYZ, ZASOB, ZGAGA;

4-LITEROWE: AIDA, AKNE, ATAK, AURA, AZOT, BOBR, BUTA, DERA, DRAB, DRUK, DYNA, ETYK, IGŁA, IKRA, IRAN, JUTA, LAIK, LATO, LITR, LOME, ŁOZA, ŁYKO, META, MIAŁ, MOST, NUDA, NUTA, ODRA, OKOP, OPIS, OWAD, OWOC, PLAC, PRUS, RDZA, RIAL, RUTA, SKUP, SMAR, STAŻ, TAKT, TALK, TACA, TEZA, TORS, UNIA, URNA, WALC, WŁOS, ZIMA;

3-LITEROWE: ASZ, ITR, LOA, TON.

OPRACOWANIE: ZOFIA FEDORCIO
I CZESŁAW PAŃCZUK



WIECZÓR Z SHERLOCKIEM

O NAJDZIWNIEJSZY przypadek, z jakim spotkałem się do tej pory... Zrobiłem zdziwioną minę, ale szeryf Jim Lande mówił dalej:

— Mam do czynienia z morderstwem. Wiem, kto jest mordercą, ale nie potrafię tego udowodnić. On właściwie nawet się do tego przyznał...

Kiedy chciałem mu prze-rwać, Lande machnął ręką zniecierpliwiony.

— Oczywiście, że nic nie powiedział. Jednak całe jego zachowanie mówiło mi wyraźnie: Holand Leory zamordował swoją żonę!

Jim Lande od trzydziestu lat był szeryfem w Remsley Ville. Jako doświadczony i zdolny policjant miał coś w rodzaju siódmego zmysłu — musiałem mu wierzyć.

— A oprócz tego zainkasował polisę ubezpieczeniową na życie swojej żony — całe 300 tysięcy dolarów... Oba! znamy wywódkę, kiedy ludzi wzywano na tamten świat przez znacznie mniejsze pieniądze... Ten facet ubezpieczył swoją żonę dopiero pięć miesięcy temu. Sam mi zresztą o tym powiedział.

— To mamy już motyw — wtrąciłem.

— Jego żona — Grace umarła cztery dni temu. Lekarz sądowy, który robił sekcję, jako przyczynę śmierci podał: „skrajne odwodnienie organizmu”. To znaczy, że umarła z pragnienia. Umarła z pragnienia! — Lande uderzył pięścią w blat mojego biurka. — Grace Leory umarła z pragnienia, mimo że wypijała dziennie dwa litry, a czasem i więcej, wody.

— A skąd ty wiesz, że ona piła tyle wody? — spytałem zdumiony. — To proste. Ona miała taką manię, że woda z wodociągów nie jest dostatecznie zdrowa i dlatego kupowała w aptece wodę destylowaną. Mówił mi o tym Tom Field — właściciel apteki. Kupowała destylowaną wodę w plastikowych pojemnikach.

— Nie wiem czy to dużo, czy mało dwa litry destylowanej wody dziennie — powiedziałem — ale na pewno wystarczyć, żeby nie umrzeć z pragnienia. A może ta woda była zatruta?

— Woda była w porządku — warknął Lande. Potwierdziła to sekcja zwłok. Nie wykryła najmniejszego nawet śladu trucizny. Poza tym w lodówce Leory'ów znalazłem kilka pojemników. Jeden z nich posłałem do analizy. Ludzie

z wydziału chemii naszego uniwersytetu zbadali wodę, a poza tym poili nią kilka myszy i te myszy pija tę wodę trzy dni i żyją... Nie, nie sądzę, żeby coś było w tej wodzie.

Przez dłuższą chwilę milczeliśmy obaj.

— No, dobrze — spróbowałem podsumować. — Kobieta, która dziennie wypijała co najmniej dwa litry wody zmarła na skutek... odwodnienia organizmu.

— Mówiłem przecież — powiedział Lande — że pierwszy raz mam w rekach taki skomplikowany przypadek.

— Mamy również małżonka, który po śmierci swojej żony staje się bogatszy o 300 tysięcy dolarów...

— Zgadza się — mruknął Lande — No więc jak? Zechciałbyś mi...

— Opowiedz mi coś o tym Leory.

ZBRODNIĄ PRAWIE DOSKONAŁĄ

— Jest docentem chemii na naszym uniwersytecie, a oprócz tego prowadzi jakieś badania naukowe u siebie w domu. Jeśli chcesz możemy tego faceta razem obejrzeć...

CZYBY jeszcze jakieś pytania, szeryfie? Sądziłem, że powiedziałem już wszystko, co mogłoby pana zainteresować... — powiedział przystojny, barczysty mężczyzna, który otworzył nam drzwi ładnej i gustownie zaprojektowanej willi. Od pierwszego wejrzenia zrobił na mnie niesympatyczne wrażenie. Był zbyt pewny siebie i trochę arogancki.

— Właśnie przygotowywałem sobie coś do jedzenia. Ale proszę bardzo niech panowie wejdą.

Kiedy znaleźliśmy się w kuchni zobaczyłem, że nie nie wskazuje na to, żeby nasz gospodarz przygotowywał sobie kolację.

— Napicie się panowie piwa?

Potrząsnęliśmy przecząco głowami.

Leory nie powiedział, tylko niemal pieszczotliwie pogłaskał olbrzymią lodówkę i otworzył jej drzwi. Odsunął dwa plastikowe pojemniki z destylowaną wodą i wyciągnął z lodówki sześć butelek piwa.

— Moja biedna Grace — westchnął — Tak dobrze czuła się w swojej kuchni. Naibardziej była dumna z tej lodówki. Kupiliśmy ją na krótko przed śmiercią Grace — mówiąc to docent Leory uśmiechnął się smutnie. Otworzył butelkę piwa i zwrócił się do szeryfa:

— A więc — to jeszcze chce pan wiedzieć?

Zamiast szeryfa, ja zadałem pytanie:

— Czy pańskie prywatne badania naukowe są finansowane przez rząd czy przez uniwersytet?

Trafiałem go pytaniem w czuły punkt. Zaczął mówić podniesionym głosem:

— Do niedawna finansował je uniwersytet. Ostatnio jednak ci neandertalczykowie odmówili subwencjonowania moich badań. Ci durnie nie rozumieją naukowego znaczenia mojej pracy.

— Suma, jaką pan otrzymał z towarzystwa ubezpieczeniowego po śmierci swojej żony, przysła więc w samą porę?

— Wiem, do czego pan zmierza — uśmiechnął się szyderczo Leory. — Niech pan jednak pamięta, że polisę wykupiłem jeszcze wtedy, kiedy nie miałem pojęcia, że uniwersytet wstrzyma dotację.

— Przegrana sprawa — pomyślałem i popatrzywszy w oczy pana docenta zorientowałem się, że myśli to samo... Wstaliśmy z miejsc.

Leory na pożegnanie wetknął mi w garść jakąś teczkę, mówiąc:

— Może panowie zechcą zapoznać się z moimi pracami.

Praca pana docenta nosiła tytuł: „Wpływ deuteru na żywą komórkę”. Po przeczytaniu pierwszych sześciu stron tej pracy doszedłem do wniosku, że dalsza lektura jest zwykłą stratą czasu.

Przypomniałem sobie pewne opowiadanie Edgara Allana Poe: „Czarny kot”. W opowiadaniu tym maż zabija swoją żonę i zwłoki zamurówuje w piwnicy, w specjalnie wykutej niszy. Kiedy przychodzą

wartość szklanego pojemnika ważyła 1298 gramów.

— Co z tego wynika? — zdziwił się Lande. — Ta woda z kranu jest lżejsza o 145 gramów od wody, którą piła pani Grace. Czy to takie ważne?

— Bardzo ważne, Jim. To jest tak ważne, że możesz od razu aresztować docenta Leory, ponieważ to on zamordował swoją żonę.

— Zwariowałeś! — krzyknął Lande. — Zamordował żonę pojął ją chemicznie czystą wodą?!

Pokazałem Jimowi pracę naukową Leory'ego. — Popatrz, on zajmował się deuterem.

— Deuter?... deuter... — mruknął Jim, grzebiąc w swej pamięci.

— Deuter, jako „ciężka woda” odgrywa spora rolę przy produkcji bomby atomowej.

— Co to ma wspólnego z naszym docentem?

Westchnąłem, ale zacząłem tłumaczyć:

— Woda chemicznie czysta składa się z tlenu i wodoru — dwa atomy wodoru i jeden tlenu. Istnieją jednak izotopy wodoru, niektóre z nich są „nieco cięższe” niż inne, ponieważ zawierają neutrony i woda, w której są właśnie takie atomy wodoru jest cięższa. Jest to tzw. ciężka woda... Organizm ludzki nie przyswaja ciężkiej wody, mimo że w zasadzie między nią a zwykłą wodą nie ma żadnej chemicznej różnicy. Po prostu ciężka

woda nie przenika do komórek ludzkiego ciała. To tak, jakbyś chciał głód zaspokoić piaskiem. Żołądek będzie pełny, a człowiek umrze z głodu. Możesz pić ciężkiej wody, ile chcesz, ale w końcu umrzesz na skutek odwodnienia organizmu.

— Dobrze, dobrze — zaperzył się Lande — ale myszy, pojone ciężką wodą nie zginęły...

— Nie zginęły, ponieważ eksperyment trwał tylko trzy dni, a tak długo prawie każdy ssak może przeżyć bez wody. Natomiast Leory wymieniał wodę destylowaną na „ciężką” przez czas dłuższy.

— Czy sądzisz, że będzie można przekonać o tym ławę przysięgłych?

— Sądzę, że tak. Tylko trzeba ponownie zrobić sekcję zwłok pani Leory, z tym jednak że lekarze sądowi muszą posłużyć się spektrometrem, żeby wykryć ślady ciężkiej wody.

— Wierz mi — mówiłem dalej — jest to dobra podstawa do aresztowania docenta. Może uznają go za niepoczytalnego. Tylko wariat może przecieć sądzić, że zbrodnia doskonała jest możliwa. Tak! sam wariat jak ten od Edgara Allana Poe...

LANDE, idąc już w stronę drzwi mruknął:

— Pewnego dnia musisz mi powiedzieć, kim był właściwie ten twój cały Edgar Allan Poe... Mówię, że to nie był głupi facet.

CZWARTEK, 23.XII.

11.30 „Hanna” — film szwedzki.
13.10 Decyzje piętnastolatków.
14.00 Kino TDC „Detektyw Piotr” — film fab. NRD.
16.30 Dziennik.
16.40 Obiektyw.
17.00 Ekran z bratkiem.
18.00 Huta — rep. wojsk.
18.30 Goście Friedrichstadt-palast — pr. rewiowy TV NRD.
18.50 Radzimy rolnikom.
19.30 Wieczór z dziennikiem.
20.40 Teatr sensacji: William Fairchild: „Okup”.
22.10 Pegaz.
22.53 Dziennik.

Program II

16.00 Koziołek Matołek.
16.40 W sieci — cz. I teleturnieju.
16.50 Wyrwany śmierci — rep.
17.00 W sieci — cz. II.
17.10 Dziewczęta z Mrozów — rep.
17.30 W sieci — cz. III.
17.40 Zapisani w historii — Konstanty Ildefons Gałczyński.
18.40 Wrocławski Blok Rozmaitości.
19.30 Wieczór z dziennikiem.
20.40 Parada błagierów — pr. rozr.
21.30 24 godziny.
21.40 Umówmy się — Diabeł — pr. rozrywk.
22.40 Jesienne śpiewanie — piosenki poetyckie.
22.50 Mistrz Sempoliński i jego uczniowie.

PIĄTEK, 24.XII.

14.45 „Biały kiel” — film radz.
16.05 Dziennik.
16.15 Bajkowy koncert zyczeń.
17.05 Kolędy Polskie w wykonaniu Poznańskiego Chóru Chłopców.
17.30 Tajemnice mórz — film przyr.
18.20 Album muzyki polskiej — uroczysty koncert z muzyką kompozytorów polskich od XV do XVIII wieku wśród wykonawców także Krystian Zimerman.
19.30 Wieczór z dziennikiem.
20.40 Koncert wigilijny — Kolędy polskie śpiewać będzie Wiesław Ochman.
21.10 „Cartouche zbójca” — film przygodowy francusko-włoski — gra J. P. Belmondo.



23.10 Allezuj — pr. rozrywk.
Program II
15.30 Pegaz.
16.15 „Zemsta” — film polski.
17.50 „Hrabina Cosel” — odc. „Klub profesora Tutki” — odc. „Motylek”.
19.30 Wieczór z dziennikiem.
20.40 „Lalka”.
23.15 „Dziewczęta z Nowolipiek” — odc. I „Frania”.

SOBOTA, 25.XII.

9.00 Świąteczny poranek — dla młodzieży.
10.00 „Z piekła do Teksasu” — film USA.
11.35 Marsz, marsz Polonia — rep.
11.55 Telewizyjny Teatr Muzyki — „Jan Strauss” — wid. muz.-baletowe.
12.45 Dla dzieci — „Złota kaczka”.
13.35 W starym kinie: „Bogate biedactwo” — film USA.
14.50 „Melodie przedmieścia” — film radz.
16.20 — Tele-Echo.
17.20 — „Fantomas kontra Scotland Yard” — film franc.-włoski.
19.30 — Wieczór z dziennikiem.
20.40 — „Daleko od szosy” — odc. pt. „Ania”.
22.05 — „Zaproszenie do tańca” — wid. rewiowo-muz.
23.10 — Teatr komedii: P. Shaffer — „Czarna komedia” — wyk. Ewa Żukowska, Ewa Wiśniewska, Piotr Fronczewski, Edward Dziewoński.
Program II
9.00 „Szatan z 7 klasy” — film polski.

11.45 „Lampart” — film włoski.
14.50 „Żołnierz królowej Madagaskaru” — film polski.
16.10 „Dziewczęta z Nowolipiek” — odc. 2 „Kwiryna” — film polski.
17.20 „Dama z pieskiem” — film prod. (radz.).
18.45 „Klub profesora Tutki” — odc. II „O miłym staruszkę”.
19.30 Wieczór z dziennikiem.
20.40 „Szacheckie gniazdo” — film ZSRR.
21.30 „Zdradzieckie gry miłosne” — film CSRS.

NIEDZIELA, 26.XII.

8.45 Studio sport — Andrzej Bachleda zaprasza.
9.00 Dla młodych widzów — festiwal filmów Teleranka.
10.05 Antena.
10.30 W starym kinie — „Indyjscy piechurzy” — komedia USA z udziałem Flapa i Flapa.
11.50 — Piosenki na życzenie.
11.55 — Kuchnia godziny dwunastej — rep. z krakowskiego obserwatorium astronomicznego.
12.05 — Prosto spod Giewontu — 12.15 — Piosenki i kolędy śpiewają „Czerwone Gitary”.
12.25 — 24 sek., czyli Witold Giersz.
12.40 — Prosto spod Giewontu.
12.50 — Przedziwne losy Mazurka Dąbrowskiego.
13.05 — Prosto spod Giewontu.
13.05 — Piosenki na życzenie.
13.20 — Andersen i krasnoludek.
14.00 — Piosenki na życzenie.
14.05 — Klasa śpiewu Elżbiety Jodłowskiej — or. rozrywk.
14.35 — Legendy aktorskie.
14.50 — „Zona modna” — kom. USA.

15.45 — Losowanie Dużego Lotka.
16.00 — Bernard Ładysz zaprasza.
16.35 — Po latach — pr. dok.
16.50 — Parada błagierów.
17.35 — Za i przed progiem — Złoty wiek.
17.45 — „Zona modna”, cz. II.
18.45 — Piosenki na życzenie.
19.30 — Wieczór z dziennikiem.
20.40 — Bajka dla dorosłych, cz. I.
20.50 — „Wojna i pokój” — odc. pt. „Ucieczka” — serial ang.
21.35 — Bajka dla dorosłych, cz. II.
21.45 — Studio sport.
21.55 — „Śmiejemy się z siebie” — film rozrywk.
22.20 — „Zabawa ludowa” — kabaret Olgi Lipińskiej.

Program II

8.45 „Oliver Twist” — film angielski.
10.40 „Dziewczęta z Nowolipiek” — odc. III „Bronka” — film polski.
12.00 „Pierwsi ludzie na Księżycu” — film ang.
13.40 „Pan Wołodyjowski” — film polski.
16.15 — „Strachy” — film polski.
17.35 — Rozmowa z Hanką Karwowską.
18.20 „Pawoncello” — film TVP.
19.30 „Klub profesora Tutki” — odc. pt. „Przygoda na korytarzu” — film TVP.
19.30 Wieczór z dziennikiem.
20.40 „Hrabina Cosel” — cz. pt. „Upadek” — film TVP.
21.30 „Dziewczęta z Nowolipiek” — odc. IV „Amelka” — film TVP.
22.50 „Słodkie igraszki manionego lata” — film CSRS.

PONIEDZIAŁEK, 27.XII.

14.00 Kino TDC — film fab. radz.
16.30 Dziennik.
16.40 Obiektyw.
17.00 Zwierzyniec.
17.40 Kady, informacje, opinie.
17.50 „Siedemnaście mgnień wiosny” — odc. X serialu radz.
19.30 Wieczór z dziennikiem.
20.40 Teatr TV — Mikołaj Gogol „Ozenek”.
22.20 Camera — magazyn muzyczny.
22.53 Dziennik.

Program II

17.00 Dzień kubanski w TVP.
17.05 „Po raz ostatni” — film TV kubanski.
17.30 OnP na Kubie — rep.
17.50 „Syfady” — widowisko baletowe.
18.20 Pr. public. kult.
18.40 Wrocławski Blok Rozmaitości.
19.30 Wieczór z dziennikiem.
20.40 Śpiewa Farah Maria.
21.15 Kuba 76 — reportaż.
21.35 Studio sport.
22.00 Śpiewa Argelia Fragosó.
22.10 24 godziny.
22.20 Byliśmy tam — pr. public.
22.35 Celotopia — pr. muz.
22.35 Celotopia — pr. muz.

WTOREK, 28.XII.

11.30 „Wojna i pokój” — odc. pt. „Ucieczka” — serial angielski.
16.30 Dziennik.
16.40 Obiektyw.
17.00 Studio TV młodych.

17.50 Listy i polityka.
18.20 Eureka.
18.50 Radzimy rolnikom.
19.30 Wieczór z dziennikiem.
20.40 „Chwila prawdy” — film włosko-hiszpański.
22.20 XYZ — cz. II.
22.53 Dziennik.

Program II

16.20 Militaria, obronność, nowoczesność.
16.50 Wizyty — publicystyka.
17.05 Teatr TV — Mikołaj Gogol „Ozenek”.
18.40 Wrocławski Blok Rozmaitości.
19.30 Wieczór z dziennikiem.
20.40 Wtorek melomana.
21.50 24 godziny.
22.00 Turystyka i wypoczynek.
22.20 „Pokój przechodni” — cz. I filmu NRD.

ŚRODA, 29.XII.

11.30 „Chwila prawdy” — film włosko-hiszpański.
16.30 Dziennik.
16.40 Obiektyw.
17.00 Zgadywanki obrazkowe.
17.30 Losowanie Małego Lotka.
17.45 Lektury Pegaza.
18.00 Fakty, opinie, hipotezy — „Młot na czarownicę” — pr. pop.-nauk.
18.35 Teatr Małych Form — „Wet za wet” — Tomasz Mann.
19.30 Wieczór z dziennikiem.
20.40 FilMOTEKA arcydzieł: „Miasto bezprawia” — film prod. USA.
22.30 Soliści polskiego baletu — pr. muz. baletowy.
22.45 Dziennik.
16.40 Morskie ognia — Promy w Europie — publicystyka.

Program II

17.05 Z albumu bohaterskich miast — Korsuńska operacja — film dok.
17.15 Moje serce należy do taty — rec. piosenkowski Ewy Ulańskiej.
18.10 Co dalej maturzysto?
18.40 Wrocławski Blok Rozmaitości.
19.30 Wieczór z dziennikiem.
20.40 Dixieland 76 — galowy koncert uczestników Festiwalu Jazzowego — Drezno 76.
21.50 Chaty na sprzedaż — z cyklu Ocalić od zapomnienia.
22.00 24 godziny.
22.30 „Pokój przechodni” — cz. II filmu fab. NRD.

CZWARTEK, 30.XII.

11.30 „Miasto bezprawia” — film fab. USA.
16.30 Dziennik.
16.40 Obiektyw.
17.00 Ekran z bratkiem.
18.00 W górach — rep.
18.20 Studio sport — Sprawozdanie z I konkursu skoków narciarskich z Turnieju 4 skoczni.
18.50 Radzimy rolnikom.
19.30 Wieczór z dziennikiem.
20.40 Teatr sensacji „Osaczony” — Michael Carey.
22.15 Pegaz.
23.00 Dziennik.

Program II

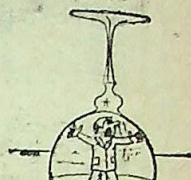
16.10 W odpowiedzi na wasze listy.
16.15 Przy fortepianie — Adam Warkiewicz.
16.30 Nasz gość — Andrzej Jaroszewski.
16.40 Krystyna Prońko z zespołem Koman Band.
17.05 Nasz gość — Przedstawiciel PSJ.
17.16 Właśnie leci kabarecik.
17.45 Nasz gość — Maciej Wojtyśko.
17.50 Zemsta nadchodząca o zmierzchu — widowisko M. Wojtyśki.
18.10 Poradnia Młodych.
18.40 Wrocławski Blok Rozmaitości.
19.50 Wieczór z dziennikiem.
20.40 W odpowiedzi na wasze listy.
20.45 „Życie godziwe” — film.
21.20 Nasz gość — pracownik naukowy instytutu filozofii UW.
21.25 Trójkąt Bermudzki — pr. pop.-nauk.
21.50 Nasz gość...
22.00 24 godziny.
22.10 Przed kamerami gwiazda — Josef Laufer.

PIĄTEK, 31.XII.

16.45 — Losowanie Małego Lotka.
16.00 — Dziennik.
16.10 — Zapraszamy do Smoczej Jamy.
17.10 — Tajemnice mórz — Zwierzęta epoki dinozaurów — film ser.
18.00 — Operowe qui pro quo — wid. muz. na kanwie „Zemsty niepotopu”.
19.30 — Wieczór z dziennikiem.
20.00 — Przemówienie noworoczne.
22.10 — Zimermann gra Chopina.
20.25 — TV Teatr Komedii — Józef Korzeniowski — „Panna mążatka”.
21.30 — „Damski gang” — kom. sens. ang.
23.05 — Rozrywkowy blok sylwestrowy.

PROGRAM II

15.15 — Pegaz.
16.00 — „Jak to w rodzinie” — radz. kom. onycz.
17.10 — „Syn Spartakusa” — dramat histor.-przyg. prod. włoskiej.
19.30 — Wieczór z dziennikiem.
20.00 — Przemówienie noworoczne.
20.10 — Zimermann gra Chopina.
20.25 — „Fachowiec z Caracas” — frar. wrym.



22.00 — „Księżniczka czarna-aza” — filmowa wersja operetki prod. węg.
23.40 — „Sylwestrowy wieczór” — żart filmowy czeski.
0.05 — „Rabunek z bronią w rękę” — film ang.
1.40 — „Jajko” — filmowa kom. franc.

SOBOTA, 1.I.

9.00 — „Wyzwanie dla Robin Hooda” — film przyg. ang.
10.35 — Sportowy przegląd roku.
11.40 — Dziennik i powtórzenie przemówienia noworocznego.
12.00 — Koncert noworoczny z Wiednia — Utwory Straussów.
13.10 — Bajkowy koncert zyczeń.
14.00 — „Elza z afrykańskiego buszu” — film przyg. ang.
15.30 — Kat jego sprawy i ofiary — O sukcesie polskich koszykarzy.
16.35 — Turniej czterech skoczni.
17.20 — „Szczęśliwego Nowego Roku” — cz. I filmu kom. radz.
19.30 — Wieczór z dziennikiem.
20.40 — „Daleko od szosy” — odc. 4 pt. „Oczekiwanie” — serial TVP.
22.05 — Teatr komedii — Thomas Brandon — „Ciotka Karola” — wyk. Marek Kondrat, Ilona Stawińska, Krystyna Chmielewska, Ewa Borowik.
23.05 — Spotkanie z gwiazdą — Marie Laforet.

PROGRAM II

10.00 — „Kto śpiewa nie grzeszy” — jęg. kom. muz.
11.35 — Stare kino: „Na zachód” — kom. filmowa USA.
13.00 — „Szczęściarz Antoni” — kom. polska.
14.30 — „Święta grzesznica” — musical CSRS.
16.15 — „Czterdziestolatek” — odc. I film ser. TVP.
17.05 — „Romulus i Remus” — dramat histor. prod. włoskiej.
19.30 — Wieczór z dziennikiem.
20.40 — „Majżonkowie roku 2” — kom. kostiumowa franc.-rum.
22.20 — „Na wirażu” — włoski melodramat.

NIEDZIELA, 2.I.

8.30 — Studio sport — Andrzej Bachleda zaprasza.
9.00 — Teleranek.
10.20 — Antena.
10.45 — „Wielkie bitwy historii” — „Wojna burska” — serial franc.
11.35 — Dziennik.
11.55 — Rolnicze rozmowy.
12.25 — Wielka gra — teleturniej.
13.30 — „Piórkiem i węglem” — Kolorowo i świątecznie — Wiktor Zin.
13.55 — Andersen i słowik.
14.35 — Klub Ścieściu Kontynentów — Z Sieradza droga do gwiazd.
15.35 — Losowanie Dużego Lotka.
15.50 — Plebiscyt na najlepszego sportowca roku.
17.00 — Recital Elżbiety Jaroszewicz.
17.35 — „Szczęśliwego Nowego Roku” — cz. II filmu fab. radz.
19.30 — Wieczór z dziennikiem.
20.40 — Bajka dla dorosłych.
20.50 — „Wojna i pokój” — odc. pt. „Moskwa” — film ser.
21.40 — Teatr TV — G. B. Shaw — „Nigdy nie wiadomo”.
23.05 — Kolędy i pastorałki w Stariej Prochowni — wyk. Sława Przybylska, Wojciech Siemion.

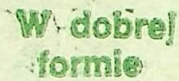
PROGRAM II

9.30 — „Porcelanowe panienki” — film fab. CSRS.
11.10 — „Kowboju do dzieła” — film fab. ang. — parodia westernu.
12.45 — Stare kino — „Cezar i Kleopatra” — film ang.
14.55 — „Czterdziestolatek” — cz. II serialu polskiego.
15.40 — „Amerykanin w Paryżu” — amerykańska kom. muz.
17.25 — „Walec pikowy” — film fab. polski.
19.30 — Wieczór z dziennikiem.
20.40 — „Dwanaście krzeseł” — filmowa adaptacja powieści Ilfa i Pietrowa — kom. radz.



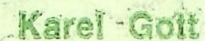


wydała mu się pewnie bardzo a propos. To szkaradziństwo spodobało się jednak władcom miasta, zaakceptowali je także mieszkańcy, którzy chlubią się teraz, że w ich Manchesterze stoi jeden z najoryginalniejszych obiektów całego stanu. To fakt!



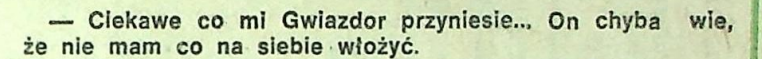
„Przeminęło z wiatrem” — c.d.n.

pisarki otrzymały wytwórnie Universal i Metro-Goldwyn-Mayer. Szczegóły akcji i informacje, kto po Vivian Leigh i Clarku Gable będzie kreował postacie bohaterów, są na razie tajemnicą.



Orbity gwiazd

Staruszek Crosby



Buffet do churupania

Druga generacija